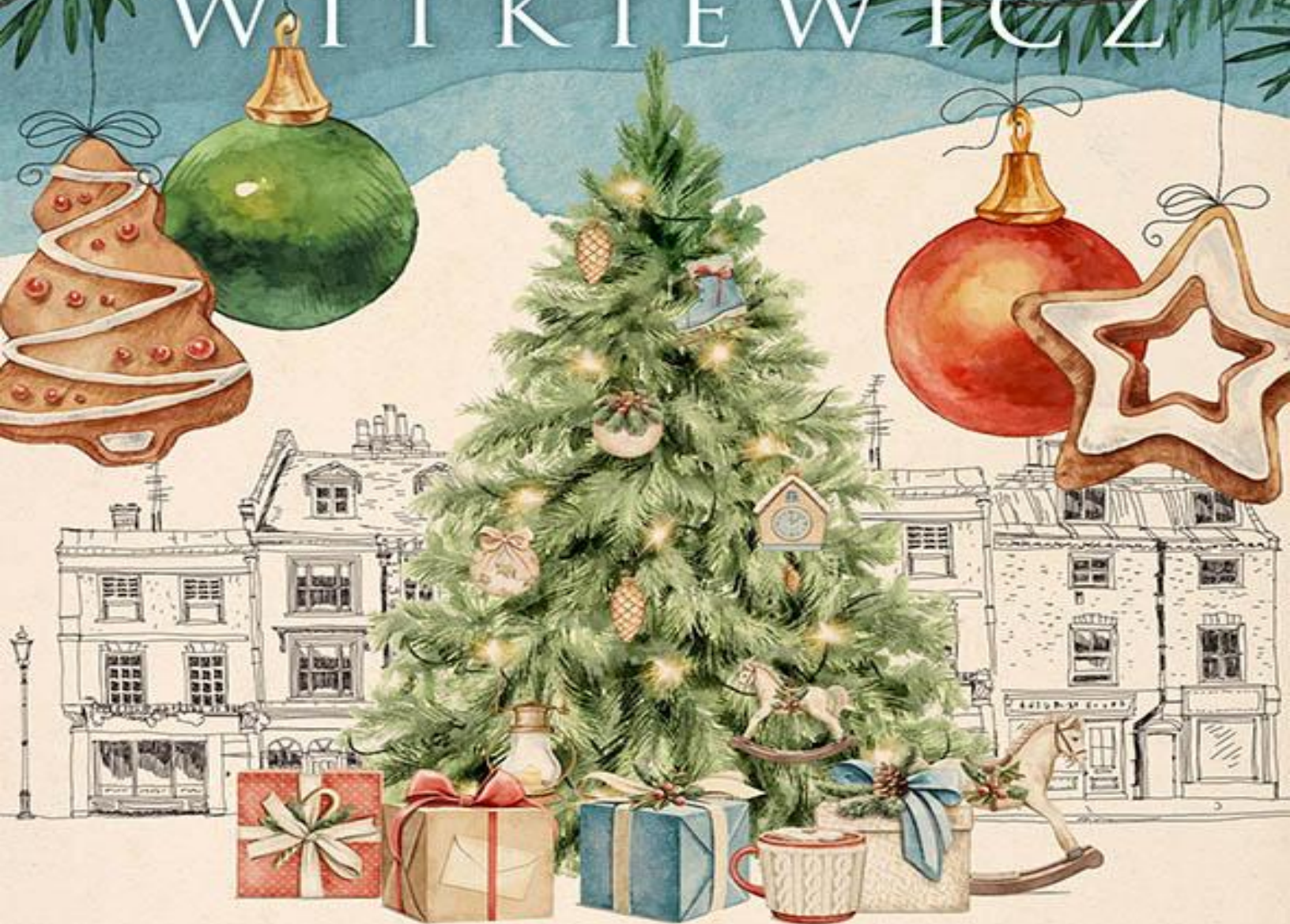


MAGDALENA
WITKIEWICZ



Zima



w Małej Przytulnej

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym



MAGDALENA WITKIEWICZ

*Zima
w Małej Przytulnej*



flora
WYDAWNICTWO

Projekt okładki
Anna Slotorsz

Redakcja
Anna Seweryn

Ilustracje na okładce

© *mimomy, Olga Rybka, Elise_E, Wiktoria Matynia, Alexander_Evgenyevich* | *shutterstock.com*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej
Grzegorz Bociek

Korekta
Anna Jeziorska
Anna Żochowska

Wydanie I, Chorzów 2023

tekst © Magdalena Witkiewicz, 2023

© Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-023-5

Wydawnictwo FLOW
Lofty Kościuszko
ul. Metalowców 13/B1/104
41-500 Chorzów
biuro@wydawnictwoflow.pl
+48 538 281 367

*Ani i Andrzejowi Żochowskiemu – dziękuję za to, że jesteście!
Aniu, taką dedykację pewnie masz w prawie wszystkich moich
książkach, ale teraz to masz wydrukowane!
Oby więcej takich dobrych ludzi jak Wy na tym świecie! ♥*

Spis postaci, których podobieństwo do osób prawdziwych zdecydowanie jest przypadkowe i niezamierzone

Gabrysia – dziewczynka, nad wyraz inteligentna i sympatyczna, która zdobywa serca wszystkich, z którymi ma do czynienia. Uczy się w domu, a raczej wszędzie, i nie tylko z książek. Ma konia na biegunach, którego dostała w spadku po Marysi. Lubi gadać, milczeć trochę mniej, ale gdy ma odpowiednią osobę do towarzystwa w milczeniu, daje radę.

Laura – właścicielka perfumerii na rozstaju dróg, mama Gabrysi. Posiada niezwykłą zdolność ubierania ludzi w zapachy, aczkolwiek ostatnio ta zdolność szwankuje.

Adrian – Mąż Laury, zakochany w niej do szaleństwa fotograf. Przyjaciół Gabriela.

Gabriel – francuski artysta, malarz, fotografik, paryska miłość Laury i ojciec Gabrysi. Świętej pamięci, obecnie mało napędzający akcję, gdyż w postaci prochów został rozsypany (nielegalnie) pod całorocznie ustrojonym kolorowymi świątecznymi lampkami świerkiem.

Marysia – również świętej pamięci, zielarka. Jej prochy, dla odmiany, zostały nielegalnie rozsypane w miasteczku. Mogą znajdować się wszędzie, gdyż porwał je wiatr. Obiecała jednak, że nie będzie po śmierci nikogo straszyć i przyjdzie tylko, gdy będzie miała do powiedzenia coś ważnego. Na razie najwyraźniej nie ma, więc pojawia się tylko we wspomnieniach.

Tomek – student medycyny. Dziedzic pani Marysi, właściciel domu pod starym dębem, gdzie od pokoleń kobiety prowadziły zielarnię. Syn Jadwigi. Na razie nie udostępnia nikomu sauny i rzeczki, które znajdują się na jego posesji. Pewnie gdyby wiedział, że to tak istotne dla dobrostanu jego małej społeczności, zmieniłby zdanie.

Jadwiga – od niedawna dumna matka syna studenta. Znacząca matka od dziesiętnastu lat, ale od niedawna dumna. Właścicielka baru, czasem szumnie zwanego restauracją. Jak się później okaże, nie znosi kuchni francuskiej i w jej restauracji żadna żaba swojej nogi nie postawi ani żaden ślimak nie wystawi rogów, skuszony serem i kapustą.

Halina, Balbina, Malwina – przez lata nierozłączne panie bibliotekarki w wieku już zdecydowanie nieprodukcyjnym. Można by powiedzieć, że staruszki, aczkolwiek istniałaby obawa, że słysząc to, obraziłyby się

śmiertelnie. Do pewnego momentu należałoby je rozpatrywać wyłącznie razem, niczym boskie trio, ale od jakiegoś czasu każda nieco skrzyła w swoją stronę i zaczęła żyć własnym życiem. Wreszcie!

Balbina – siwa, aczkolwiek duchem bardzo młoda wielbicielka technologii i gadżetów i radząca sobie z tym całkiem dobrze niewiasta. Wieczorami rozmawiająca z... doczytajcie do końca! Kiedyś chorowała, co trzymała w tajemnicy, i teraz stara się cieszyć życiem. Cztery dni młodsza od Malwiny, co podkreśla na każdym kroku.

Malwina – właścicielka pięknych rudych loków, niekoniecznie prawdziwych, za które słono płaci, ale za każdym razem ma poczucie, że dobrze wydaje pieniądze. Ukochana Anatola, żyjąca z nim na kocią łapę i prowadząca się zdecydowanie niestosownie. Szczególnie według Haliny.

Halina – brunetka, najwyższa z pań bibliotekarek, dlatego sięga półek nad Mickiewiczem i Słowackim. Zwykle ma niezadowoloną minę. Według Gabrysi krzywiła się jako dziecko i tak jej po prostu zostało. Na pierwszy rzut oka niezbyt sympatyczna, może na drugi i na trzeci również, ale Gabrysia liczy, że w życiu, jak i w literaturze ten niezbyt sympatyczny bohater musi doświadczyć głębokiej przemiany. Zobaczymy, może się uda.

Anatol – złoty człowiek, niemąż Malwiny. Również lubi się źle i niestosownie prowadzić, poza tym lubi pogrzeby, ale na szczęście w miasteczku ich nie ma zbyt wielu.

Człowiek gburowaty – mężczyzna pracujący w punkcie pocztowym, stary jak trzy bibliotekarki razem wzięte. W zasadzie niewiele można o nim powiedzieć, ponieważ z reguły jest milczący, aczkolwiek nie wykluczamy tego, iż się w końcu rozkręci (oby!). Na początku nie znamy jego imienia, ale jest szansa, że do końca tej opowieści nam je zdradzi. Jak to zwykle w opowieściach bywa, postać charakterna często domaga się uwagi autora i stara się wyjść na pierwszy plan. To się nie uda, ale namiesza niektórym w życiu. I w sercu też. Chyba...

Ksawery – aptekarz, który chciałby się już ustatkować. I nawet się na to zanosí. Posiadacz kozy, która zżera wszystko, nawet pole marihuany. Lubi rozmawiać o hodowli pleśni i o wyższości penicylin nad cefalosporynami. I wygląda na to, iż będzie miał z kim te dywagacje prowadzić, choć nie od razu.

Dominika – na początku prawie nic o niej nie wiemy, więc nie będziemy jej przedstawiać. Powiemy tylko tyle, że jest to młoda lekarka wynajmująca mieszkanie od Malwinki, bo starszka wyprowadziła się do Anatola po to,

by się źle prowadzać. Dodajmy tylko, że pani doktor również lubi rozmawiać o cefalosporinach.

Bogusia – kobieta mieszkająca pod lasem, która się pojawia od pewnego czasu, ale chyba czeka na swoją historię. Może kiedyś ją opowiem...

Jan – uliczny grajek, połączony dziwnymi splątanymi losami z zaginionym mężem Halinki. Jednak ta zdążyła się już do tego przyzwyczaić i na swój sposób go polubić. Kocha chodzić do lekarza, nie przeszkadza mu to, iż tenże ma gabinet na trzecim piętrze, gdyż Jan mimo słusznego wieku jest w doskonałej formie.

Heniek – zaginiony mąż Halinki i ukochany Jana. Nie pojawi się w tej opowieści, gdyż zginął bezpowrotnie. Będzie obecny jedynie we wspomnieniach.

Wiktor – psychoterapeuta, który kiedyś był księdzem, ale się zakochał i musiał zrezygnować ze stanu duchownego. Jednak mieszkańcom to zupełnie nie przeszkadza. Spowiedź zamienili na psychoterapię (byle nikt się nie dowiedział o ich grzeszkach), a kazania na wykłady psychologiczne, które odbywają się w kościele, gdyż nikt nie śmiał jeszcze zabrać byłemu proboszczowi do niego kluczy.

Marta – żona Wiktora.

Paweł Maryński – doktor, którego nikt nie lubi, jednakże on sam uważa, że jest od leczenia, a nie od lubienia i osiąga w tym całkiem niezłe efekty. Oczywiście jak każdy mało pozytywny bohater skrywa w sobie nieoczywistą tajemnicę i z pewnością nas zaskoczy. Być może nawet pozytywnie.

Klara – siostra Balbinki, mieszkająca w Niemczech żona Michaela, prawie prawdziwego Niemca z Bawarii (jego babcia była Polką), kochającego *Bratwurst*, piwo i *Kartoffelsalat*.

Sebastian Zawada – mężczyzna lubiący chodzić nad rzekę i zbierać grzyby. I na razie tyle. Nie będę psuć wam lektury.

Maja Zawada – kobieta nie lubiąca chodzić nad rzekę i zbierać grzybów. Żona Sebastiana.

1. Gabrysia

We Włoszech zamiast postawnego mężczyzny z brodą, ubranego w czerwony strój, w święta odwiedza dzieci z prezentami La Befana! Jest to niezbyt urodziwa (a to i tak za mało powiedziane) złośliwa wróżka o wyglądzie więdźmy z haczykowatym nosem. Ubrana jest w postrzępiony i niesamowicie brudny strój. Na głowie ma zawiązany szal lub chustkę. Jej okropny wygląd można jednak jakoś przeżyć, bo La Befana w noc z piątego na szóstego stycznia, w święto Trzech Króli, przynosi wspaniałe prezenty. Ale wyłącznie grzecznym dzieciom! I równie grzecznym dorosłym. Ci bardziej niesubordynowani mogą liczyć wyłącznie na podarunki w postaci węgla, popiołu, cebuli albo czosnku.

Zima zaczęła się w Małej Przytulnej bardzo szybko i dość gwałtownie, jakby sama nie mogła się doczekać tej wspaniałej chwili, w której cały ziemski nieporządek zostanie przykryty puszystą, lekką białą pierzynką. Pierwszy śnieg spadł już na początku listopada, co zdecydowanie wzbudziło zachwyt Gabrysi, która w najbardziej kolorowym swetrze na świecie i jeszcze bardziej kolorowej czapce stała tuż przed perfumerią na rozstaju dróg i próbowała łapać językiem zmrożone płatki.

– Ten śnieg smakuje jak lody! To są lody waniliowe, moje ulubione – mruzczała w zachwycie. – A te to cytrynowe. Mniem. I pistacjowe!

Gabrysia nie jadła wprawdzie nigdy pistacjowych lodów, ale nazwa jej się podobała i przyrzekła sobie, że gdy tylko będzie miała okazję, z pewnością ich spróbuje. Może pani Jadwiga umie wyczarować takie lody? Tylko skąd wziąć pistacje? Chyba ich nie widziała w ogrodzie babci Marysi. Chociaż tam chyba rosło wszystko, to może i pistacje się znajdują. Będzie musiała zapytać Tomka.

Dziewczynka głośno westchnęła. Tęskniła za spotkaniami z Tomkiem, tęskniła za rozmowami z Marysią, tęskniła za czasem, który był jeszcze tak niedawno. Wtedy nie zdawała sobie sprawy, że była najszcześniejsza na świecie, a przecież była! Kiedy myślała sobie o tym, jak wygląda szczęście,

wspominała, gdy siedzieli wspólnie z Marysią i Tomkiem w ogromnej kuchni, pili lemoniadę z wysokich szklanek i śmiali się wniebogłosy! Jakże to było wspaniałe!

– Co to znaczy śmiać się wniebogłosy? – zapytała kiedyś Marysię Gabrysia.

Siedziały wtedy we dwie przy kuchennym stole w domu staruszki i dziewczynka czytała na głos książkę, którą właśnie wypożyczyła z biblioteki. Średnio jej się podobała, ale zauważyła, że Marysia słucha z zainteresowaniem, więc nie dała nic po sobie poznać i cierpliwie przewracała stronę za stroną.

– Śmiać się wniebogłosy? To znaczy, że śmiać się tak głośno, że nawet wszyscy święci w niebie cię usłyszą! – stwierdziła radośnie.

– A ci, którzy nie są świętymi? Nie będą tego słyszeli? – dziwiła się Gabrysia. – Przecież do nieba nie dostają się tylko święci.

– Tym bardziej! – powiedziała poważnie pani Marysia. – Żeby ci zwyczajni śmiertelnicy usłyszeli, trzeba się śmiać jeszcze głośniej!

– Jeszcze głośniej niż wniebogłosy? Czyli jak ktoś się śmieje tak głośno, to słyszą go wszyscy, którzy umarli?

– Dokładnie tak. Przynajmniej tak sędzę, chociaż pewności mieć nie mogę, przecież nigdy nie byłam w niebie.

– Myślisz, Marysiu, że im jest wtedy fajnie? Nie przeszkadza im ten śmiech, że jest za głośno? Czasem jak ja się głośno śmieję, to moja mama się denerwuje.

– Pewnie, że jest im fajnie! – Uśmiechnęła się. – I absolutnie im to nie przeszkadza! Wtedy wspominają wszystkie cudowne chwile, jakie były, kiedy jeszcze mieszkali na ziemi i mogli słuchać takiego ziemskiego śmiechu na co dzień!

– Nie podoba mi się to niebo. – Gabrysia pokręciła głową. – Zupełnie mi się nie podoba. – Skrzywiła się.

– Dlaczego? – zdziwiła się pani Marysia.

– Bo tam się nikt nie śmieje. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Muszą podsłuchiwać nas tutaj, na ziemi.

– Ależ śmieją się! Tylko tam jest inny, niebiański śmiech. – Pani Maria naprawdę starała się dorównać dziewczynce w różnorodnych dywagacjach, ale

bywało ciężko. – Tam chyba cały czas słyhać śmiech... Wszyscy są zadowoleni... Przecież to niebo. Każdy chce tam iść.

– Nieprawda! Ja nie chcę – burknęła. – Przynajmniej nie teraz.

– I bardzo słusznie, Gabryniu. Teraz nie jest odpowiedni moment, całe życie przed tobą.

– A czym, Marysiu, różni się śmiech niebiański od ziemskiego? – dociekała dalej Gabriela.

– Tego nie wiem. Ale kiedyś się przekonam. Pewnie już bliżej niż dalej...

– Zamyśliła się.

– A wtedy, Marysiu, przyśnisz mi się i wszystko opowiesz. Dobrze? Chciałabym, żebyś mi się śniła codziennie. – Gabrysia przytuliła pomarszczoną dłoń przyjaciółki do swojego miękkiego policzka. – Możemy to jakoś załatwić już teraz? Żebym była spokojna?

– Codziennie to nie dam rady – zaprotestowała staruszka.

– Dlaczego? – Gabrysia zmarszczyła swój piegowaty nosek.

– Bo takie schodzenie na ziemię i wchodzenie z powrotem do nieba musi być bardzo męczące. Jest zapewne gorsze niż wspinanie się do gabinetu doktora Maryńskiego.

– Męczące? Ja myślałam, że w niebie to już nic człowieka nie męczy... Ale obiecaj chociaż, że będziesz przychodzić, jak będziesz miała mi coś ważnego do powiedzenia.

– Dobrze. – Marysia uśmiechnęła się czule. – Jesteśmy umówione. Jak będzie coś ważnego, przyjdę i przyśnię ci się w nocy. Nie będziesz się bała?

– Ciebie, Marysiu? No co ty. Dlaczego miałabym się ciebie bać?

– No to jesteśmy umówione. Jak będę miała jakieś ważne sprawy, to zejść do ciebie z tego nieba.

– To dobrze. – Dziewczynka odetchnęła z ulgą. – Na przykład bardzo ważną informacją będzie ta, czym się różni śmiech ziemski od niebiańskiego. Szalenie mnie to interesuje.

– Oczywiście – zgodziła się pani Marysia z całą powagą, na jaką było ją stać. – Jak tylko się tego dowiem, przyjdę ci powiedzieć. Tylko, Gabryniu, ja się na razie jeszcze nie wybieram na tamten świat, więc będziesz musiała trochę poczekać.

Gabrysia przewróciła oczami.

– Przecież ja chętnie poczekam, najlepiej jak najdłużej. Ale to kiedyś nastąpi, prawda? Jak to się mówi, jest to nie-unik-nio-ne.

– Wiem, kochanie. Masz rację. A kiedy to już nastąpi, to musisz tylko pamiętać o jednym... To z kolei ty musisz mi obiecać.

– Co?

– Kiedy mnie już tutaj, na ziemi, nie będzie, musisz jak najczęściej śmiać się wniebogłose, bym ja to na pewno usłyszała. Bo nigdy nie byłam święta, więc będziesz musiała to robić często i głośno. Obiecujesz?

– Obiecuję – ochoczo zgodziła się Gabrysia. – Ale z czego tu się śmiać, jak ciebie nie będzie ze mną?

– Z życia, Gabrysiu, z życia. – Uśmiechnęła się. – Jest tyle cudownych powodów, by się śmiać!

– No może coś wymyślę... Specjalnie dla ciebie – westchnęła. – Ale nie obiecuję, że będzie łatwo.

Gabrysia często wracała myślami do tamtej rozmowy. Wtedy robiło jej się smutno, ale zaraz potem przypominała sobie, dlaczego powinna się śmiać. I starała się to robić jak najczęściej i jak najgłośniej, żeby Marysia ją usłyszała.

Wpatrywała się w niebo i zastanawiała się, dlaczego przyjaciółka jeszcze nigdy jej się nie przyśniła. Może nie miała jej nic ważnego do powiedzenia? A może nie dowiedziała się jeszcze, czym się różni ten ziemski śmiech od niebiańskiego? Może niczym? A może różni się tak bardzo, że nawet nie da się tego opisać? Bo z pewnością nie był on durnym rechotem. Niekiedy Gabrysia słyszała, jak ktoś się tak śmieje. Nie lubiła tego i wtedy całą sobą miała nadzieję, że Marysia i Gabriel, jej tata, tego nie słyszą.

O właśnie, Gabriel! Przez chwilę zastanawiała się, czy na świerku rosnącym przed domem, pod którym rozsypali całkiem niedawno prochy ojca (w tajemnicy i zupełnie nielegalnie), zawiesić kolorowy szalik. Ta choinka, zawsze, nawet latem, owinięta świecącymi lampkami, uosabiała przecież jej ojca, więc mogłoby mu przecież być zimno. Stwierdziła jednak, że byłoby zdecydowanie głupotą zawieszać szalik na drzewie, kiedy padało. Ten śnieg bardzo szybko topniał i szalik natychmiast stałby się mokry, więc świerkowi, w sensie Gabrielowi, mogłoby być nieprzyjemnie. Tak, zawieszenie szalika byłoby największym idiotyzmem wszech czasów.

Stanąła obok drzewka i delikatnie musnęła dłonią gałązkę. Uśmiechnęła się lekko (w żadnym razie nie durnie zarechotała), owinięła się mocniej

szalikiem i dalej stała z twarzą skierowaną ku niebu, zamkniętymi oczami i wytkniętym mocno językiem, na który spadały płatki śniegu o takich smakach, jakie tylko mogła jej podpowiedzieć wyobraźnia. Teraz na przykład jej się wydawało, że na języku zatrzymał się płatek o smaku naleśników z malinowymi konfiturami. Była wręcz tego pewna! To musiał być znak od Marysi. Naleśniki z konfiturami zawsze robili w trudnych dniach. Marysia, Tomek i ona. Były najlepsze na świecie. Dziewczynka nie chciała otwierać oczu, by czar nie prysł.

Złapała delikatnie gałązkę świerku i mogłaby uznać, że jest całkiem szczęśliwa, gdyby nie fakt, że Tomek, jej najlepszy przyjaciel, wyjechał gdzieś daleko, by się uczyć, jak być lekarzem. Starła się zrozumieć to, że on po prostu wyjechał na studia, że to dla niego dobre, wiedziała, że kiedyś być może wróci, ale nic już nie było takie samo i Gabrysi było trudno się z tym pogodzić.

– Czy tak właśnie wygląda dorosłość? – zapytała poważnie Tomka tuż przed jego wyjazdem.

– Jak?

– Tak, że ludzie będą wciąż odchodzić, że wciąż będę musiała kogoś żegnać? Jak ktoś nie umrze, to wyjedzie, jak nie na długo, to na zawsze... – Wygięła usta w podkówkę.

Tomek spojrzał na Gabrysię uważnie. Była zdecydowanie zbyt mądra jak na swój wiek.

– Chyba tak po prostu jest, Gabrysiu. Ludzie pojawiają się w naszym życiu po coś, czasem zostają na dłużej, a czasem odchodzą.

– I nie wracają już nigdy?

– Czasem wracają, a czasem nie.

– To jest bardzo smutne. – Dziewczynce zaszkliły się oczy.

– Czy ja wiem... To chyba nie jest takie czarno-białe. Po prostu czasem jesteśmy sobie potrzebni na jakimś etapie życia, dużo się od siebie uczymy, a potem się rozstajemy. I nie jest to przykre, bardziej nostalgiczne. Zmiany są nieuniknione, ale dzięki nim możemy się rozwijać...

– Nie lubię, jak mi jest nostalgicznie – przerwała mu.

– Nostalgia to tęsknota za czymś, co było, a czasem nawet za marzeniami. Pewnie tęsknisz za panią Marysią, ale przecież nie chciałabyś o niej zapomnieć.

– Chciałabym, żeby tu była. Wtedy bym nie tęskniła. Jak ty wyjedziesz, też będę tęskniła. – Gabrysia mocno przytuliła przyjaciela. – Ale ty będziesz

mnie odwiedzał, prawda? – Spojrzała na niego z nadzieją.

– Pewnie, przecież nie jadę na koniec świata.

– I Tomek, obiecaj mi, że z nami nie będzie tak, jak mówiłeś, że ludzie przychodzą, kiedy są nam potrzebni, i odchodzą, gdy już ich nie potrzebujemy... Ty nie odejdiesz, prawda? Bo zawsze mi będziesz potrzebny! Całe życie!

2. Tomek

Słowacja nie jest daleko od Polski, a jednak nasi sąsiedzi mogą nas czymś zaskoczyć! Mają oni również jeden z najdziwniejszych zwyczajów świątecznych. I z pewnością kochają remonty... Na początku wigilijnej kolacji głowa rodziny nabiera na łyżkę jedną z potraw i rzuca nią z całych sił w sufit. Tradycja mówi, że im więcej jedzenia przyklei się do sufitu, tym więcej szczęścia będą mieli domownicy w najbliższym roku. Myślę, że w wielu polskich domach rzucanie jedzeniem by nie przeszło. Co by na to powiedziała babcia? Ciekawie wykorzystują Słowacy opłatek. Nie dzielą się nim jak ich północni sąsiedzi, w Polsce, tylko jedzą go ze słodkimi lub słonymi dodatkami. Najczęściej na wigilijnym stole gości on doprawiony miodem i czosnkiem.

Tomkowi też się chyba nie podobała dorosłość. Kiedy Gabrysia stała tuż obok choinki w Małej Przytulnej, on pędził na zajęcia z anatomii. Nie miał nawet czasu, żeby się choć na chwilę zatrzymać w tej codziennej gonitwie i pomyśleć o tym, jak baśniowo wyglądają te spadające z nieba zimne płatki. Prawdę mówiąc, nawet ich nie zauważył.

Z jednej strony, fajnie było wyfrunąć z matczynego gniazda i nieco odetchnąć od kontroli na każdym kroku, a z drugiej strony, miał poczucie, że coś w jego życiu bezpowrotnie minęło. Tak jakby szedł gdzieś bardzo daleko długą drogą i zdawał sobie sprawę, że nie może zawrócić, choć nie jest pewien, co go czeka na końcu tej wędrówki.

Bardzo zaskoczył go spadek, który dostał od pani Marysi. W ogóle się tego nie spodziewał. Dom i trochę pieniędzy na koncie. Oczywiście domyślał się, że był kimś ważnym dla tej starszej pani, ale żeby do tego stopnia, by mu podarowała piękny dom z ogrodem? Przecież on tak naprawdę był nikim. Zwykłym Tomkiem z Małej Przytulnej. Czy zasługiwał na ten dom? Przecież to Renata była jej wnuczką. Właściwie gdyby nie Renata, to tylko połowa domu byłaby jego. I może wtedy byłoby mu

łatwiej? Może mógłby z kimś dzielić te problemy? Bo z tym wiązały się i problemy, i szczęście. A on... chyba nie zasługiwał na takie szczęście.

– Możesz być tym, kim tylko zechcesz – powiedziała mu któregoś dnia pani Marysia. – Możesz zostać prezydentem, aktorem, wybitnym kardiochirurgiem...

– Pani Marysiu, tu pani przesadziła. Przecież ja jestem zwykłym chłopakiem z małego miasteczka. Tacy nie zostają wybitnymi kardiochirurgami.

– Tomku... – Zamyśliła się na chwilę. – Każdy z tych sławnych ludzi przyszedł na świat tak samo jak ty. Tak samo stawiał pierwsze kroki i uczył się nowych słów. Dokładnie tak samo. Kiedy się rodzimy, jesteśmy czystą kartką. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście niektórzy mają łatwiej, inni trudniej. Ale pamiętaj, na samym początku jesteśmy dokładnie tacy sami. Głównie od nas zależy, jak tę czystą kartkę zapiszemy.

– Niektórzy mają talent. A inni nie.

– Oczywiście. I właśnie okres, kiedy jesteś dzieckiem, nastolatkiem, powinien być tym czasem, kiedy odkrywasz ten talent. Ty odkryłeś. Czego potrzebujesz, by ci było łatwiej?

– Pieniądzy? Dzięki nim mógłbym wyjechać na studia, spokojnie się uczyć i niczym więcej nie przejmować.

– O pieniądzu się nie martw. Ale powiem ci, że gdy się jest bogatym, to dopiero się ma zmartwienia.

– No nie wiem... Mnie się wydaje, że wtedy to się nie ma żadnych zmartwień. – Tomek z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jest takie porzekadło: „Pomnażasz dobytek swój, pomnażasz troski swoje”.

– Gdyby tak było, to nikt nie chciałby być bogaty.

– Oj tam, ludzie lubią sobie utrudniać życie. Chociaż... Kiedyś zapytano wędkarza, który siedział na łódce i łowił ryby, o to, dlaczego nie zbuduje większego kutra, nie zatrudni rybaków...

– I co powiedział?

– Zapytał po co. I odpowiedziano mu, że po to, by miał więcej pieniędzy i mógł robić to, co lubi. Odparł, że przecież właśnie robi to, co kocha najbardziej...

- Szczęściarz. – Uśmiechnął się.
- Tak – zgodziła się Marysia. – Chociaż w tych czasach pewnie powiedziano by, że człowiek bez ambicji.
- I tak źle, i tak niedobrze – westchnął chłopak. – Czasem zbyt małe ambicje są niepożądane, a czasem zbyt duże.
- Nie należy każdego mierzyć własną miarą. I wiesz co, to jest piękne, że każdy jest inny. Gdyby wszyscy chcieli wędkować, siedząc na łódce, ryb by zabrakło w jeziorach. A zresztą nie miałyby kto budować tych łódek.
- Pani Marysiu, a pani zawsze chciała się zajmować ziołami?
- Chyba tak... Właściwie to było tak oczywiste jak oddech. Nigdy nawet nie pomyślałam o tym, bym mogła robić cokolwiek innego. Moja babcia była zielarką, matka też... I dopiero moja córka dostrzegła, że można żyć inaczej. Też miała ambicje, jak ty. – Marysia pogłaskała Tomka po policzku.
- I też na początku było mi z tym trudno.
- Same ambicje nie wystarczą. – westchnął. – Nawet jeśli dostanę się na studia, trzeba się będzie na nich jakoś utrzymać. Na mamę nie mogę liczyć.
- Pamiętaj, o pieniądze się nie martw. Gdy będą potrzebne, to się znajdą. A twoja mama nie jest wcale taka zła. Kocha cię, tylko nie rozumie. Tak wygląda, mój drogi, różnica pokoleń. Tak było zawsze. Różnica pokoleń to po prostu niezrozumienie swoich potrzeb, marzeń, celów.
- Z panią, pani Marysiu, nie dzieli mnie ta różnica pokoleń. A pani jest sporo starsza od mojej mamy.
- Na starość człowiek dziecinnieje, chłopaku. I może ja się już powoli zbliżam do twojego wieku, dlatego tak dobrze się dogadujemy. Korzystajmy z tego ile wlezie, bo potem tylko z Gabrysią będę się dogadywać... Chociaż ona czasem mądrzejsza niż my oboje razem wzięci.

Wspominał wielokrotnie tę rozmowę, gdy patrzył na swój dom. Jeszcze nie przyzwyczał się do tego, że jest jego. Przecież to było aż niemożliwe, że z biednego chłopaka, który nie miał nic, stał się posiadaczem pięknego starego domu z duszą i z ogrodem.

Renata wyprowadziła się pod koniec sierpnia, ale uzgodnili, że zawsze może przyjechać, kiedy tylko będzie miała czas i ochotę. Wiedział, jak to z tym czasem i ochotą bywało. Najpierw przyjedzie co miesiąc, potem co dwa, a potem już wcale.

No i stąd te jego problemy... Dom był całkiem spory, przecież ktoś musiał o niego dbać, a on wyjeżdżał na studia. W pierwszym odruchu pomyślał o Gabrysi, ale przecież ona była jeszcze za mała!

„Pomnażasz dobytek swój, pomnażasz troski swoje” – budził się z tymi słowami i zasypiał z nimi. Pani Marysia miała rację. Nie miał pojęcia, co zrobić, by pozbyć się tego ciężaru z serca. Przecież gdy wyjedzie, to wszystko będzie niszczyć. Jesienią ogarnie w ogrodzie to, co potrzeba, zimą nie trzeba będzie prawie nic tam robić, ale wiosną, kiedy wszystko będzie się budziło do życia, nie będzie nikogo, kto się tym zajmie...

Tomek wiedział, że nad ogrodem nie trzeba panować. Był półdziki i właśnie to było jego zaletą. Ale niekiedy trzeba było go podlać. O dom również trzeba było zadbać. Czasem napalić w piecu, by grzyb się nie pojawił. Czasem coś naprawić... O naprawianiu czegokolwiek nie miał pojęcia, ale też nie wiedział, skąd wziąć pieniądze na ewentualne naprawy. Pani Marysia zostawiła na koncie niezłą sumkę, która została uszczuplona wszelakimi opłatami związanymi ze spadkiem. Długo mu zajęło uświadomienie sobie, że to wszystko jest jego. Nie szastał pieniędzmi, ale w akademiku nie było już miejsc, więc wynajął mieszkanie z kolegą. Kaucja, meble, kilka drobiazgów i znowu było mniej na koncie...

– Gdyby to było duże miasto, można by ten dom wynająć, ale u nas? Od nas to się wyprowadzają, a nie wprowadzają – wzdychała Jadwiga. – Może ta lekarka? Pani Dominika?

– Przecież pani doktor wynajęła mieszkanie po Malwinie. Zresztą sama w takim dużym domu?

– Toć wiem. A może właśnie Malwina i Anatol?

– Mamo... – zniecierpliwiał się Tomek. – Po co im taki dom? Zresztą przecież Anatol ma mieszkanie od zawsze, a starych drzew się nie przesadza.

– No tak, nie przesadza... Mimo iż młoda para, dzieci nie będą mieli. – Pokręciła głową. – To ja już naprawdę nie wiem, co robić.

– Dałem ogłoszenia w Internecie.

– I co?

– I nic. Nikt nie zadzwonił. Zresztą ja też chyba nie każdemu chciałbym go wynająć. Wiesz, mamo, bo ja... kocham ten dom. Nawet gdy nie był mój, było mi tam dobrze. Wiąże się z nim mnóstwo wspaniałych wspomnień i nie wyobrażam sobie, że mógłby tam zamieszkać ktoś, kto nie doceniłby tego niesamowitego miejsca...

– Wiem, synu. Po prostu staram się jakoś pomóc. Gdy wyjedziesz, pójde tam co jakiś czas. Wymiotę pająki, przestraszę myszy, napalę w piecu, by przegnać złe duchy.

– Najważniejsze, by przestraszyć myszy. Dzięki, mamuś. – Uśmiechnął się. – Dziękuję, że mnie wspierasz.

Jadwidze zaszklily się oczy.

– Tylko nie płacz – powiedział.

– Ja nie płaczę, tylko te oczy jakoś mi się tak pocą – westchnęła Jadwiga.

Tomek wyjechał pod koniec września. Gabrysia nawet nie chciała się z nim pożegnać. Kupił jej ogromnego pluszowego kota i poszedł do domu na rozstaju dróg.

– Gabrysiu! – wołała Laura, stojąc tuż przy schodach i spoglądając w górę.

Z pokoju dziewczynki nie dochodził żaden dźwięk.

– Córeczko, Tomek przyszedł się pożegnać!

Nie było żadnej reakcji. Czuł się swobodnie w tym domu, wielokrotnie tam bywał, więc po prostu po cichu wszedł na górę i zapukał do jej drzwi. Siedziała odwrócona tyłem i wpatrywała się w okno.

– Zajęta jestem – mruknęła.

– A mogę ci poprzekadzać w tej zajętości? – zapytał, ale Gabrysia nic nie odpowiedziała. – A czym jesteś zajęta?

– Wyobrażaniem sobie i przyzwyczajaniem się do myśli, że wyjeżdżasz. Więc nie przeszkadzaj mi, bo im szybciej się do tego przyzwyczaję, tym szybciej będzie mi łatwiej.

– Czyli mam sobie iść?

Gabrysia spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

– Chodź. – Wyciągnął dłoń w jej stronę. – Pójdziemy gdzieś razem. – Uśmiechnął się zachęcająco.

– Dokąd?

– Zobaczysz – powiedział zagadkowo.

Po drodze zaszli do sklepu. Kupili kilka rzeczy i Gabrysi oczy się rozjaśniły.

– Domyśliłam się, że chcesz mi zrobić niespodziankę, ale ja już wiem... – wyszeptała. – Nie martw się. Takie niespodzianki, gdy już trochę wiesz, o co

chodzi, są najlepsze! Bo się cieszysz i jeszcze bardziej nie możesz się doczekać! A ja wiem i nie mogę się doczekać! Kocham naleśniki z konfiturami!

Ilekcio w barze mlecznym obok uczelni jadł na obiad naleśniki z konfiturami, myślał o Gabrysi. Była dla niego jak młodsza siostra, której nigdy nie miał, i w jakiś sposób czuł się za nią odpowiedzialny. Naleśniki z konfiturami zawsze poprawiały im humor. Gdy je kupował w barze mlecznym, wysyłał jej zdjęcie. Niezmiennie dostawał tę samą odpowiedź:

Gabrysia: *Twoje lepsze.*

Tomek: *Zrobię, gdy przyjadę.*

Gabrysia: *Przyjeżdżaj szybko, bez sensu się tyle uczyć. Moim zdaniem ty już wszystko umiesz.*

Tomek: *Jeszcze trochę.*

Gabrysia: *Tak, pamiętam, mówiłeś, że sześć lat i potem jeszcze coś, i jeszcze...*

Uśmiechał się. Pamiętał rozmowę z Gabrysią, gdy się dowiedziała o tym, że studia skończy za sześć lat, potem roczny staż, kolejnych kilka lat rezydentury i dopiero będzie mógł wrócić.

– Zestarzę się bardzo – westchnęła dziewczynka. – Będę miała siwe włosy i będę chodzić o lasce, jak pan Anatol.

– No, no, teraz masz jedenaście, to gdy wrócę, będziesz już pełnoletnia. Całkiem przyjemny czas w życiu człowieka.

– No nie wiem... – Zmarszczyła piegowaty nos. – Ponad dwadzieścia lat to poważny wiek!

– Ja wtedy będę przed trzydziestką.

– No to już w ogóle będziesz stary. – Spojrzała na niego uważnie. – Może będziesz miał wąsy i brodę?

– Może tak.

– Zupełnie nie jestem sobie w stanie tego wyobrazić! Przecież śmietana od naleśników by ci się zatrzymywała się na tych włosach na brodzie. Musiałbyś ciągle wycierać się chusteczką!

Starał się przyjeżdżać do domu co dwa tygodnie. Na początku pani doktor zamieszkała w Małej Przytulnej i wzięła mamę pod swoje skrzydła, potem wyjechała, ale serce mamy się unormowało. Przynajmniej o to nie musiał się martwić. Po ostatniej arytmii sytuacja się już nie powtórzyła, ale czuł się lepiej, gdy wiedział, że w razie czego pomoc będzie blisko, więc nie mógł się doczekać, kiedy Dominika wróci. Chyba miał w genach coś takiego, że chciał się opiekować swoimi bliskimi. Mamą, Gabrysią, a nawet uroczymi bibliotekarkami, które zamawiały przeróżne książki z biologii czy z chemii tylko dlatego, że on się z nich przygotowywał na studia. Podejrzewał, że był ich jedynym czytelnikiem, aczkolwiek bardzo protestowały, gdy im coś takiego sugerował.

No i swoim ogromnym domem chciał się opiekować. Był tylko jeden problem – miał na to wszystko zdecydowanie za mało czasu. No nic, na razie postanowił skupić się na nauce. Chciał każdą sekundę wycisnąć do końca. Doceniał to wszystko, co go ostatnio spotkało, i naprawdę nie chciał tego popsuć. Los naprawdę mu sprzyjał, by w spokoju mógł spełniać swoje marzenia. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiały się wokół niego wędkę, by mógł łowić ryby...

3. Jadwiga

Wenezuela ma tradycje... hm... sportowe! W stolicy kraju – Caracas – w Wigilię nikt nie porusza się samochodem. Ruch uliczny zostaje wstrzymany, bo miasto przejmują rolnicy! I wszyscy przybywają do kościoła na rolkach. To niewątpliwy plus tamtejszego klimatu, bo u nas by to nie wyszło...

Mama Tomka również zaczęła doceniać swoje życie. Zupełnie nie rozumiała, jak to się stało, że z jej zwykłego domu i prostego wychowania wypuściła takiego mężczyznę. Bo to już nie był chłopiec, któremu opatrywała kolana, to był mężczyzna, który stanowczo potrafił postawić na swoim. Każdego dnia dziękowała Bogu, że Tomek jej nie posłuchał i konsekwentnie szedł w stronę swoich marzeń. Nic nie było takie samo również dla Jadwigi, której syn pojechał na studia. Brzmiało to dla niej bardzo irracjonalnie. Syn na studiach. I to medycznych! Niewiarygodne! Tak jak kiedyś chwaliła się na Facebooku ugotowanymi przez siebie potrawami, tak ostatnio coraz częściej wrzucała zdjęcia syna. Nie bardzo mu się to podobało, ale kiedy tylko pozwolił, korzystała z okazji.

„Mój syn Tomasz studentem medycyny” – brzmiał podpis pod ostatnią fotką, na której Tomek trzymał stetoskop. Nawet nie wiedziała, że to się tak nazywa. Wielu rzeczy nie wiedziała wcześniej. Nie dostrzegała tego, co się dzieje tuż obok. Trudny to był dla niej czas, bo tyle zaszło zmian. Tomek dostał się na studia, przedtem odziedziczył w spadku dom po Marysi i z jednej strony powinna się cieszyć, a z drugiej – tylko kłopot z takim domem. Ale kto wie, może kiedyś jej syn przyprowadzi do Małej Przytulnej jakąś pannę i tam zamieszkają? Przynajmniej będzie blisko. Chyba że wybierze inaczej...

Jadwiga westchnęła. Wyjrzała przez okno restauracji. Padał pierwszy śnieg. Niedługo nadejdą święta, będzie można piec pierniki, przygotowywać przepyszne potrawy, a co najważniejsze – będzie miała Tomka na trochę dłużej w domu. Była z niego ogromnie dumna. Chociaż nie było to łatwe, bo zaplanowała dla niego inną przyszłość. Jednak teraz, gdy o tym pomyślała, nie mogła się nadziwić, jak absurdalne były jej poprzednie marzenia.

Chyba trochę Wiktor poprzestawiał jej w głowie. Oczywiście na lepsze. Szkoda, że nie był już księdzem, więcej ludzi by go słuchało. Przecież do terapeuty nie chodzą takie tłumy jak do kościoła. A może powinny? Nie nazywała tego terapią, bo była przekonana, że na terapię chodzą ludzie, którzy mają nierówno pod sufitem. Ale kto w tych czasach ma równo? Kto jest tak naprawdę zupełnie normalny? Chyba nikt. Każdy musi coś przepracować. Trudne dzieciństwo? Ciężka młodość? No kto miał łatwo, jak w sklepach były tylko biszkopty i ocet, a po papier toaletowy trzeba było stać w kilometrowej kolejce?

Dobłą robotę robił ten Wiktor. Naprawdę szkoda, że nie był już księdzem. W sumie nie mieli teraz w Małej Przytulnej żadnego duchownego. Wiktor miał jeszcze klucze od kościoła i otwierał go co niedzielę, by ci, którzy chcieli, mogli się tam pomodlić. Raz czy drugi przyjechał do nich jakiś ksiądz wędrowny, ale gdy nadszedł czas kazania i tenże chciał ich pouczać, to nawet Halinka się zbulwersowała.

– Ty żeś tu nie przyjechał nas wychowywać, tylko się z nami modlić! – wstała i huknęła na cały kościół. – Od prawienia kazań mamy kogo innego, a ty możesz z nami pośpiewać.

W tym momencie spojrzała znacząco na Jana, który natychmiast zaczął śpiewać pierwszą pieśń religijną, która mu przyszła na myśl:

– Chwalcie łąki umajooone!

Cały kościół mu zawtórował, na końcu dołączył też zrezygnowany ksiądz. Jednak potem rozeszło się po okolicznych parafiach, że w Małej Przytulnej wierni robią, co chcą, i już żaden ksiądz, a tym bardziej kaznodzieja nie chciał do nich przyjechać. Wiktor był najlepszym duszpasterzem dla ich malutkiej owczarni. No ale przez to, iż się ożenił, sam stał się czarną owcą i musiał przestać być tym księdzem. W tej kwestii też się nieco Jadwidze zmienił światopogląd. Była przyzwyczajona, że księża żyją w celibacie i obchodzi ich tylko duchowość, a dziwnym trafem się okazało, że gdy Wiktor zażył trochę zwyczajnego ziemskiego życia, to stał się dużo bardziej pomocny w wielu istotnych sprawach. Jakby dopiero wtedy spadła na niego cała niebiańska mądrość i wreszcie zauważył, co jest ważne.

Jadwiga początkowo nie umiała sobie z tym poradzić, bo przecież od dawien dawna to ksiądz był we wsi i w miasteczku autorytetem, a teraz życiowe sprawy pomagał im ogarniać jakiś terapeuta. To, że kiedyś był księdzem, pewnie było istotne, ale nie najbardziej.

– Bo mnie się wydaje, Halinko... – zaczęła kiedyś niepewnie – że wśród księży to jest jak wśród zwyczajnych ludzi. Są i mądrzy, i głupi.

Halinka w pierwszym odruchu chciała ją strofować, bo jakże to w ogóle można pomyśleć o głupim księdzu, ale po dłuższym namyśle uznała, że przyzna Jadwidze rację.

– Ten, który ostatnio chciał nas wychowywać z ambony, zdecydowanie zaliczał się do tych drugich – zgodziła się.

Jadwiga odetchnęła z ulgą.

– Teraz to my, zwykli ludzie, w niektórych kwestiach jesteśmy bardziej wyedukowani. Mamy więcej życiowego doświadczenia.

– Nawet czasem dzieci więcej wiedzą. – Halina z aprobatą pokiwała głową. – Mają dostęp do tego Internetu i taką jakąś lekkość przyswajania tej wiedzy.

– No właśnie! Kiedyś to ksiądz był najmądrzejszy. Jeździł gdzieś na nauki, miał dostęp do książek, zdobywał wiedzę i mógł ją przekazać. A obecnie naprawdę musi się namęczyć, by zdobyć autorytet. Ja bym chyba nie chciała tak się męczyć

– Nie będziesz musiała – stwierdziła Halina.

– Niby dlaczego? – zdziwiła się Jadwiga.

– Naprawdę nie wiesz? Przecież nie masz nawet szans być księdzem. Prędeż już księżną. – Zarechotała.

– Czy ja wiem... – westchnęła zamyślona Jadzia. – Świat idzie do przodu. Bardzo idzie do przodu.

– No ale nie aż tak, byś zdołała stanąć na ambonie, zanim umrzesz.

– Ty to zawsze taka dosadna jesteś. – Jadźka z dezaprobatą pokręciła głową.

– Życie... Życie mnie tego nauczyło. Słyszałaś kiedyś, by jakiś kucharz został proboszczem? Bo ja nie.

– Ale słyszałam, że pucybut został milionerem – celnie zripostowała Jadwiga.

– Jasne, takie historie to tylko w bajkach.

– Które ty sama polecasz wszystkim! – zdenerwowała się Jadwiga.

– Tak się wam przysłuchuję i nie mogę się nadziwić, że wy, mając to samo zdanie, potraficie się pokłócić – powiedział milczący dotąd Jan.

– Jak to samo?! – wykrzyknęły niemalże chórem Halina i Jadwiga.

– Bo obie zgodziłyście się z tym, że w tych czasach trzeba sobie naprawdę zasłużyć, by być autorytetem, że ksiądz z marszu nim się nie staje, że jest

trochę odklejony od codziennego życia...

– No tak... – westchnęła Jadwiga.

– Ja nie użyłam słowa „odklejony” – próbowała się tłumaczyć Halinka.

– Ale miałaś to na myśli – wyszeptała jej koleżanka.

Halina nieśmiało skinęła głową.

– No miałam – przyznała.

– Widzicie? Chodzi wam dokładnie o to samo. A i tak potraficie się pokłócić.

– To nie była kłótnia, prawda, Halinko?

– To była dyskusja – zawtórowała staruszka. – Taka nieco mniej delikatna wymiana zdań.

– Jak przekupki – burknął Jan. – Macie chyba za mało rozrywek.

– Może faktycznie, bo już dawno nic się nie działo – uznała Halina.

– Nie no, trochę się działo – zaprotestowała Jadwiga, głównie mając na myśli epokową chwilę, gdy jej syn wybrał się na studia.

– Nuuuda.

– Boże, znowu zaczynają. – Jan wzniósł oczy ku niebu. – Nie można ani jednego zdania przy nich powiedzieć, by się nie pokłóciły!

Dziewczęta spojrzały na siebie i się przytuliły. Janek westchnął rozdzierająco. Za tymi kobietami naprawdę trudno było nadążyć.

Jadwiga generalnie nie była kłótniwa. Generalnie. Jednak gdy na horyzoncie pojawiała się Halinka, coś w nią wstępowało i dawała upust swoim emocjom. Halinka działała tak na wiele osób. No cóż, bywa.

Oczywiście Wiktor wiele razy mówił, że należy dawać upust emocjom, że to jest bardzo zdrowe, ale mimo wszystko Jadwidze się zdawało, że jednak nie w ten sposób. Nie mogła tego opanować i na wszelki wypadek na cotygodniowych spotkaniach, których absolutnie nie nazywała terapią, nie zwierzała mu się, że Halinka działa na nią jak płachta na byka.

Halinka działała jak płachta na byka na pół miasteczka, ale gdyby kogokolwiek zapytać, czy wyobraża sobie życie bez tej dość denerwującej starszej niewiasty, wszyscy zgodnie by odpowiedzieli, że w żadnym wypadku. Przypominała nieco stary mebel, który znajdował się w domu od zawsze. Była jak taka niewygodna, zniszczona i dość nieładna kanapa, z której wystawały sprężyny, bardzo uwierające w najbardziej miękkie

części ciała. Nikt nawet by nie pomyślał, by takową kanapę wyrzucić. A gdyby, nie daj Boże, tak zrobił, z pewnością rychło by tego pożałował. Jeśliby jednak została, to po latach mogłoby się okazać, że tak naprawdę ta kanapa to skarb, bo pod zabrudzoną i podartą tapicerką ktoś kiedyś ukrył mnóstwo pieniędzy na gorsze czasy. Tak czysto teoretycznie było to przecież możliwe...

No, i taka właśnie była Halinka. Z pozoru niesympatyczna, niemiła, ale z bogatym wnętrzem. Niczym te dolary ukryte przez przodków pod obiciem starego mebla.

4. Halina

Na Islandii grzeczne dzieci i dorośli w święta otrzymują nowe ubrania. Jeżeli pod Twoją choinką leżał taki prezent, to możesz odetchnąć! To naprawdę spore wyróżnienie. Często to bywa charakterystyczny wełniany sweter, zwany lopapeysa.

Legenda głosi, że na tych nieposłusznych czyha wygłodniały ogromny kocur Jólakötturinn, któremu pomaga groźna trollica Grýla. Mieszka w górach, a niegrzeczne dzieci zazwyczaj zjada ugotowane w gulaszu.

Powiedzieć, że Halina nie cierpiała zimy, to jak powiedzieć, że Mount Everest jest pagórkem, z którego kilkulatki zjeżdżają zimą na sankach. Kiedy spadł pierwszy śnieg, staruszka wyjrzała przez okno biblioteki. Przeczuwała, że zdarzy się coś złego, bo od rana nie zdejmowała turkusowego beretu, który w ubiegłym sezonie zrobiła dla niej Malwina. Nasunęła go mocniej na uszy. Zdecydowanie trzeba Malwince powiedzieć, by przerzuciła się na czapki. Przynajmniej w uszy będzie cieplej.

W tym momencie okno nagle się otworzyło i do biblioteki wpadło zimne listopadowe powietrze. Halina się skrzywiła. Jesienny i zimowy wiatr przywiewał zawsze wszystko, co najgorsze. Przywiewał smutek, złe wiadomości...

Albo wywiewał. To on wywiał Heńka, jej męża, tak że ten zniknął bezpowrotnie. Stare dzieje. Czasem człowiek chciałby zacząć wszystko od nowa, ale nie jest w stanie. Najpierw czeka, potem tylko się łudzi, że jeszcze jego życie się zmieni, a później... na wszystko jest za stary.

– Czy ty widzisz, Halinko, jak pięknie prószy śnieg? – Do biblioteki wbiegła jak ten wiatr Gabrysia.

Halinka zerkała to na dziewczynkę, to na mokre ślady butów, które zostawiała na podłogowych dechach. Mała zauważyła wrogie spojrzenie staruszki.

– Oj, widzę, Halinko, widzę, zaraz wytrę. Ale czym jest brudna podłoga w porównaniu z tym, że jest tak pięknie na zewnątrz! Jakby pod choinką zaraz miały się pojawić prezenty!

– Brudna podłoga pozostanie brudną podłogą na zawsze, Gabrielo. Bez względu na aurę – skwitowała wyniośle Halina. – Chyba że się ją wyczyści od razu.

Dziewczynka się skrzywiła.

– A co to za grymasy? – zapytała bibliotekarka. – Nie rób tak, bo tak ci zostanie, Gabrysiu.

– A ty się tak krzywiłaś i ci zostało? – zainteresowała się Gabrysia, odważnie patrząc Halinie w oczy.

– Jak to...? Jak to zostało?

Zerknęła kątem oka w szybę witryny z filiżankami. Zobaczyła starszą panią, która mogłaby być całkiem sympatyczna, gdyby nie jej wykrzywiona w przedziwnym i – co tu dużo mówić – dość nieładnym grymasie twarz.

– Moja mama na takie coś poleca masaż kobido. Nawet go wykonuje, jakbyś chciała.

Halina nic nie odpowiedziała. Chciała, oczywiście, coś fuknąć, ale niestety Gabrysia miała rację. Tylko jej przydałby się nie jakiś masaż kobido, ale chyba coś zupełnie innego... A może już była dla świata stracona? I nie pomoże żadne kobido ani inne wynalazki?

Kiedyś zupełnie nie wierzyła w „wynalazki”, jak to nazywała, a potem do Małej Przytulnej wprowadziła się Renata. Dziwna kobieta, zielarka, która na początku zupełnie nie zdobyła jej zaufania, a potem wszystko się zmieniło. Kąpały się na golasa w zimnym strumieniu i śmiały się głośno. Halina uśmiechnęła się do wspomnień. Jeszcze raz zerknęła na swoje odbicie w szybie. Wyglądała zupełnie inaczej...

Wyciągnęła z torebki lusterko, przyglądała grzywkę, wystającą niesfornie spod beretu, który nadal miała na głowie, i znów się uśmiechnęła.

– Od razu lepiej – uznała Gabrysia. – Może nawet kobido nie będzie ci potrzebne. Chociaż mama mówi, że każdemu by się przydało. Bardzo ładnie wyglądasz, Halinko. Na tyle ładnie, że od razu nabrałam ochoty, by sprzątnąć tę podłogę. – Uśmiechnęła się promiennie do zaskoczonej bibliotekarki i poszła do łazienki po mop.

Po chwili zobaczyła staruszkę w dalszym ciągu wdzięczącą się do lustra. Wytarła podłogę i odłożyła mop na miejsce.

– Kocham zimę – powiedziała, gdy wróciła. – Oczywiście kocham też wiosnę, lato i jesień. I jak tak się zastanawiam, to nawet nie wiem, co bardziej. – Pokręciła głową. – Czy to nie jest dziwne, że najbardziej kocham

akurat to, co jest? Jakby świat mi dawał to, czego właśnie potrzebuję, prawda, Halinko?

Staruszka na wszelki wypadek się już nie krzywiła, tylko wymownie wzruszyła ramionami. Jej zdecydowanie świat nie dawał tego, czego potrzebowała. Czasem myślała, że pragnie jedynie świętego spokoju, ale niestety ten kojarzył jej się wyłącznie z wykupionym przez siebie kilka lat temu miejscem na cmentarzu.

– A ty też kochasz zimę tak jak ja? – zapytała Gabrysia.

– Nie lubię zimy – burknęła. – Nie cierpię zimy – dodała dobitnie.

– A skąd wiesz?

– Co wiem?

– No to, że nie lubisz zimy.

– Bo... zima jest niefajna. – Halina była lekko zdezorientowana tym pytaniem.

– Niefajna? – zdziwiła się dziewczynka. – Wygląda na to, że do tej pory twoje zimy były niefajne, ale może ta nadchodząca okaże się najlepszą w twoim życiu? I ją bardzo polubisz?

Halina nie sądziła, że jakakolwiek zima może się okazać najlepszą w jej życiu. Gdyby marzyła (a tego nie robiła już od dawna), to nawet za bardzo nie wiedziałaby o czym. Bo co mogłoby się stać, by była szczęśliwa? Nic! Miała poczucie, że nic fajnego już jej w życiu nie spotka. Kompletnie nic nie wywoła w jej życiu uśmiechu. Pieniądzy więcej nie potrzebowała, bo i po co? Na wszystko, co chciała, jej wystarczyło. Ludzi zbytnio nie lubiła, więc nowych nie chciała poznawać. Wokół wystarczali jej ci, których tolerowała. No może nawet darzyła uczuciem większym niż tolerancja, ale żeby zaraz była mowa o jakimś lubieniu? Książki kochała. Miała ich całkiem sporo w bibliotece, więc kupować ich też nie potrzebowała, a na tyle sprawnie zajmowały się pozyskiwaniem środków, że wszystkie nowości, które wychodziły, miały od razu. Dlatego jedynie pragnęła mieć święty spokój i, prawdę mówiąc, go miała.

Nie lubiła zimy, bo kojarzyła się jej ona wyłącznie z oblodzonymi schodami prowadzącymi do biblioteki, w której pracowała od lat. Od ilu dokładnie, nikt nie wiedział i nikt nawet nie ośmielił się tego liczyć.

– Tak to już jest. Koniec lata, koniec wakacji. Co to się z tą pogodą porobiło, że mamy teraz tylko dwie pory roku? Nie ma prawdziwej jesieni. Takiej złotej polskiej jesieni. Kiedyś to było pięknie! Szurało się stopami w liściach, które spadły na ziemię. Teraz jednego dnia gorąco tak, że nie idzie wytrzymać, a następnego dnia od razu zima. – Wzruszyła ramionami.

– Za kilkadziesiąt lat faktycznie będziemy mieć tylko dwie pory roku – powiedziała poważnie Gabrysia. – Tak jak na południu Europy. Będzie ciepło i sucho albo zimno i mokro.

– A skąd ty to niby wiesz? – zainteresowała się Halinka.

– Uczyłam się na geografii.

– Przecież ty nie chodzisz do szkoły.

– Oj, Halinko, ty znowu to samo. To, że nie chodzę do szkoły, nie znaczy, że się nie uczę. A to akurat przeczytałam w takiej gazecie, którą sama mi dałaś. Nie pamiętam jej nazwy, ale była bardzo interesująca. Porobiłam z niej zdjęcia. O klimacie właśnie było i o tym wszystkim, o czym ty mówisz. Jakbyś, Halinko, tę gazetę przeczytała, tobyś się tak nie dziwiła, że po lecie zaraz jest zima. Tam było wszystko wytłumaczone.

– No tak, masz rację. – Zmarszczyła brwi. – To egzamin o klimacie zdany i co teraz?

– Teraz zaplanowałam sobie zimowe wakacje – powiedziała Gabrysia.

– Zimowe wakacje? Przecież nie ma jeszcze zimy.

– Halinko, ty się zastanów. Raz narzekasz, że jest zima, a potem twierdzisz, że jej nie ma. Jakbyś w ogóle nie chciała się z niczego cieszyć. Może też sobie zaplanujesz zimowe wakacje i będziesz po prostu szczęśliwa? To przecież takie proste! Moja mama mówi, że ty w ogóle nie umiesz się bawić w szczęście!

Laura miała rację – Halinka wcale nie umiała się bawić, nie tylko w szczęście. Zabawa była dla niej czymś zdecydowanie niestosownym, szczególnie w jej wieku. Kiedy wspominała ubiegłą zimę i czas, kiedy na golasa wbiegała do strumienia, ze wstydu zamykała oczy. Nie potrafiła i nie chciała się do tego przyznać nawet sama przed sobą. Wydawało się jej, że to zdarzyło się w poprzednim życiu, którego wcale nie pamiętała.

Kiedy o tym myślała, czuła delikatny ucisk w sercu. Jakby tęsknotę za tym, co minęło i nigdy już nie miało powrócić. Zielarnię odziedziczył

Tomek i chwilowo stała ona pusta. Szkoda tego wszystkiego. Może by go poprosić o klucze i raz na jakiś czas iść do sauny? W zamian za opiekę nad ogrodem albo nad domem. Tak, chyba musi pogadać z Malwinką i Balbinką, to był zdecydowanie dobry pomysł. Ta sauna i późniejsza kąpiel w lodowatej wodzie zdecydowanie dobrze jej robiły. I na głowę, i na ciało.

Spojrzała w lustro.

I na to marszczenie się również...

5. Malwina

Na Łotwie panuje prezentowy raj, aczkolwiek można uznać, że łotewski Święty Mikołaj, czyli Big Zimmer, jest ogromnym pracoholikiem! Nie pracuje tylko w Wigilię czy pierwszy dzień świąt. On rozdaje prezenty przez dwanaście dni z rzędu! Można zazdrościć!

Kiedy spadł pierwszy śnieg, Malwina nawet tego nie zauważyła, gdyż bezwstydnie całowała się ze swoim Anatolem, stojąc na przystanku i czekając na autobus, który miał ją zawieźć do sąsiedniego miasteczka. Nie było nic złego w bezwstydnym całowaniu się na przystanku, ale o ile w przypadku młodzieży czy bardzo młodych dorosłych (aczkolwiek kiedyś według Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej młodzieżą się było do trzydziestego piątego roku życia) to zjawisko było spotykane dość często, to w przypadku pary w sile wieku – a uściślijmy, że nawet już bez siły – mogłoby to budzić większe zainteresowanie. Jednak w Małej Przytulnej wszyscy się już do tego widoku przyzwyczaili, gdyż (jak to z przekąsem mówiła Halinka) ta para była znana z uprawiania bezeceństw. I to publicznie.

Tym razem bezeceństwem były pocałunki wymieniane pod coraz bardziej ośnieżonym dachem przystanku autobusowego.

Malwina nieczęsto podróżowała do sąsiedniego miasteczka, ale było ono znacznie większe od Małej Przytulnej i zwykle tam jeździła do lekarza, a przy okazji zaopatrywała się we włóczki, z których dziergała dla całego miasteczka kolorowe berety, szale i rękawiczki. Taka była oficjalna wersja powodu wyjazdu, bo według Anatola i jej przyjaciółek było nieco inaczej – Malwina jeździła po włóczki, a gdy jej zostawało nieco czasu, przy okazji udawała się do lekarza. Niechętnie, dodajmy. I robiła to, gdy naprawdę musiała.

Pan doktor Paweł Maryński był wyjątkowym gburem. Nienawidził swojej roboty, jak tylko można było nienawidzić i na każdym kroku wszystkim o tym przypominał. Trzeba przyznać, że mimo tej nienawiści był całkiem niezły w swoim fachu, więc chcąc nie chcąc (a bardziej „nie chcąc”)

przychodzili do niego pacjenci. Jego gabinet znajdował się na trzecim piętrze w starej kamienicy. Krążyły pogłoski, że on przyjmuje tylko tych, którzy jeszcze mają jakąkolwiek szansę wyzdrowieć. „Te cholerne schody”, jak mawiały o nich tłumy pacjentów cierpliwie wdrapujących się do gabinetu doktora Maryńskiego, były swoistym sprawdzianem, czy w ogóle pan doktor powinien jeszcze poświęcać czas cierpiącemu delikwentowi, czy ma sobie odpuścić zajmowanie się przypadkiem beznadziejnym. Taka wstępna selekcja. Eliminowanie słabszych zawodników.

Za każdym razem kiedy Malwinka się tam wdrapywała, sapiąc, miała w uszach głos Krystyny Czubówny, znanej z programów przyrodniczych: „Słabsze osobniki nie są w stanie podołać ogromnemu wysiłkowi, jakim jest osiągnięcie szczytu. Po drodze umierają. Te najsłabsze już na początku, a najwytrwalsze tuż przed drzwiami gabinetu. Tylko nielicznym udaje się wejść do środka. A nie wiadomo, co na nich czeka w tej jaskini lwa”.

Na razie Malwinka w tych słabszych zdrowotnie chwilach w ostateczności zawsze dawała radę wciągnąć się po poręczy. Być może nie chodziłaby do lekarza, ale wejście po schodach na to „cholerne trzecie piętro” traktowała jako pewnego rodzaju sprawdzian swojej sprawności fizycznej. Nawet spoglądała na stoper i zapisywała w swoim kajeciku czasy przejścia. Ku jej ogromnemu zaskoczeniu wynik nie pogorszył się od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku! Doprawdy była z tego dumna i zawsze chciała się tym pochwalić lekarzowi, jednak gdy zasapana docierała do góry, miała tak mało siły, że już nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa.

– Kiedyś usłyszałam, Anatolu, że on to robi specjalnie – opowiadała Malwinka. – Chce wyeliminować hipochondryków.

– Przecież Jan do niego śmiga co tydzień! – Anatol zmarszczył brwi.

– Ale Jan jest przecież najzdrowszy z nas wszystkich. Kocha chodzić do lekarza. Od zawsze. Wyobrażasz sobie, że na tej trasie na trzecie piętro on ma czas lepszy ode mnie o całe pół minuty?!

– A co wy tam jakieś zawody robicie?

– Ot, takie wyścigi geriatryczne. – Malwinka machnęła ręką.

– Ja tego nie pojmuję...

Anatol, który unikał lekarzy jak tylko mógł, pokręcił głową. Póki żyła pani Marysia, leczył się ziołami u niej, a potem poprzestał na poradach aptekarza Ksawerego i trzymał się całkiem nieźle jak na swoje lata.

– No, ale przerwałś mi... – Malwina się naburmuszyła.

– Ależ skąd! Mów dalej, kochanie.

– I podobno doktor Maryński chce, by ktoś się trzy razy zastanowił nad tym, czy naprawdę potrzebuje wizyty lekarskiej. Na wszystkich piętrach ma się zastanawiać. I na parterze też... Bo Balbinka słyszała, jak on mówił, że stare baby przychodzą z różnymi duperelami i mu głowę zawracają. Na przykład z krostą na nosie. A jak sobie pomyślą, że wyjście do lekarza jest jak wyprawa na Mount Blanc, to się zastanowią nad tym ze trzy razy.

– Jakiś mało sympatyczny ten lekarz.

– No przecież mówię! Chociaż nie słyszałam, by kiedykolwiek Jan narzekał. A Balbina mówi, że swego czasu jej życie uratował.

– To może niesympatyczny, ale dobry fachowiec – zauważył Anatol.

– Pewnie tak. Wszak wszyscy jeszcze żyjemy – zgodziła się Malwina.

– A nie chcesz chodzić do tej twojej nowej lokatorki, skoro on taki niesympatyczny?

– Myślałam o tym, jak wróci z wojaży, ale czy ona nie jest za młoda?

– Za młoda na co?

– No zastanawiam się, co taka młoda może wiedzieć o takiej starej jak ja. Wiesz, to tak jak z naszym księdzem. Jak był księdzem, nie wiedział nic o prawdziwym życiu, a jak teraz ma żonę i dzieci, to jak czasem kazanie powie...

– To nie kazanie, to pogadanka terapeutyczna.

– Zwał jak zwał. Lepiej się go słucha niż dawniej i bardziej mu się wierzy. Bo wie, bo trochę przeżył.

– W sumie racja.

– Ale fakt, Dominika przynajmniej jest sympatyczna – westchnęła Malwinka. – To można się z nią chociaż na kawę umówić.

– Malwinko, ale ty wiesz, że jeżeli chciałabyś jechać do miasteczka po włóczki, to możesz się tam wybrać dla czystej przyjemności i nie musisz szukać pretekstu w postaci lekarza?

– Ależ... Ależ wcale tak nie jest! – obruszyła się.

Bzdura! Oczywiście, że tak było. Nienawidziła chodzić do tego lekarza i niezbyt mu ufała. Zapisywał jej jakieś recepty, a ona potem i tak wszystko konsultowała z Ksawerym. Do miasteczka jeździła tylko dlatego, by iść do swojej ukochanej pasmanterii i w promocji kupować włóczki. Że też

w Małej Przytulnej nie było pasmanterii! Mogłaby tam spędzać czas do woli i wybierać, przebierać, grzebać, a potem czarować na swoim szydełku i drutach. No, ale nie można mieć wszystkiego. Kiedyś była pasmanteria, na końcu drogi, tuż pod lasem, ale prócz Malwiny nie było zbyt wielu klientów i teraz lokal stał pusty. Ale przecież wszystko się zmieniało w ich miasteczku, mogłaby też być pasmanteria. Laura ze swoją perfumerią działała świetnie, zjeżdżały się do niej różne osobistości, dzięki czemu restauracja Jadwigi coraz częściej była zapełniona, chociaż ta wciąż narzekała. Mają sklepy, zamieszkała u nich pani doktor. Może faktycznie trzeba będzie ją na gabinet namówić. Nie będzie się wtedy jeździło do tego gbura.

Postanowione, Malwina wreszcie się odważy i powie, że jedzie do sąsiedniego miasteczka wyłącznie po to, by iść do pasmanterii, a potem na kawę. Kawa była jej kolejną wstydliwą przyjemnością. Sama przed sobą bała się przyznać, że robi to nie dlatego, że jej cukier spada w oczekiwaniu na lekarza. Robi to po prostu dlatego, że kocha tartę z owocami z cukierenki na rynku. Kochała też torcik z kremem o smaku słonego karmelu i crème brûlée, którego Jadwiga u siebie nie miała. Malwina często sama nie mogła się zdecydować, co lubi bardziej. Wybierała stolik z daleka od okna, by jej nikt znajomy nie dostrzegł, i oddawała się grzesznej – w swoim mniemaniu – przyjemności.

W ogóle dla Malwinki każda przyjemność zdawała się grzechem, a przynajmniej niestosownością. Tu można było zauważyć jakieś cechy wspólne z Halinką. Miała olbrzymie wyrzuty sumienia z powodu włosów, które sobie regularnie przedłużała, ale gdy miała je długie, czuła się o niebo lepiej. Rozmawiała o tym z Wiktorem i on nieustająco próbował ją przekonać do tego, że ludzie generalnie są szczęśliwsi, gdy im jest przyjemnie, i dowody naukowe mówią, że wtedy są nawet milsi dla otoczenia. Trochę ją to przekonywało, ale nie na tyle, by oficjalnie pozwalać sobie na odrobinę hedonizmu w życiu. Robiła to zatem zupełnie nieoficjalnie. Chociaż przyjaciele o włosach wiedzieli, a o ciasteczku niekoniecznie, co było okupione olbrzymimi wyrzutami sumienia.

Malwinka jeździła do miasta w jeszcze jednym celu... Kochała święta i wszelakie związane z nimi tradycje. Prezenty dla swoich bliskich kupowała najchętniej przez cały rok, jedynie przyzwoitość ją powstrzymywała. Najpierw czekała na lato, które uwielbiała, a gdy się budziła w deszczowy jesienny dzień, z niecierpliwością wyczekiwała Święta

Zmarłych. Anatol uwielbiał wprowadzić wszelkie funeralne obrządki, ale ona nie dlatego czekała na ten dzień... Po prostu zaraz potem dumnie obchodziła Święto Niepodległości, a po jedenastym listopada wieszała pierwsze świąteczne lampki w oknie i uznawała, że już można zacząć świętować Boże Narodzenie. Wtedy też intensywnie zabierała się za gromadzenie prezentów dla bliskich.

Już od stycznia zapisywała sobie w szarym zeszycie ozdobionym świątecznymi naklejkami ich marzenia i od drugiej połowy listopada konsekwentnie te marzenia spełniała. Kochała dawać prezenty! Wiedziała, że gdyby te wszystkie rzeczy kupiła w Małej Przytulnej, szybko by się wszędzie rozniosło. Dlatego też jeździła do pobliskiego miasteczka, by to, co zaplanowała dla przyjaciół, jak najdłużej pozostało niespodzianką.

6. Balbina

Włoska La Befana podróżuje na miotle, wchodzi do domów przez komin i wkłada prezenty do skarpet. Ale tylko tych niedziurawych! Lubi, gdy w podziękowaniu za prezent zostawia się jej mandarynkę, pomarańczę lub kieliszek wina.

Legenda głosi, że Trzej Królowie powiedzieli Befanie o narodzeniu Jezusa. Pędziła, by Go przywitać, ale jednak się spóźniła, bo zabłądziła. Ot, chaotyczna kobieta! Od tamtego czasu La Befana lata na miotle i asekuracyjnie zostawia prezenty w każdym domu, w którym mieszka dziecko, na wypadek gdyby to właśnie w tym miejscu narodził się Jezus.

Balbina też nie zauważyła pierwszego śniegu, gdyż była zajęta rozpakowywaniem ze ślicznego kartonika nowego, całkiem niezłego, aczkolwiek nie najbardziej wypasionego, jak to określił Tomek, tabletu, który był obecnie dostępny na rynku. Oczywiście na początku Balbinka w ogóle nie zdawała sobie sprawy, czym jest tablet, ale kiedy tylko się dowiedziała, uznała że właśnie tego potrzebuje.

Jej radości nie zmącił nawet fakt, że kartonik ten, opakowany w ładny papier, odebrała od gburowatego faceta, który od niedawna obsługiwał punkt pocztowy w Małej Przytulnej. Gburowaty facet miał lat tyle, ile trzy bibliotekarki razem wzięte, a przynajmniej na tyle wyglądał, i chyba nigdy nie wypowiedział do nikogo ani słowa. Nie tylko życzliwego, ale w ogóle żadnego. A minę zwykle miał taką, że zdawać się mogło, iż mina Halinki była w porównaniu z jego wyrazem twarzy promiennym uśmiechem. Całe miasteczko się dziwiło, że jeszcze miał siłę pracować, ale uznano, że skoro nie marnował energii na mówienie, to ta resztką, która mu zostawała, wystarczała jedynie na siedzenie i wydawanie oraz przyjmowanie przesyłek. Bo wyłącznie do tego się jego robota sprowadzała.

Balbina bardzo nie lubiła chodzić na pocztę, ale nie ufała kurierom czy jakimś skrytkom pocztowym. A że zakupy online robiła często, miała okazję obserwować tego gburowatego przynajmniej raz w tygodniu.

– Pani Balbinko, ale czy pani wykorzysta taki megawypasiony telefon? – pytał Tomek, gdy rozmawiali i Balbina poprosiła go o radę w kwestii smartfona.

– A jakże! Będę go wykorzystywać codziennie, aż mi się rozładuje! A potem naładuję i znowu będę wykorzystywać!

– Ja wszystko rozumiem, ale inne telefony, pani Balbinko, też są dobre, a dużo tańsze – zasugerował nieśmiało.

– Podobno powinnam mieć najlepszy. – Staruszka ni stąd, ni zowąd zarumieniła się wstydliwie. – Najlepszy na świecie – wyszeptała.

Z tym Tomek nie mógł polemizować.

– A do czego pani potrzebny ten telefon?

– Do rozmawiania na wideo. – Uśmiechnęła się. – Do oglądania zdjęć, a czasem nawet filmów! Do rozmawiania na Facebooku też. I w ogóle, Tomku, do kontaktu z... – Zawahała się. – Ze światem – dodała szybko.

Na szczęście ten wielce taktowny młodzieniec nie zapytał, z kim pani Balbinka zamierza tak konwersować, aż jej się wyczerpie bateria.

– Pani Balbinko, to pani tablet potrzebny! – zawołał.

– Tablet? – Staruszka najwyraźniej nie wiedziała, o czym Tomek mówi.

– Ma pani ekran jak w telefonie, ale można podłączyć klawiaturę i wszystko jest większe.

Balbinka nie była pewna, czy faktycznie był jej potrzebny ten tablet. Najpierw musiała to z kimś skonsultować. Jednak gdy to zrobiła, natychmiast zadzwoniła do Tomka.

– Może być tablet. I nawet mam zapisane jaki. Wysłałam ci esemesem.

– Dobrze, pani Balbinko, już sprawdzam. – Na chwilę zamilkł, najwyraźniej odczytywał wiadomość.

– Mam pieniądze, tylko czy mógłbyś mi pomóc go kupić? Bo wiesz, ja nie chcę, żeby mnie ktoś oszukał tą metodą na wnuczka czy na staruszkę. W ogóle nie chciałabym, by mnie ktoś oszukał. Z odbiorem na pocztę, bo przecież mogłoby mnie nie być w domu, kiedy dotarłby kurier. A zresztą nie chcę, żeby ktoś do mnie przychodził, bo z reguły nie otwieram obcym.

– A do biblioteki nie mogą dostarczyć?

– Do biblioteki? – Zdumiała się. – Nie – powiedziała stanowczo.

Zdecydowanie nie chciała, by Halina oraz Malwina śledziły jej zakupy internetowe. Pewnie by je szeroko komentowały. A że znowu buty, a znowu sukienka, a od kogo, a po co, a skąd ma tyle pieniędzy... Gburowaty

mężczyzna z poczty, niestety nie znała nawet jego imienia, patrzył wprawdzie spod byka, ale przynajmniej nie komentował. I to jej odpowiadało.

– No dobrze, jak pani woli. Ogarniemy temat – uspokoił ją Tomek. – Dostarczą na pocztę. Nikt pani nie oszuka, pani Balbinko. Ale super, że pani jest taka ostrożna.

– Oglądam trochę wiadomości. Nie tych w telewizji, bo telewizji to ja nie mam od lat! Ale w Internecie. I czytam. Czytam różne strony. I żeby nie było, i tych czytam, i tych drugich też. I sama wnioski wyciągam.

– Jakie, pani Balbino?

– Słuszne, Tomaszu, słuszne. Takie, by tobie żyło się lepiej w tym naszym pięknym kraju. Bo mi się już żyje dobrze i oby jak najdłużej. I najlepiej.

Wspólnie wybrali tablet. Złoty, bo pani Balbina uparła się na taki kolor. Mówiła, że bardzo, ale to bardzo potrzebuje luksusu, bo nigdy go w życiu nie miała, więc wreszcie nadszedł ku temu czas. Dlatego postawiła na złoto. A tablet był złoty, a skromny... Idealny! Wybrała taki, o jakim Tomek sam wielokrotnie marzył, więc polecił go starszej pani. Wspólnie go zamówili.

– Przelewem – powiedziała Balbina takim tonem, jakby co najmniej odpalali głowicę nuklearną.

– Przelewem? To będzie dłużej się księgować.

– Tak? – zaszepiła się staruszka. – No trudno, ale musimy w ten sposób, bo... to nie ja będę płacić.

– A kto? – zainteresował się Tomek z nadzieją, że wreszcie pozna kolejną tajemnicę Małej Przytulnej.

– Ktoś inny – powiedziała wymijająco Balbina.

– Dobrze... – Chłopak uznał, że nie należy już wnikać. – Kiedy przyjadę na jakiś weekend do domu, wszystko pani ustawię. Pomogę ściągnąć aplikacje, żeby mogła go pani w pełni wykorzystywać. Aż się rozładuje...

– A to nie będę mogła od razu dzwonić? I pisać na tym Facebooku?

– No od razu nie, trzeba wszystko zainstalować.

– To już trochę mniej mi się podoba.

– Myślę, że z większością poradzi sobie Gabrysia. Ona ma telefon tej samej firmy, a to działa tak samo.

– Miejmy nadzieję... – westchnęła z wyraźnym niepokojem Balbina.

Tego dnia, gdy spadł pierwszy śnieg, Balbina z czułością rozpakowała swój nowy tablet. Potem przez kilka chwil syciła nim wzrok, w zasadzie go nie dotykając. Następnie zadzwoniła do Gabrysi, a gdy się okazało, że ta jest w bibliotece z Halinką, chcąc nie chcąc również się tam udała.

– Mam tablet – powiedziała, trzymając go niczym największy skarb w życiu.

– Super! – Dziewczynce roziskrzyły się oczy.

– Tomek mówił, że pomożesz mi go uruchomić – zaczęła niepewnie Balbina. – Wszystko podobno mam. – Wyciągnęła kartkę z torebki i przeczytała: – „Karta telefoniczna jest w bibliotece, w szafce nad Mickiewiczem, w granatowym pudełku”.

Halina od razu się zerwała. Balbina wstała w ślad za nią.

– Siedź – nakazała Halinka. – Nie będziesz mi grzebać nad Mickiewiczem.

– A gdzie mogę grzebać? Nad Słowackim? – zapytała niepewnie Balbina.

– W ogóle nie możesz grzebać. Szafki to moje królestwo – stwierdziła wyniośle Halina – Górne szafki – dodała.

– Tak musiała wyglądać pani Linde – wyszeptwała Gabrysia, wskazując na książkę, którą czytała, *Anię z Zielonego Wzgórza*. – Ja myślę, że Halinka jest jej daleką krewną.

Balbina próbowała ukryć uśmiech, ale niezbyt jej to chyba wyszło.

– Nie mogę się powstrzymać i gdy to czytam, to w roli Małgorzaty Linde widzę naszą panią Halinkę. Ja coś czuję, że w książce się okaże, że tak naprawdę Małgorzata Linde ma gołębie serce. Myślisz, Balbinko, że Halinka też w ostateczności wykaże się dobrocią?

– W osta... ostateczności? – zająknęła się staruszka.

– No w ostateczności. Na przykład wyniosłaby jakieś dziecko z pożaru albo uratowała jakiegoś bezdomnego kotka...

– Żadnych bezdomnych kotów – burknęła Halinka, słysząc ostatnie zdanie Gabrysi. – Żadnych!

Dziewczynka głośno westchnęła.

– Ech, nie ma jednak szans. Życie to nie fikcja literacka, prawda, Balbinko?

– Prawda. – Zamyśliła się. – Chociaż... Chociaż czasem życie przynosi szczęśliwe zakończenia. – Uśmiechnęła się do siebie lekko.

– Czasem tak – zgodziła się Gabrysia. – Jednak Tomek mi mówił, że w literaturze bohater powinien przejść przemianę.

– A jak nie przechodzi? – zainteresowała się Halinka.

– Nie wiem... Może wtedy pisarz może go zgładzić – powiedziała spokojnie dziewczynka, biorąc tablet.

Balbina nieco się obawiała powierzyć jej swój nowy złoty skarb, szczególnie po wymianie zdań na temat zagłady bohatera, który nie doznał jakiegoś dziwnego katharsis. Dziwnym trafem nie mogła przestać myśleć, że tym złym bohaterem przeznaczonym do unicestwienia mogłaby być jej wieloletnia przyjaciółka Halinka, która miała dość paskudny i trudny charakter, ale z pewnością nie można by o niej powiedzieć, że jest złym człowiekiem i że zasługuje na najgorsze. Nawet w książce.

Gabrysia jednak pewnie podłączyła tablet do prądu. Wcześniej sprawnie otworzyła kartę telefoniczną i włożyła ją gdzieś z boku jej nowej złotej zabawki. Balbina wciąż podejrzliwie patrzyła na dziewczynkę. Mała zdawała się jednak doskonale znać wszelakie zawiłości techniki, jakby się z tymi umiejętnościami urodziła. To było niewiarygodne.

– A skąd ty wiesz, że trzeba tak przesuwać? – zapytała w końcu. – I to nacisnąć?

– Takie rzeczy się po prostu wie, Balbinko – powiedziała Gabrysia bez krzty wyniosłości. – Ja to po prostu wiem od zawsze.

– I będę mogła już dzisiaj rozmawiać?

– Pewnie. Choćby zaraz.

– Zaraz to nie... – Balbina wyraźnie się zmieszała. – Wieczorem. Tylko mi zainstaluj te aplikacje. – Podała Gabrysi karteczkę.

– A z kim ty chcesz tak rozmawiać, Balbino? – zapytała jak zawsze najbardziej zainteresowana wszystkimi plotkami Halina.

– Z kim chcę, z tym chcę – mruknęła. – Instaluj mi wszystko, drogie dziecko, co uważasz, że może mi się przydać.

– A w miny, Balbinko, będziesz grała?

– W miny? – zdziwiła się właścicielka nowego tabletu.

– No tu sobie naciskasz i albo wpadniesz w minę, albo nie.

Balbina chciała już powiedzieć, że w miny nie planuje grać, ale poczuła na sobie wzrok Halinki. Gdy podniosła głowę, zdawało jej się, że pogardliwy.

– Będę grała w miny – stwierdziła ku swojemu zaskoczeniu. – Codziennie. Z rozkoszą!

7. Laura

W rodzinnym domu Magdaleny Witkiewicz nie było takiego śmiałka, który by się odważył powiedzieć, iż nie wierzy w Mikołaja. Gdyby ktoś się ośmielił do tego przyznać, po prostu nie dostałby prezentu. Bo przecież... podarki dostają tylko ci, którzy w niego wierzą!

Kiedy spadł pierwszy śnieg, Laura wahała po raz kolejny perfumy, które przygotowała sobie latem, i zastanawiała się, co się stało z tym zapachem, który do niej jeszcze tak niedawno pasował. Wszystkie nuty były tak dobrze dobrane. Nie czuła tego zapachu na sobie, tylko w nim się czuła dobrze. A teraz ten anyżowy aromat doprowadzał ją do szaleństwa i zaraz robiło się jej niedobrze. Co ją podkusiło, żeby dodawać anyż do tych perfum? Przecież nigdy go nie lubiła!

Otworzyła inną fiolkę. Też jej coś nie pasowało. Z niezadowoleniem pokręciła głową. Może składniki się jej popsuky? Wyjrzała za okno. Gabrysia stała tuż obok drzewka. Była uśmiechnięta, a na jej wytknięty język spadały płatki śniegu. Sprawiała wrażenie, jakby te śnieżynki były najlepszym przysmakiem.

Laura się uśmiechnęła. Cudownie było patrzeć na szczęśliwą córkę. Po różnorakich przygodach wreszcie się obie zaaklimatyzowały w miejscu, które nazywały domem. Takim prawdziwym domem. Była wdzięczna losowi, który tak nią pokierował, że trafiła właśnie tutaj. Była z ludźmi, z którymi czuła się bezpiecznie i miała wymarzoną pracę. Biznes się kręcił. Co chwilę ktoś się umawiał na dobranie odpowiedniego zapachu. Często przed jej domem parkowały wspaniałe samochody, które przywoziły znanych i zamożnych klientów. Wszyscy wychodzili zadowoleni i zauroczeni i opowiadali o niej innym. Kalendarz spotkań miała wypełniony po brzegi. Lubiła to uczucie, gdy widziała zachwyt w oczach tych, którym dobrała odpowiednie perfumy. Wyglądali, jakby dzięki nim po prostu... zachwycili się sobą. Być może dlatego, odkrywając własne piękno, wszyscy do niej wracali. Rozkręciła też sprzedaż internetową i wciąż się uczyła czegoś nowego. Ot na przykład masażu kobido. Nie miałyby już czasu zajmować się tym zawodowo, ale fascynowały ją możliwości, jakie ma

ludzkie ciało. Jak wspaniale może się regenerować. Czasem wystarczy dotknąć, pomasować, pogłaskać i mięśnie się rozluźniają albo wręcz przeciwnie, napinają.

Uśmiechała się do swojego życia co rano, uśmiechała się do córki i do męża. Naprawdę po początkowych perturbacjach znalazła spokojną przystań. Byle bez sztormów. Czy brakowało jej czegokolwiek w życiu? Nie, miała wszystko, o czymkolwiek mogła marzyć. Może trochę zbyt dużo pracowała. Czasem wieczorami była odurzona zapachami. Nie chciała, by spotkało ją wypalenie zawodowe, ale czy jest to w ogóle możliwe, kiedy robi się to, co się kocha? Może jej nos też powinien odpocząć?

– Zmęczona jestem – powiedziała poprzedniego wieczoru do męża.

Adrian pogłaskał ją po policzku.

– Widzę. Może za dużo na siebie bierzesz?

– Chyba trochę tak. Miałabym ochotę wziąć kalendarz i wykreślić wszystkie spotkania z tego tygodnia. I z następnego też – dodała cicho.

– To w czym problem? Zrób to. Po prostu.

– Ale ci ludzie czekają na wizytę u mnie. Niektórzy nawet dość długo.

– A może pomyśl najpierw o sobie? Nie o innych?

– Jasne, brzmi idealnie, ale wiesz, dorosłość i prowadzenie własnego biznesu to zawsze są zobowiązania i dane komuś obietnice. Nie mogę rzucać słów na wiatr. Poobrażają się na mnie.

– Laura, czasem w życiu zdarzają się takie chwile, że musisz po prostu słuchać siebie. Przecież kto jak kto, ale ty wiesz o tym najlepiej. To ty jesteś wróżką, wiedźmą i czarownicą w tym domu. – Roześmiał się.

– Ja już chyba... straciłam umiejętność czarowania – westchnęła.

– Pokaż ten kalendarz – powiedział Adrian. – Cztery spotkania. Cztery w tym tygodniu i cztery w przyszłym. Te dwa to po prostu po odbiór zapachu, który przygotowywałaś, więc możemy wysłać. Przecież od niedawna mamy punkt pocztowy. – Uśmiechnął się. – W ramach spaceru można się przejść. W przyszłym tygodniu z kolei trzy to powtórne spotkania. A te, które zostały, biorę na siebie. Zadzwońię do nich i postaram się wszystko poprzesuwać.

– Nigdy tego nie robię.

- Wiem, dlatego skoro w ogóle o tym pomyślałaś, to coś jest na rzeczy i powinnaś odpocząć.
- Możesz być moim asystentem? – zapytała, przytulając się do niego.
- Pewnie. Zawsze. Przez całe życie.

Naprawdę zaskakujące jest to, że często ostatnią osobą, o której na co dzień myślimy, jesteśmy my sami. Jakoś pokutuje u nas to, że boimy się być uznani za egoistę albo samoluba. Wiecznie gonimy za tym, by zadowolić najpierw innych, a potem, na szarym końcu, siebie. W życiu zupełnie nie stosujemy zasady z samolotu, że najpierw trzeba założyć maskę sobie, a potem dziecku. Że najpierw trzeba zadbać o siebie. I najgorsze jest to, że gdy w końcu nie wytrzymujemy, mówimy „stop” i wybieramy siebie, zamiast ogólnego zadowolenia naszych bliskich czy ludzi, z którymi współpracujemy, z przykrością odkrywamy, że część tych osób jest na nas śmiertelnie obrażona...

Bo to przecież takie niemodne być słabym. Takie niepopularne, by przyznać się do tego, że się nie ma siły albo nawet ochoty. Czy to kwestia wychowania? Pewnie tak. I tego, że od dziecka jesteśmy uczeni, że trzeba być grzecznym, uczynnym, miłym. Oczywiście, jest to w życiu bardzo ważne. Tylko chyba wszyscy zapominają, że zasady miłości i uczynności trzeba przede wszystkim zacząć odnosić do siebie...

– Ale co ja im powiem? – zapytała Laura męża, przerywając swoje rozważania.

– Ja im powiem, że musisz odwołać spotkanie z przyczyn osobistych. Nie musisz się nikomu tłumaczyć ze swoich decyzji. A najwyraźniej jest ci potrzebny czas, kiedy będziesz sama ze sobą.

– I z tobą, i Gabi.

– I ze mną, i Gabi.

– Dobrze, że jesteś. – Uśmiechnęła się. – Sama nie umiałabym dokonywać takich wyborów.

– Bo ty nie słuchasz siebie. A ja ciebie słucham. Może chciałabyś gdzieś wyjechać? Na jakiś urlop?

– Wiesz co, marzę o tym, by mieć wakacje w domu. Zrobić dobry obiad, upiec ciasto, obejrzeć z wami jakiś film. Po prostu na chwilę zatrzymać się w codzienności.

– Fakt, wszyscy za bardzo pędzimy – zgodził się Adrian. – I potem zupełnie nie potrafimy wyhamować.

– Ja dzięki tobie potrafię. – Skradła mężowi całusa. – Może to wypalenie zawodowe? Zapachy, które kochałam, zaczynają mnie drażnić.

– Byleby mężczyzna, którego kochasz, nie zaczął cię drażnić. – Uśmiechnął się łobuzersko.

– Nie ma takiego niebezpieczeństwa, kochanie.

– Ufff, to najważniejsze. Czyli po prostu musisz odpocząć.

Tego dnia, gdy spadł pierwszy śnieg, Laura spoglądała przez okno na Gabrysię i czuła się bardzo szczęśliwa. Miała tak naprawdę wszystko. Właściwie miała dużo więcej, niż myślała, ale w tamtej chwili jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. Wkrótce los szykował dla niej niespodzianki, dzięki którym miała się poczuć jeszcze szczęśliwsza.

8. Ksawery

Kto by pomyślał, że w Meksyku święta Bożego Narodzenia kojarzą się z... rzodkiewką! Noche de rabanos to świąteczna tradycja obchodzona w meksykańskim mieście Oaxaca. Dzień przed Wigilią na placu Zócalo można podziwiać przez kilka godzin niezwykle rzeźby wykonane z rzodkiewek. To niesamowite połączenie tradycji, folkloru i sztuki!

Ksawery miał dość samotności. Na co dzień, a nie tylko w dniu, w którym w Małej Przytulnej spadł pierwszy w tym roku śnieg. Przez krótką chwilę, kiedy na ślubie Laury i Adriana spędził miły wieczór w towarzystwie lekarki Dominiki, czuł, że jest szansa, iż ta samotność się rychło skończy. Jednak potem wszystko się rozmyło...

Kompletnie nie wiedział, jak to się stało. Dominika wynajęła mieszkanie, ale zaraz wyjechała. Wiedział o tym, bo wielokrotnie wypatrywał czerwonego samochodu, który wcześniej migał mu gdzieś w miasteczku. Był też kilka razy przed blokiem, w którym mieściło się stare mieszkanie Malwinki, łudząc się, że spotka panią doktor. Nie dzwonił. Ogromnie nie lubił rozmawiać przez telefon. Bo co niby miał powiedzieć? „Cześć, co słychać? Nie mam do ciebie żadnego interesu, ale dzwonię”? Bez sensu.

Przeokropnie trudne zdawały się te kontakty międzyludzkie. Ksawery się obawiał, że jedyny kontakt, jaki w niedalekiej przyszłości będzie utrzymywał, to będzie kontakt z kozą. Ona go lubiła, aczkolwiek podejrzewał, że tylko dlatego, iż czasem ją drapał za uchem. Bo karmiła się sama, jak wiemy, wszystkim, co znalazła w ogrodzie jego i sąsiadki.

W sumie gdyby się zakochał, mógłby obiekt swoich westchnień również drapać za uchem czy za czymkolwiek, za czym by tenże obiekt chciał, ale na razie obiekt najwyraźniej wyniósł się z miasteczka. Dziwna sprawa. Wynajęła mieszkanie i ślad po niej zaginał. A może nie wynajęła? Może Dominika zdecydowała, że jednak będzie mieszkać gdzie indziej? Nic o niej nie wiedział. Bo jak nienormalny rozprawiał z nią o jakichś medycznych sprawach, zamiast o życiu. Gdyby pogadali sobie o życiu, może by się czegoś dowiedział, zbliżyłby się do niej, a tak... Rozłożyli penicylinę na

czynniki pierwsze i omówili życiorys Alexandra Fleminga, ale do ich własnych życiorysów w ogóle się nie zbliżyli. A przecież to było najważniejsze!

Tego dnia, gdy spadł pierwszy śnieg, Ksawery zamknął na chwilę aptekę, wywiesił informację z numerem telefonu i poszedł do biblioteki. Przywitały go tam Halina, Balbina i Gabrysia. Wszystkie trzy wpatrywały się w złoty tablet, na którym dziewczynka coś pokazywała starszym paniom. Zadziwiająca była ich chęć dążenia do zdobywania najnowszej wiedzy technologicznej. On nie miał tabletu, obsługiwał komputer tylko w zakresie minimalnym i długo zajęło mu ogarnięcie tajników kasy fiskalnej. Tyle mu wystarczało.

– Mam wrażenie, że my tutaj świetlicę powinniśmy otworzyć – burknęła Halina. – Lato minęło, więc niedługo pół miasteczka będzie u nas przesiadywać.

– Ale to źle? – zainteresowała się Gabrysia.

– Nie wiem właściwie. – Wzruszyła ramionami. – Czasem człowiek spokoju by potrzebował – mruknęła. – Pomilczał sobie.

– To musisz, Halinko, iść na pocztę – powiedziała konspiracyjnym szeptem dziewczynka. – Tam jest taki pan, który nic nie mówi, tylko milczy.

– To po co mam iść na pocztę?

– No żebyście pomilczeli razem. – Rezolutne dziecko uśmiechnęło się promiennie. – Chyba zawsze raźniej milczeć razem niż osobno, prawda? – Spojrzała na Balbinę.

– Ja nie wiem. Ja mam ten tablet po to właśnie, żeby rozmawiać.

– Z kim?! – wykrzyknęli chórem Gabrysia, Halina i Ksawery.

– Z... z różnymi ludźmi – znowu wymijająco odparła Balbina. – Ze wszystkimi, którzy będą mieli na to ochotę.

– To raczej nie ze mną – burknęła Halinka.

– I nie z panem z poczty – dodała Gabrysia.

– Z pewnością nie – potwierdziła Balbina.

– A po co ty właściwie przyszedłeś? – Halina nagle przypomniała sobie o obecności aptekarza. – Twoja karta biblioteczna już dawno straciła ważność. O ile w ogóle ją miałeś.

– Mia... Miałem – wydukał.

Halinka zawsze działała na niego niczym najbardziej znieawidzona i wzbudzająca postrach nauczycielka. Zapominał języka w buzi i wtedy też

najchętniej by pomilczał. Niekoniecznie z nią. Najlepiej sam i to z daleka od biblioteki.

– No, to co tu robisz? – powtórzyła staruszka.

– Bo ja w zasadzie to szukam pani Malwinki.

– Malwinki? – zdziwiła się Balbina. – Ona dzisiaj pojechała do lekarza.

– A tam zaraz do lekarza – prychnęła Halina. – Pojechała do pasmanterii i na ciastko. Przecież ona kompulsywnie te berety robi. I w sumie ciastka też je kompulsywnie, aczkolwiek w ukryciu.

– Ale może my będziemy w stanie w czymś pomóc? – zapytała grzecznie Balbina.

– Nie sądzę. Malwinka to Malwinka, co się wtrącasz? – Halinka zareagowała ostro.

– Ja... Ja właśnie tylko... – dukał Ksawery.

– A ja myślę, że możemy pomóc – z uśmiechem stwierdziła Gabrysia. –

Przecież wy wszystko wiecie. Jak trzech muszkieterów jesteście, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Bibliotekarki i dziewczynka zaczęły pytająco wpatrywać się w Ksawerego, który już chwilę wcześniej stwierdził, że niepotrzebnie tutaj przyszedł i że ta jego samotność może wcale nie jest jednak taka zła, skoro kontakty międzyludzkie przypominają przesłuchanie. Westchnął rozdzierająco.

– Bo ja chciałbym zapytać, co z mieszkaniem pani Malwinki – wydusił w końcu aptekarz.

– Wynajęte przecież. – Halina odpowiedziała od razu. – Tej doktorce.

– Ale ona tam mieszka? – zapytał nieśmiało Ksawery.

– Teraz chwilowo nie. – Balbina pokręciła głową.

– Wyjechała za granicę – dodała Gabrysia.

– Ale na zawsze? – jęknął Ksawery.

– Nie, na kilka miesięcy.

– To wraca! – Wyraźnie się ucieszył.

– Wraca, i to już niedługo – powiedziała Halina. – Idziemy tam kurze wycierać pojutrze.

– To ona ma kurę? – zainteresowała się Gabrysia. – Fajnie, ty masz kozę, a ona ma kurę. Będziecie do siebie pasowali.

– Naprawdę? – Aptekarz w pierwszym odruchu ucieszył się jeszcze bardziej.

– Ksawery, tyś zgłupiał do cna – westchnęła Halinka. – Ona nie ma żadnej kozy. Ani kury.

– Nie ma? – zdziwił się. – Przecież mówiłyście...

– Kurz ma, nie kurę! Dom wariatów. – Halina pokręciła głową. – Chyba za namową Gabrysi pójdę na pocztę.

– Po co? – zapytała Balbina.

– Pewnie pomilczęć – odpowiedziała spokojnie dziewczynka.

9. Gabrysia

Norwegia słynie z niespotykanej świątecznej tradycji. Trzeba nadmienić, że święta Bożego Narodzenia w tym kraju uznawane są za ulubioną porę czarownic, które na dodatek wykazują się inklinacjami złodziejskimi! Otóż w wielu domach w wigilijny wieczór wszystkie miotły oraz mopy i szczotki zostają schowane! To bardzo zaskakujący zwyczaj, ale już wyjaśniam, dlaczego się tak dzieje... Otóż całkiem niedawno, bo kilkaset lat temu, wierzono, że tego dnia wszelakie czarownice i duchy budzą się z długiego snu. Istnieje więc całkiem słuszna obawa, że ukradną z cudzych domów miotły i na nich odlecą. Dzisiaj w domach szuka się sprytnych kryjówek, o których nikt nie wie, i pilnuje się, by miotły, szczotki i mopy nie stały się łupem ledwo co obudzonego czarodziejskiego złodzieja. Trzeba mieć nadzieję, że duchy i czarownice nie kradną odkurzaczy!

Gabrysia od pewnego czasu nie mogła sobie znaleźć miejsca w Małej Przytulnej. Trudno jej było ponownie się zaaklimatyzować, bo miała wrażenie, że robi to po raz drugi. Ileż można! Pierwszy raz tak się czuła, gdy przyjechała tu z mamą, a teraz, kiedy Tomek wyjechał na studia, ponownie musiała przyzwyczaić się do nowej rzeczywistości. Od pewnego czasu wydawało się jej, że jest na tym wielkim świecie zupełnie sama.

– Gabrysiu, zajmuj się tym, czym zawsze się zajmowałaś, i nie czekaj, aż ja przyjadę – mówił Tomek. – Może powinnaś sobie jakąś koleżankę znaleźć albo kolegę?

– Wszystko się zmieniło... – odpowiadała naburmuszona Gabrysia przez telefon, gdy rozmawiali któregoś dnia.

– Tak... Ale to jest tak naprawdę piękne! Piękne jest to, że świat szykuje dla nas niespodzianki.

– Pod warunkiem, że są dobre – westchnęła dziewczynka.

– Tak by było najlepiej – przyznał Tomek. – Gabrysiu, będzie dobrze, ale chyba musisz poszukać sobie nowych przyjaciół.

– Ja mam przyjaciół – obruszyła się Gabi. – Nie potrzebuję nowych. Przecież zawsze mówiłeś, że nie liczy się ilość, a jakość.

– To prawda, ale mnie nie ma coraz częściej, więc może ktoś na ciebie gdzieś czeka?

Gabrysia nie chciała, by na nią ktoś czekał. Znaczący ktoś obcy, kogo teraz zupełnie nie zna i nawet nie wie o jego istnieniu. Po rozmowie telefonicznej z Tomkiem obrażona na cały świat wyszła z domu, trzaskając drzwiami. Laura aż podskoczyła.

– Gabrysiu, dokąd idziesz? – Wybiegła przed dom i zawołała za nią.

– Prosto przed siebie! – odkrzyknęła Gabi, nawet się nie odwracając. – W świat! – Machnęła ręką.

– A wrócisz? – zapytała Laura.

– Pewnie, że wrócę – odparła. – Kiedyś.

– Całe szczęście, bo kto by zjadł te pyszne naleśniki, które będą na obiad. – Uśmiechnęła się.

– Nales.... – zaczęła Gabriela, zatrzymując się.

Jednak po chwili przypomniała sobie, że jest zła na cały świat i zdecydowanie powinna się oddalić bez słowa. Kompletnie nie wiedziała, gdzie mogłaby się udać, bo miała już wszystkich i wszystkiego dość i z pewnością nie chciała nikogo spotykać ani tym bardziej z kimkolwiek rozmawiać.

Przeszła przez park, mając jednak nadzieję, że spotka pana Anatola, ale niestety ławeczka, na której często siadywali, pozostawała pusta. Niby nie chciała z nikim rozmawiać, ale ostatecznie uznała, iż nie chce być sama. Mimo wszystko.

Nawet śnieg już zdążył nieco stopnieć i zamiast białego puchu na ulicach pojawiła się szara ciapa. Wszechświat dopasowywał się do targających nią emocji.

– Niech się ta zima zdecyduje, czy jest zimą, czy wiosną, czy jesienią – powiedziała na głos, z całej siły kopiąc kamyk, który zatrzymał się przed drzwiami niedawno otwartego punktu pocztowego.

Mimo niestworzonych opowieści mieszkańców Małej Przytulnej o mężczyźnie, który tam pracował, Gabrysia postanowiła tam wejść. Podobno ten człowiek nic a nic nie mówił. Nazwijmy go po imieniu (choć

nie tym prawdziwym, bo tego nikt nie znał) – mruk. Balbina była oburzona jego zachowaniem, ale właśnie ktoś taki był teraz potrzebny obrażonej na cały świat dziewczynce. Kompan do wspólnego niegadania.

– Dzień dobry – burknęła od progu.

Naprawdę liczyła na to, że ktoś, kto tam będzie, nie powie ani słowa, bo doprawdy nie miała ochoty na rozmowę. Na monolog owszem, ale nie chciała nikogo słuchać. A szczególnie jeśli miałby jej dawać dziwne rady o przyjaciółach. Przecież miała ich wielu, więc wcale, ale to wcale nie potrzebowała kolejnych.

Pan Gburowaty, tudzież Mruk, jak nazywała go w myślach, na szczęście się nie odezwał. Spojrzał tylko spode łba w niemym zapytaniu, czego to dziecko od niego chce i dlaczego właściwie zakłóca jego spokój.

– Wiem, że pan nie odpowie – stwierdziła Gabrysia. – I powiem panu, że właśnie dlatego tu przyszłam. Bo mówią, że pan nigdy nic w życiu nie powiedział. I właśnie o to mi chodzi. – Przycupnęła na jednym z krzesełek, które przygotowano na wypadek, gdyby w punkcie pocztowym w Małej Przytulnej ustawiła się kolejka. Oczywiście nigdy do czegoś takiego nie doszło.

Pan Gburowaty siedział za ladą, w półmroku. Lampka tuż obok niego dawała nikłe światło. Gabrysia nie miała zielonego pojęcia, dlaczego nieznamy siedział w takiej ciemności, ale też niezbyt ją to interesowało.

– Bo ja przyszłam, proszę pana, pomilczeć. Nie wiem, czy mi to wyjdzie, bo ja raczej nie lubię milczeć, ale czasem to człowiek ma dość wszystkiego. Pan pewnie sobie myśli, że taki mały człowiek jak ja nie ma prawa mieć wszystkiego dość, ale ja panu mówię, że to prawo ma! – Uderzyła piąstką w sąsiednie krzesło, czym spowodowała to, że Pan Gburowaty na chwilę zatrzymał na niej wzrok. – Niech pan sobie nie przeszkadza. Ja przecież przyszłam tylko pomilczeć. Naprawdę bardzo się staram. – Gestem pokazała, jakby sznurowała usta.

Przez chwilę faktycznie nic nie mówiła, ale najwyraźniej przychodziło jej to z trudem. Wstała, obeszła wokół pomieszczenie. Policzyła długopisy, które były przeznaczone do sprzedaży, poukładała równo zeszyty i przybory szkolne, wystawione na półce.

– Musi pan zadbać o porządek. O eks-pozy-cję towaru. Moja mama była na takim szkoleniu online. Słuchałam wszystkiego i się nauczyłam – poinformowała, układając notesy. – Chodzi o to, by te najfajniejsze rzeczy były na wysokości wzroku. Wzroku klienta, czyli tego, który coś chce

kupić – trajkotała, robiąc rewolucję na regale. – To znaczy, że na tej najniższej półce musimy położyć zeszyty z misiami. Dla maluchów. Potem wyżej takie dla mnie, a najwyżej te dla dorosłych. Nie wiem, po co dorosłym zeszyty, ale w razie gdyby mieli ochotę coś zapisać... – Zmarszczyła brwi. –

Chociaż pani Malwinka kupuje notatniki. Ma taki szary zeszyt, na który jej nakleiałam świąteczne nalepki. Zapisuje tam swoje pomysły na prezenty. Nikt nigdy nie wie, co tam jest napisane, bo ona ten zeszyt ukrywa przed światem, ale zawsze trafia z prezentami! Jestem ciekawa, co panu by kupiła. Musiałaby pana poznać bliżej, a jednak trudno kogoś poznać, gdy ten ktoś nie mówi ani słowa. Prawda? – Gabrysia przez krótką chwilę łudziła się, że uzyska odpowiedź, ale stało się inaczej. – No! Gotowe! – Uśmiechnęła się, spoglądając z dumą na swoje dzieło.

Pan Gburowaty zdawał się niewzruszony jej działaniami. Właściwie jakby w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Gabrysia chciałaby zobaczyć, co on robi, ale panował półmrok i nie widziała nawet dobrze jego twarzy. Spod stołu ledwo dostrzegła jakieś światełko, jakby ekran komputera albo telefonu, ale dziewczynka musiałaby tam zajrzeć, by zobaczyć co to było, a nie miała śmiałości.

– Pani Balbinka kupiła sobie tablet, on też się nadaje do notowania. Chociaż z tym tabletem to podejrzana sprawa. Bo skąd niby miała tyle pieniędzy? – zapytała, spoglądając na mężczyznę. – No wiem, pan mi nie odpowie. Ostatnio się uczyłam, że to pytanie retoryczne. Jak ktoś kogoś o coś pyta, ale wcale nie oczekuje odpowiedzi. Ja nie oczekuję, może pan sobie spokojnie milczeć. Przecież właściwie po to przyszłam, żeby pomilczeć. Chociaż ma pan twarde to krzeselko... – Pokręciła głową. –

Mógłby pan zainwestować w coś wygodniejszego. Bo czekają mnie trudne czasy, proszę pana. Samotność mnie przytłacza. Może ja będę chciała przychodzić pomilczeć częściej?

Zdjęła kurtkę, złożyła ją i położyła na krzesło.

– O, teraz jest bardziej miękko. – Westchnęła. – Poduszka by się przydała. Może wezmę następnym razem, bo nawet milczy się lepiej, kiedy jest człowiekowi wygodnie. No dobra, to o czym my tu milczeliśmy? A, już wiem! O trudnych czasach. Bo wie pan, kiedyś często siedziałam w parku z panem Anatolem, ale on się zakochał i teraz chodzi na spacer z panią Malwinką. Nie żebym miała coś przeciwko miłości, bo moja mama też się zakochała, w Adrianie. Ale przez to nie przestała ze mną rozmawiać czy coś. A Anatol trochę przestał. Tomek wyjechał na studia i pewnie jak się

zakocha, to już w ogóle przestanie ze mną mieć do czynienia. Mógłby się zakochać we mnie, prawda? Tylko ja jeszcze jestem trochę za młoda. No sam pan widzi, że mam ciągle pod górkę. Chyba że Tomek poczeka, aż będę starsza. Tylko wtedy on też już będzie starszy. Może będzie miał brodę albo wąsy...

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, jak jej przyjaciel będzie wyglądał w tak innym wydaniu. Wciąż nie umiała sobie tego wyobrazić.

– Nawet nie wiem, jak ma pan na imię, ale skoro pan się nie odzywa, to jakoś dam radę, przecież i tak sobie tylko milczymy. Jestem zaskoczona, że to takie miłe, to siedzenie w ciszy. Bo wszyscy mówią, że ze mnie jest gaduła, ale, jak widać, to milczenie też mi całkiem nieźle wychodzi.

Gabrysia przez chwilę siedziała, po czym wstała i zaczęła czyścić chusteczką szybkę jednej z witryn.

– Niedługo święta. Smutno ma pan tutaj. I szyby brudne. Powinien pan mieć jakieś ozdoby bożonarodzeniowe. My mamy sporo na strychu, zapytam mamę, może coś panu pożyczymy albo nawet подарujemy. –

Uśmiechnęła się. – Trudny teraz czas przed panem, bo pewnie będzie pan sprzedawał kartki świąteczne. Dużo ludzi będzie do pana przychodzić i będzie im pan musiał cokolwiek opowiadać. Chociaż pani Halina mówi...

– Gabrysia wstała i teatralnie złapała się pod boki. – „Ach, któż w tych czasach pochylił się nad pocztówkami! Ta tradycja zanikła zupełnie!” –

Usiadła z powrotem. – Tylko niech pan nie myśli, że to ja tak mówię, to słowa Halinki. Ona już jest stara i pewnie zna mnóstwo tych zwyczajów. Ale ja jej w tym roku chcę zrobić niespodziankę. Nie tylko jej!

Mężczyzna podniósł wzrok i przez chwilę patrzył na Gabrysię.

– O! Nawet pan jest zainteresowany tą niespodzianką! To ja panu powiem, bo przecież pan milczy, więc i tak pan nikomu tego nie zdradzi. –

Uśmiechnęła się promiennie. – Jest pan pewnie najlepszy, jeżeli chodzi o dochowywanie sekretów. Ja dla wszystkich moich przyjaciół będę robić kartki świąteczne. Wezmę kartonik, coś na nim nakleję albo narysuję. I te kartki potem wyślę. Przyjdę tu do pana z nimi wszystkimi, z tymi kartkami, a nie z przyjaciółmi oczywiście. Kupię znaczki, nakleję i wrzucę do skrzynki. Myślę, że to świetny pomysł. Fascynujący wręcz! Bo wie pan co... Kiedyś oglądałam taki program o tym, jak przesyłane są listy i pocztówki. Pewnie pan wie, ale ja i tak panu powiem. Jak wrzucę pocztówki do skrzynki, to potem wyjmie je z tej skrzynki listonosz, być może pan, nie znam się na tym w takich szczegółach. I te pocztówki pojedą do takiej

specjalnej sortowni, gdzie się segreguje, czy listy mają iść do Małej Przytulnej, czy do Honolulu. Ja nikogo w Honolulu nie znam, ale chciałam Tomkowi jedną wysłać do Gdańska, gdzie on studiuje. Jednak zmieniłam zdanie. Jest pan ciekawy dlaczego?

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Gabrysia aż wstała, by rozpoznać po wyrazie jego twarzy, czy jest chociaż trochę zaciekawiony. Przekrzywiła głowę i przez chwilę przyglądała się Panu Gburowatemu. Niestety nic nie odkryła. Wzruszyła ramionami i mówiła dalej:

– No mógłby pan chociaż czasem podnieść lewą brew. Albo zamrugać raz na tak, a dwa razy na nie. Ale uznajmy, że pana ciekawi, dlaczego nie wyślę Tomkowi kartki do Gdańska. Bo ja chciałabym, żeby te wszystkie pocztówki razem wyruszyły w podróż do tej sortowni i gdybym wysłała wszystkie pocztówki do Małej Przytulnej, a jedną do Gdańska, to tej jednej byłoby przykro, że jest samotna w drodze, prawda? Bo potem byłaby „odsortowana” na inną kupkę. Może nie na tę, która idzie do Honolulu, ale na tę, która trafi nad polskie morze. Czy panu jest czasem przykro, że jest pan samotny? Bo mnie czasem jest. I ja naprawdę nie chcę, żeby ta pocztówka do Tomka samotnie wyruszyła w podróż. Mogłaby się zgubić. Więc przyjmijmy, że te wszystkie pocztówki pojedą sobie razem na wycieczkę i potem grzecznie wrócą do Małej Przytulnej i trafią do adresatów. Nieźle to sobie wykombinowałam, prawda?

Mężczyzna oczywiście nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

– Jak już się z panem bardziej zaprzyjaźnię, to też panu będę mogła wysłać pocztówkę. To już w ogóle będzie kosmos! Wyślę ją tutaj, ona pojedzie sobie na wycieczkę i wróci dokładnie w to samo miejsce!

Dziewczynka spojrzała na dystrybutor z wodą, stojący za regałem.

– Napiję się trochę, bo aż mi w gardle zaschło od tego milczenia – powiedziała, biorąc ogromny łyk. – Łatwiej by mi było, gdybym wiedziała, jak ma pan na imię. Ja też nie wiem, czy się w końcu przedstawiłam. Jestem Gabrysia. Ale ja nigdy się nie przedstawiam, bo mnie tu wszyscy znają. Pan już też. No i pięknie. – Dziewczynka wstała, wzięła z krzesła kurtkę i włożyła ją. Na głowę nasunęła kolorową czapkę i owinęła się szalikiem.

– Na mnie już czas. Idę do biblioteki. – Spojrzała jeszcze raz na mężczyznę. – Bardzo mi pan pomógł. Dziękuję.

Przez chwilę wydawało jej się, że Pan Gburowaty chce coś powiedzieć. Jakby nawet uniósł się z krzesła... Jednak nadal milczał uparcie,

dziewczynka złapała więc za klamkę. Kiedy była już jedną nogą za drzwiami, usłyszała ciche słowo:

– Kazik.

– Słucham? – Odwróciła się zdziwiona.

– Mam na imię Kazimierz – powiedział mężczyzna. – Kazimierz Zawadzki.

Gabrysia momentalnie się rozpromieniła. Podbiegła do mężczyzny i uścisnęła mu rękę.

– Przeogromnie mi miło, panie Kazimierzu. Ja jestem Gabriela Ratajczyk. Naprawdę bardzo mi miło było pana poznać! – Uśmiechnęła się jeszcze raz i w podskokach opuściła punkt pocztowy.

Tak bardzo się ucieszyła, że Pan Gburowaty wreszcie się do niej odezwał, że niemalże zapomniała, po co chciała iść do biblioteki. Miała wrażenie, że już jest Wigilia, bo milczący dotąd mężczyzna przemówił ludzkim głosem, pomyślała zatem, że i koza pana Ksawerego się odezwie, i wszystkie miejscowe koty. Aczkolwiek skoro już знаła imię pana z poczty, zdecydowanie nie powinna mówić o nim tak brzydko. Pan Kazik. Albo pan Kazimierz. Jeszcze nie wiedziała, jak będzie go nazywać, bo mimo wszystko w głowie siedział jej Pan Mruk tudzież Pan Gburowaty.

Kiedy dochodziła do biblioteki, już nie była taka szczęśliwa, bo to, iż dotąd milczący mężczyzna się odezwał, zdawało się tak irracjonalne, że sama miała wrażenie, iż jej się to przywidziało, a raczej przesłyszało. Postanowiła na wszelki wypadek nie zdradzać tego faktu, gdyby miało się okazać, że to jednak nieprawda.

– Poproszę jakąś książkę o tęsknocie – powiedziała, gdy wparowała do biblioteki.

– O tęsknocie? – Halinka się skrzywiła, przerywając na chwilę wymiatanie kurzu z dwudziestoczwartotomowej encyklopedii, której w dobie Internetu nikt od dawna nie ruszał, a kurzyła się przeokropnie. – A po cóż to roztrząsać?

– Ja bym zaproponowała coś o miłości – stwierdziła Malwina.

– Niespełnionej – dodała Balbina.

– Ależ właśnie spełnionej! – zaprotestowała Malwina. – Takiej ze szczęśliwym zakończeniem.

– W życiu nie ma happy endów – powiedziała z angielska Halinka. – Jest tylko rozpacz, łzy i tęsknota.

– Właśnie że są! – zaprotestowała Malwina, potrząsając swoimi rudymi lokami.

– Właśnie że nie ma – syknęła Halina.

Obie kobiety wymownie spojrzały na Balbinę.

– A co ja, arbiter, że mam rozstrzygać wasze spory? – obruszyła się, gdy mimo braku jej reakcji przyjaciółki nie spuszczały z niej wzroku. – Czasem są, a czasem nie ma. Takie jest życie. A niekiedy trzeba sobie wmówić, że to, co nam się właśnie zdarza, to jest szczęście. A gdy to nie pomaga, to zawsze można pomyśleć, że jeszcze żyjemy i nigdy nie wiadomo, co nam los przyniesie jutro. Może za rogiem czai się szczęście. I ja się trzymam tej wersji.

– Phi! – prychnęła Halinka. – Zaglądam za te wszystkie rogi kamienic od trzydziestu albo nawet czterdziestu lat i nigdzie tego szczęścia nie widać. Chyba że ono bawi się ze mną w chowanego. I jak ja zaglądam za jeden róg, to to szczęście zwiewa za drugi. Taki chichot losu.

– Masz gdzie spać? – zapytała Malwina. – Masz. Chodzisz o własnych siłach? Chodzisz. To już wystarczające powody, by być szczęśliwą.

– I żyjesz. Przede wszystkim to. A mogłabyś już tańcować ze świętym Piotrem – dodała Balbina.

Halina spoglądała na nie skrzywiona. Zdecydowanie taniec ze świętym Piotrem był ostatnim, co brała pod uwagę. W ogóle taniec jako taki był tak absurdalny, że nie chciała sobie nim zaprzętać głowy, a już na pewno nie w chwili ostatecznej.

Balbina chyba też się zreflektowała, że palnęła głupotę, bo zarechotała głośno. Gabrysia uznała, że to zdecydowanie nie był niebiański śmiech i wolałaby, żeby pani Marysia go tam w niebie nie usłyszała. Dziewczynka chrząknęła i postanowiła zmienić temat.

– Jak już mówiłam, przyszłam po książkę. O tęsknocie.

Bibliotekarki jeszcze raz spojrzały po sobie. Żadna z nich nie wiedziała, co polecić temu nad wyraz rozwiniętemu i dość odczytanemu dziecku.

– Ekhm... – zaczęła Malwina. – Kiedy nie mamy pomysłu, co zaproponować czytelnikowi...

– Proponujemy zawsze... – dodała Halina.

– ...*Małego Księcia* – zakończyła z uśmiechem Balbina. – Tam o tęsknocie jest z pewnością.

Dziewczynka chwyciła książkę i przez chwilę się zastanawiała, czy nie zaproponować Halince, by poszła na pocztę pomilczeć wraz z panem Kazimierzem, ale jednak zmieniła zdanie. Na razie Kazimierz był tylko jej.

10. Balbina

W Ukrainie na świątecznym drzewku wieszają się sztuczne pająki i pajęczyny. Wszyscy wierzą, że przyniosą one szczęście domownikom. Legenda głosi, że dawno temu pewna biedna kobieta nie miała pieniędzy na kolację wigilijną ani na choinkowe dekoracje. Poszła spać zapłakana, a gdy się obudziła następnego dnia, zobaczyła choinkę udekorowaną pajęczyną. Po chwili sieć zmieniła się w złoto i zapewniła kobiecie bogactwo do końca życia.

Balbina o tęsknocie wiedziała tyle, co mało kto. Była skryta i nie rozmawiała z nikim o swoich problemach. W tej kwestii z pewnością „dogadałaby się” (gdyby tylko częściej się odzywał) z panem Kazimierzem. Nie liczyła, że los przyniesie jej na stare lata jakiegokolwiek niespodzianki. A jednak...

Uśmiechnęła się do siebie. Może to czas, by faktycznie żyła już szczęśliwie? I jak najdłużej? Nie oczekiwała niczego, ale też z radością przyjmowała to, co przynosił jej każdy dzień.

A to wszystko dzięki tej dziewczynce i popsutemu telefonowi...

Chwilę wcześniej. Tuż przed tym, gdy Tomek stał się dziedzicem

– Balbinko, zadzwonię do ciebie, gdy perfumy będą gotowe – powiedziała Laura, kiedy staruszka wreszcie przyszła do niej na – jak to we trzy nazywały – „pachnące czary-mary”.

– Tylko jest problem, kochana... – westchnęła. – Bo ja... utopiłam telefon.

– Jak to utopiłaś telefon? – zdziwiła się Laura. – Kąpałaś się z nim?

– A bo dzwoniła Halinka. Jakby nie mogła się ze mną nagadać w dzień i jeszcze chciała gadać w nocy. I rozmawiałyśmy tak długo, a raczej prowadziła monolog, przyznam, iż trochę nudnawy, że ja już bardzo chciałam iść spać. Wiesz, Laurko, że Halinka albo papla jak najęta, albo

uparcie milczy. Ona w niczym nie uznaje półśrodków. No i wtedy ewidentnie miała słowotok...

– Chyba każdy czasem tak ma, Balbinko.

– O nie! – zaprotestowała żywiłowo. – Halinka to robi szczególnie. Jak ona milczy, to tak, że wszyscy boją się oddychać, by nie zakłócić tej ciszy. Ona jest niczym czarna dziura. – Wzdrygnęła się na samo wspomnienie tego wymownego milczenia. – A jak już Halinka zaczyna mówić, to po chwili człowiek jest tak zmęczony tym jej gadaniem, że nie marzy o niczym innym jak o tym, by mieć kogoś znajomego, kto pracuje na budowie i może pożyczyć słuchawki wygłuszające. Ja, niestety, nie mam nikogo takiego, poza tym z natury jestem całkiem grzeczna i miła i nie ośmieliłabym się tak ostentacyjnie zachować.

– I wtedy właśnie tak było? W dniu, gdy utopiłaś telefon?

– Dokładnie tak – westchnęła.

– A nie mogłaś jej przerwać, przeprosić, że jesteś zajęta, czy chce ci się spać albo musisz już iść się kąpać?

– Lauro kochana, ty jeszcze nie znasz Halinki! Gdyby jej przerwać, to ona by się obraziła na śmierć i wtedy by jeszcze bardziej demonstracyjnie milczała niż wtedy, gdy milczy zwyczajnie! Moglibyśmy tego nie przeżyć!

– Rozumiem... – przytaknęła Laura, chociaż rozumiała naprawdę niewiele.

– No i ona tak gadała, i gadała, a ja stwierdziłam, że jestem miła i sympatyczna i nie będę jej przeszkadzać, więc położyłam telefon na pralkę i weszłam do wanny. Ustawiłam na głośnomówiący i tak trochę słuchałam, a trochę nie. I nagle...

– Tak, Balbinko?

– I nagle ona ryknęła, że ja jej wcale nie słucham. W sumie miała rację... Tak się przestraszyłam, że chciałam szybko sięgnąć po telefon i jak majtnęłam ręką czy nogą... – Zamilkła na chwilę. – Nogą raczej nie majtnęłam, bo chyba w moim wieku nie dałabym rady. – Zmarszczyła brwi. – Z tego wszystkiego nie wiem, czym majtnęłam, w każdym razie zrobiłam to tak gwałtownie, że telefon wpadł do wanny. Kiedy go wyjęłam, zdążyłam tylko powiedzieć, że psuje mi się telefon, i wtedy się wyłączył na amen.

– I co potem było?

– A co cię bardziej interesuje, co się stało z telefonem czy z Halinką? – zapytała Balbina.

– No w sumie jedno i drugie – powiedziała nieśmiało Laura.

– Telefon padł. Nie dało się go włączyć, a Halinka jak to Halinka... obraziła się. Nie narzekałam jednak, bo obrażona Halinka sprząta. Nigdy nie mieliśmy tak czystej biblioteki. Powiem ci w sekrecie, że czasem perfidnie z Malwinką kłóciłyśmy się z naszą przyjaciółką. Zwykle przed Gwiazdką i Wielkanocą, gdy trzeba było robić porządki. Bo my tego zbytnio nie lubimy, a ona jak się wnerwi, naprawdę jest w tym dobra. Lepsza niż sanepid.

– To ja już nie wiem, czy się martwić, czy się smucić...

– Też nie wiem, Laurko, ale skutek jest taki, że nie mam telefonu.

– My mamy jakiś starszy model, którego nie używamy. Adrian lubi mieć zawsze te najnowsze, więc dostałam jakiś w spadku i swój mogę ci oddać. Nie jest zepsuty, nawet baterię ostatnio wymieniałam. Ma całkiem spory ekran, więc wszystko będziesz widzieć.

– Naprawdę? – Ucieszyła się. – Bo ja to się nie znam na tym wszystkim, a ta technika to idzie do przodu w zawrotnym tempie. Podejrzewam, że takich telefonów, jak ja miałam, to już nie produkują.

– Być może. Przyjdziemy do ciebie z Gabrysią któregoś dnia, wszystko ci ustawimy i pokażemy, jak go obsługiwać.

Balbina uśmiechnęła się do wspomnień. Faktycznie kilka dni później Laura i Gabrysia przyszły do niej z pięknym telefonem, jeszcze w firmowym pudełku. Był jak nowy. Na początku nie umiała go obsługiwać, ale jak to mówiła Laura, naprawdę był wielce intuicyjny. Laura pokazała jej podstawy, ale gdyby nie Gabrysia, nie poznałyby wielu możliwości swojej nowej zabawki.

– Zainstalować ci TikToka, Balbinko? – zapytała dziewczynka.

– A co to ten tik tak?

– A takie śmieszne filmiki. – Gabrysia wpatrywała się w telefon.

– No to nie wiem, czy ja to chcę. Ale możesz zainstalować, może sobie popatrzę.

– I Facebook ci zainstaluję.

– O! To zawsze chciałam mieć. Halinka to ma i wciąż coś tam ogląda. Dzięki temu wie, komu się wnuki urodziły, a kto umarł. I Jadzia też ma.

– Tak, bo Facebook jest dla starych ludzi – powiedziała Gabrysia, stukając w telefon.

– Dla starych ludzi? – zdziwiła się Balbinka.
– No tak. Młodszy mają TikToka, Instagrama, Snapa, a starsi Facebooka.
– Rozumiem... – powiedziała Balbina, po czym szybko dodała: – Tę TikToka i Instagrama też mi wgraj. I to trzecie też. Ja duchem przecież jestem całkiem młoda.

Gabrysia spojrzała na nią uważnie.

– Jesteś pewna? – zapytała.

– No, a czemu nie?

– Media społecznościowe wciągają jak bagno – stwierdziła dziewczynka, odpowiednio dramatycznie ścisząc głos. Balbina wytrzeszczyła oczy, więc Gabi dodała: – No nie patrz tak na mnie. Słyszałam w telewizji. Ja nie mam tego problemu, bo mama jest jak żandarm. Jak od trzynastu lat, to od trzynastu. Czasem tylko oglądam coś w jej telefonie.

– No to pokaż mi tego Facebooka.

Gabrysia zainstalowała wszystko Balbinie, po czym zaczęły wspólnie szukać znajomych.

– To jest Halinka? – zdziwiła się starszuszka, oglądając zdjęcie przyjaciółki. Chyba sprzed dziesięciu lat!

– To filtry upiększające. Wiesz, Balbinko, mama mówi, że młodzi usuwają sobie pryszcze, a starzy zmarszczki. Tylko potem jak spotkasz takiego na ulicy, to go wcale nie poznasz.

– No, patrząc na Halinkę, to istnieje takie ryzyko – przyznała Balbina. – To, że wygląda tu korzystnie, to mało powiedziane.

– Poproszę Adriana, to ci ładne zdjęcie zrobi, bez filtrów.

– Dobrze. Ale te filtry też mi zainstaluj – dodała zapobiegliwie.

– To Halinkę dodajemy do znajomych. I od razu pojawia nam się pani Jadzia z restauracji, i moja mama, i Tomek. Wszystkich ci, Balbinko, pododają. Oni to muszą zaakceptować. To znaczy potwierdzić, że cię znają.

– Chyba potwierdzą? – zaniepokoiła się Balbina.

– Pewnie tak. No chyba że cię nie lubią. Jak się kogoś bardzo nie lubi, można go też zablokować. Mama mówiła, że jakiś były narzeczony ją zablokował. Taki sprzed stu lat. Ale to dziwne, prawda? Bo jak był kiedyś jej chłopakiem, to musiał ją lubić. Tak mu się mogło zmienić? – zastanawiała się. – To kogo jeszcze dodać?

– Może moją siostrę? Ona chyba tego używa.

Po chwili jej siostra była już „znajomą”. Za chwilę dołączyli szwagier i trójka ich dorosłych już dzieci.

– I teraz możesz z nimi rozmawiać, wysyłać im zdjęcia albo filmy. Możesz mieć z nimi cały czas kontakt, dosłownie, jakby byli w pokoju obok.

– Cudownie!

– Jak już dodasz sobie znajomych, to potem Facebook ci sam proponuje, że być może kogoś znasz – tłumaczyła dalej Gabrysia. – O, na przykład tutaj. Zobacz.

Oczom Balbiny ukazały się dwa zdjęcia. Na jednym z nich była Maja Zawada, a na drugim Sebastian Zawada. Serce jej zamarło.

– Znasz ich?

– Znam. – Balbina pokiwała głową.

– To dodajmy ich do twoich znajomych – zaproponowała Gabrysia.

– Nie, nie... Poczekajmy jeszcze trochę.

– Nie chcesz ich znać? – zdziwiła się dziewczynka.

– To skomplikowane, Gabrysiu. – Balbina się zamyśliła. – To bardzo skomplikowane. Chyba nie jestem na to gotowa.

Faktycznie, znajomość z Mają i Sebastianem była bardzo skomplikowana. Balbina, widząc ich zdjęcia, przywołała wspomnienia, które na zawsze wolałaby wyprzeć z pamięci. Prawdę powiedziawszy, sądziła, że już o nich zapomniała. Wyleczyła się nie tylko z choroby ciała, ale też z choroby duszy. Ta pierwsza była śmiertelna i poradzili sobie z nią lekarze za pomocą operacji i silnych medykamentów. Ta druga była może mniej groźna, ale bardziej trwała. Nazywała się tęsknota.

Czasami łatwiej było zapomnieć. Mówi się, że czas leczy rany. Mijające długie dni są w stanie zdusić kiełkujące uczucie. Tylko co wtedy, gdy ono jest tak silne i nagle zacznie wyrastać, mimo iż zostało przysypane samotnie spędzonymi dniami, miesiącami, latami? Kiedy nagle, pod wpływem jednego zobaczonego zdjęcia na Facebooku, uczucie znowu zacznie szybko wzrastać? I co z tym można zrobić? Czy podlewać je ponownym kontaktem, czy wręcz przeciwnie, znowu zapomnieć i pozwolić mu zwiędnąć na zawsze?

Na te pytania Balbina jeszcze nie знаła odpowiedzi. Postanowiła na spokojnie obserwować, co przyniesie los. Nie wiedziała wtedy, że wszystkie złe zdarzenia przypadające na Balbinę z Małej Przytulnej się wyczerpały i przyszłość szykuje dla niej już tylko same sympatyczne niespodzianki.

Pewnie gdyby wiedziała, natychmiast by kliknęła „zaprosz do znajomych”. Ale na to trzeba było jeszcze chwilkę poczekać.

Dokładnie pamiętała ten dzień, kiedy wspinała się po schodach wysokiej kamienicy w sąsiednim miasteczku. Tej kamienicy, w której przyjmował doktor Maryński, jedyny lekarz w okolicy. Przychodziło się do niego ze wszystkim – i z bólem głowy, i z połamaną nogą. Chociaż, prawdę mówiąc, połamana noga dyskwalifikowała potencjalnego pacjenta, gdyż gabinet znajdował się na trzecim piętrze i raczej nie było szans, by ktoś z połamaną nogą wciągnął się tam przy użyciu masywnej poręczy. Ortopedią się zatem pan doktor raczej nie zajmował.

Kilka dni wcześniej Balbinę coś zaniepokoiło. Podczas wieczornego mycia wyczuła zgrubienie w piersi. Na początku się tym nie przejęła, ale po rozmowie telefonicznej z siostrą, która zaczęła według niej zbyt mocno panikować, postanowiła jednak udać się do lekarza. Nie dla siebie, bo uważała to za fanaberię, przecież czuła się dobrze, ale czego się nie robi dla panikującej siostry. I trochę dla świętego spokoju. Oczywiście dla spokoju Klary.

– Musisz iść – przekonywała. – Siostra Michaela wyczuła u siebie takie coś, ale do lekarza dotarła zbyt późno. Bagatelizowała sprawę i już będą trzecie święta, jak spędzamy je bez niej.

– Ty mnie straszysz – zdenerwowała się Balbina.

– Ja cię nie straszę. Po prostu chciałabym mieć moją siostrę dłużej niż krócej.

Balbina poszła więc do doktora Maryńskiego dla świętego spokoju. Jak już ustaliliśmy, bardziej dla świętego spokoju siostry niż swojego. Bo przecież ona była spokojna. Oczywiście nie lubiła tego całego zamieszania związanego z chodzeniem do lekarza. Starła się regularnie badać, jeść witaminy, nawet dużo spacerowała, więc doprawdy nie miała sobie nic do zarzucenia. Prowadzała się dobrze i zdrowo. Wyjście do lekarza wiązało się z braniem dnia wolnego w pracy, zaraz zaczynały się pytania po co i dlaczego. Nie chciała się zwierzać koleżankom z takiej głupoty jak zgrubienie w piersi. Zresztą o tak intymnych sprawach raczej z nimi nie rozmawiała. A ten guzek to pewnie jak pypeć na języku po zjedzeniu niemytych owoców. Błahostka.

Powiedziała Halince, że musi sobie kupić coś w miasteczku obok, i po prostu wyszła z pracy. Była umówiona na czternastą, ale wolała być tam wcześniej. W ogóle Balbina należała do osób, które zawsze czekały na peronie piętnaście minut przed odjazdem pociągu. Nie spóźniała się nigdy, zatem do lekarza również nie zamierzała się spóźnić. Założyła nową bieliznę, która czekała w szafie na takie okazje, bo jakież miałyby być inne, i wsiadła do autobusu.

Po piętnastu minutach wdrapywała się na te cholerne schody. Była wówczas po pięćdziesiątce, ale mimo wszystko to trzecie piętro stanowiło pewne wyzwanie. Na szczęście u góry pan doktor łaskawie wygospodarował kilka krzeseł w charakterze poczekalni i zdyszana mogła tam usiąść.

Po co przyszła? To już ustaliła sama ze sobą. Dla siostry. Jednak w sercu miała pewien niepokój. Co będzie, gdy się okaże, że jednak zmiana jest poważna? Że jednak jest chora? Nie chciała dopuszczać tej myśli do świadomości, ale ta krążyła wokół niej niczym natrętna mucha.

Przecież nie powie o niczym przyjaciółom. Będą się o nią martwili! A mają przecież swoje problemy. Nie mogła im tego zrobić. Będzie musiała gdzieś wyjechać, by jej nie oglądali. By nie zawracać im głowy swoją osobą i swoimi sprawami.

Ale przecież wszystko będzie dobrze. Była tego prawie pewna. Kto jak kto, ale ona bardzo wierzyła w szczęśliwe zakończenia. Wtedy jednak nie zdawała sobie sprawy, że na swoje szczęśliwe zakończenie będzie musiała trochę poczekać.

11. Doktor Maryński

Współczesny wizerunek Mikołaja bez atrybutów świętości, podróżującego saniami zaprzężonymi w renifery, przedstawił po raz pierwszy w roku 1823 Clement Clarke Moore w wierszu „Noc wigilijna”.

Pierwszy raz Święty Mikołaj, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni został narysowany przez amerykańskiego karykaturzystę Thomasa Nasta. To on 1 stycznia 1881 roku na łamach „Harper’s Weekly” opublikował ilustrację Świętego Mikołaja rozdającego prezenty żołnierzom biorącym udział w wojnie secesyjnej.

Uważano, że doktora Maryńskiego nikt nie lubił. Może poza Jankiem, który odwiedzał go regularnie i się do niego po prostu przyzwyczał. O dziwo, Janka pan doktor nie lekceważył, tylko zawsze uważnie go wysłuchał. Może dlatego, że mogli sobie pogawędzić o muzyce i sztuce. W szczególności francuskiej. Nawet kiedyś Janek, skarżąc się na małą wydajność płuc („Panie doktorze, to z pewnością POChP”), zagrał mu na harmonijce wszystkie piosenki Jacques’a Brela. Siedzieli w gabinecie niemalże do północy, Janek wyszedł uzdrowiony na ciele, a konkretnie na płucach, a pan doktor Paweł Maryński na duszy. Chociaż trochę...

Niemniej był on postrzegany jako mruk, gbur i despota. Doktor Maryński uważał jednak, że on nie jest od lubienia, ale od leczenia ludzi. Uznał, że gdyby był sympatyczny i pozwalał sobie na radosne pogawędki, jak to określał, wizyty lekarskie trwałyby dużo dłużej i przez to mógłby przyjąć o wiele mniej osób. Niepotrzebne były bezsensowne gadki szmatki, o pogodzie czy o polityce. O polityce szczególnie.

Starął się obserwować i nie prowadzić zbędnych dyskusji. Oczywiście czasem trzeba było o coś zapytać pacjenta, modłać się w duchu, byleby za długo nie mówił. Niektórzy się bardzo rozgadywali. Opowiadali mu jakieś bzdury o tym, jak byli dziećmi i zdarli sobie kolano czy skaleczyli się w palec. Co go obchodził palec jakiegoś dzieciaka, który obecnie miał osiemdziesiąt lat i po skaleczeniu siedemdziesiąt pięć lat temu nawet blizna

nie została? Jacy ci ludzie byli mało konkretni! Burczeli, jęczeli i utrudniali mu pracę, jak tylko mogli.

Gabinet na wysokim trzecim piętrze był zabiegiem celowym. Pracując kiedyś w dużej przychodni, widział wiele osób, które przychodziły do lekarza w celach towarzyskich. Kompletnie tego nie rozumiał. W ogóle nie rozumiał celów towarzyskich. Miał jednego przyjaciela, z którym spotykał się czasem na whisky i cygaro. Trochę rozmawiali, trochę milczeli, słuchali Joe Dassina, Jaques'a Brela, Mireille Mathieu i Charles'a Aznavoura. Miał ogromną słabość do francuskiej muzyki, sztuki i literatury. Chłonał ją jak gąbka. Słowa, które czytał czy słuchał, zupełnie mu wystarczały. Przyjaciela poznał we Francji. Spotykali się z rzadka, ale wiedzieli, że zawsze mogą na siebie liczyć.

Doktor Maryński wyjechał na staż do jednej z paryskich klinik jeszcze w latach osiemdziesiątych. Wtedy gdy prawie nikt nie opuszczał kraju, a gdy już się to zdarzało, to istniało poważne podejrzenie, że ten ktoś miał jakieś śliskie powiązania z partią rządzącą. Albo po prostu był imperialistycznym szpiegiem. O dziwo, doktor Maryński nie był szpiegiem ani też nie miał konszachtów z ówczesną władzą, a jakimś cudem udało mu się wyjechać na staż. Został go tam stan wojenny i długo nie mógł wrócić do ojczyzny. Każdego dnia tęsknił za Polską. Francję jednak również pokochał. Tę kolorową, pachnącą bagietkami i odurzającymi perfumami. Można powiedzieć, i ma to zabrzmieć dwuznacznie, że zostawił tam serce.

Na początku pobytu zakochał się w burlesce. A przede wszystkim w Juliette, kobiecie, która była jej mistrzynią. Mówi się, że aby poznać język obcy, najlepiej zakochać się w obcokrajowcu. To prawda. Bardzo szybko nauczył się francuskiego. Był zakochany do szaleństwa. Nie wziął jednak pod uwagę tego, że jego wybranka kochała do szaleństwa wielu mężczyzn. On był tylko jednym z wielu. Nie wiedział o tym od razu, gdyż zupełnie nie chciał tego dostrzec, mimo iż ona zupełnie tego przed nim nie ukrywała.

– *Mon Dieu*, ale czy ty myślałeś, że jesteś jedyny? – Śmiała się perliście, gdy przyszedł z kwiatami i pierścieniem zaręczynowym. – Ja codziennie otrzymuję kwiaty. Pierścionki może co drugi dzień.

Zatkało go, kompletnie nie wiedział, co odpowiedzieć. Oczy mu się zaszkliły, chociaż zawsze mu powtarzano, że mężczyźni nie płaczą.

A jednak, czasem nie można inaczej...

– Nie może zostać tak jak jest? – zapytała, ocierając się o niego niczym stęskniona kotka. – Przecież ja się nie nadaję do monogamii. Monogamia jest... nudna. A ja mam bardzo pojemne serce i nie cierpię nudy!

W tym momencie serce Pawła Maryńskiego skurczyło się do rozmiarów ziarenka maku. Nie zostało tam miejsce dla nikogo. Nawet dla niego samego. Postanowił, że nie zaangażuje się już nigdy w żadną głębszą relację z kobietą. Będzie je traktował przedmiotowo. Będzie na nie zwracał uwagę wyłącznie wtedy, gdy będą do niego przychodzić w charakterze pacjentek. Będą dla niego jak zepsute zabawki, które trzeba naprawić, by realizowały przez jakiś czas swoje funkcje życiowe.

Do pracy przychodził pierwszy, a wychodził ostatni. Na korytarzach każdego dnia mijał mężczyznę, który skrupulatnie czyścił powieszony na ścianach obrazki, szorował podłogi. Wszędzie lśniło. Doktor Maryński kochał porządek i kochał, gdy ktoś wykonywał swoją pracę perfekcyjnie. Tak jak Juliette. W tej cholernej burlesce była perfekcjonistką. I może właśnie dlatego tak go zainteresowała.

Wtedy jeszcze czasem wracał do niej myślami. Nie mógł tego opanować. Zagryzał jednak zęby i robił swoje. Mężczyzna ze szpitalnego korytarza również. Obaj wychodzili ze szpitala najpóźniej, więc często się spotykali, ale nigdy nie zamienili ani słowa.

Któregoś dnia zobaczył, że tenże mężczyzna siedział na schodach i czytał Dumasa. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że czytał go po polsku. Zaczęli rozmawiać i okazało się, że wiele ich łączy. Miłość do Francji i niechęć do rozmów o pierdołach. Salowy skończył technikum pielęgniarstwa w Warszawie, ale zaraz potem wyjechał do Francji i już tam został – jak się wydawało – na stałe.

– Lubię swoją pracę – stwierdził. – Nie znam dobrze języka. A najważniejsze jest to, że nie chcę leczyć czy pomagać w leczeniu ludzi. To dla mnie za duża odpowiedzialność.

– A ja lubię tę odpowiedzialność – odpowiedział doktor Maryński.

Mniej więcej do tego ograniczały się ich rozmowy również obecnie. Póki jednak whisky tak samo piekła w gardło, cygara tak samo dymły, a w Internecie można było znaleźć koncert Aznavoura z sześćdziesiątego szóstego roku z Nowego Jorku, życie wydawało się im obu przebiegać znośnie i spokojnie.

Kiedy Paweł podjął decyzję o powrocie do Polski, nawet się przez chwilę zastanawiali, czy nie wyjechać razem, ale potem do gry wkroczyła miłość. Janka, piętnaście lat starsza pielęgniarka z Polski, zawładnęła sercem przyjaciela do tego stopnia, że zapomniał o Bożym świecie. I Paweł do Polski wrócił sam.

Czasem do siebie dzwonili. Bardziej na zasadzie podtrzymywania kontaktu. Brakowało im spotkań i wspólnego milczenia podczas koncertów odtwarzanych z płyt winylowych. Brakowało im dymu cygar i ostrego smaku whisky.

Paweł Maryński nie chciał pamiętać tego dnia, kiedy późnym wieczorem zadzwonił telefon. Było to prawie dwadzieścia lat temu. Pracował już wtedy na trzecim piętrze swojej kamienicy. Zwykle nie odbierał telefonów dzwoniących późnym wieczorem. Nie odbierał też połączeń od nieznanymi numerów. Dlatego pacjenci przy pierwszej wizycie musieli wpisywać dane kontaktowe. Tym razem jednak odebrał... Gdyby wierzył w intuicję, magię albo przeznaczenie, z pewnością by pomyślał, że to ich sprawka, jednak zawsze bardzo racjonalnie podchodził do życia i nie dopuszczał w nim ingerencji sił nadprzyrodzonych.

– *Mon Dieu*, to ja, Juliette. – Usłyszał lekko zachrypnięty głos. Nie słyszał go od tak dawna! – Przepraszam, że niepokoję, ale chciałam się pożegnać.

Nic nie odpowiedział. Był bardzo zaskoczony i zupełnie niegotowy, by jego dawna miłość znów weszła tanecznym krokiem do jego życia. Przez krótką chwilę chciał po prostu rzucić słuchawką.

– Juliette – wyszeptał.

– Kocham sposób, w jaki to mówisz – powiedziała i uśmiechnęła się. Czuł ten uśmiech całym sobą. – Często próbowałam sobie przypomnieć twój akcent, twój głos, ale z czasem to wszystko umyka. Lubiłam, gdy śpiewałeś Aznavoura. Zawsze ci mówiłam, że on się pomylił, bo Wenecja nie jest smutna*. Teraz jednak muszę mu chyba przyznać rację. – Zakaszłała. – Wydaje mi się cała spowita smutkiem...

* Nawiązanie do jednej z najbardziej znanych piosenek Aznavoura – *Jakże smutna jest Wenecja*.

Paweł zupełnie nie rozumiał, dlaczego Juliette do niego zadzwoniła. Po tylu latach? I na dodatek wspominała ich piosenkę. Piosenkę, przy której kochali się namiętnie, a ona tańczyła tylko dla niego. I zawsze dyskutowali o tym, czy gdyby w ich życiu nie było miłości, to Wenecja wydawałaby im się smutna. Paweł twierdził, że tak, a Juliette go przekonywała, że bez względu na wszystko to miasto zawsze było i będzie tak samo urokliwe.

– Ile to już lat minęło? Dwadzieścia, trzydzieści? – zapytała tymczasem jego była kochanka. – Zawsze mówiłeś, że szczęśliwi czasu nie liczą. Ja byłam przez ten czas i szczęśliwa, i bardzo nieszczęśliwa. Twój numer zdobyłam już dawno. Nie pytaj skąd, bo i tak ci nie powiem. Nawet nie wiesz, ile razy się zbierałam, żeby zadzwonić. Ile razy po pierwszym sygnale odkładałam słuchawkę... Jednocześnie ze wszystkich sił pragnęłam z tobą porozmawiać i tego bardzo nie chciałam. – Zakaszła ponownie. –

Bałam się, bo co miałam ci powiedzieć? „Cześć, stęskniłam się, pogadajmy, spotkajmy się, prześpijmy się ze sobą i wróćmy do swojego życia, jakby nigdy nic się nie stało”? Ja tego potrzebowałam i dałabym sobie z tym radę, a nawet uskrzydliłoby mnie to na jakiś czas, ale wiem, że to tylko rozdrapałoby twoje rany. Nie umiałbyś z tym dalej żyć. Nie chciałam cię potraktować jak zabawkę.

– Kiedyś się nie przejmowałaś, czy będę umiał dalej żyć bez ciebie.

– Wiedziałam, że dasz sobie radę. Chociaż myślałam, że ożenisz się z jakąś cudną krągłą Polką, która da ci dużo dzieci.

– Nie ożeniłem się – burknął. – Dzieci też nie mam.

– Wiem... Wiem o tobie więcej, niż myślisz. Świetnie dajesz sobie radę. Ja teraz nieco gorzej.

– Mówiłaś, że chcesz się pożegnać – przypomniał zaniepokojony.

– Tak... – westchnęła Juliette. – *Au revoir, mon ami*.

– Wyjeżdżasz?

– To długa historia, której pewnie nie chcesz znać. – Roześmiała się.

Słyszał, że robi to z trudem. Dopiero wtedy dotarła do niego smutna prawda... Czyżby miała na myśli pożegnanie na zawsze?

– *Mon Dieu*, chyba źle wtedy wybrałam – westchnęła po chwili. – Mam czasem takie myśli. Ale nie umiałam żyć inaczej. I nie chciałam. Miałam naprawdę cudne życie. Niczego nie żałuję. A chwile z tobą były jednymi z najcudowniejszych chwil.

– A z innymi? Każdemu to mówisz? – Nawet teraz nie potrafił powstrzymać zazdrości i goryczy.

– *Mon Dieu*, nie wnikaj. Nie pytaj za dużo, to nie usłyszysz tego, czego byś nie chciał usłyszeć. To chyba jest dobra recepta na szczęście. Czy nie wystarczy ci, gdy powiem, że było mi z tobą cudownie? Że często wracam do tych chwil i cię wspominam? Nawet mam twoją fotografię. Kiedyś zostawiłeś mi zeszyt, w którym sam przetłumaczyłeś wiersze tej waszej poetki...

– Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

– Tak. Znalazłam go ostatnio. Wyciągnęłam z dna przepastnej szuflady. Robię porządki po sobie, by ci, którzy będą po mnie sprzątać, mieli łatwiej. I chyba tę poezję dopiero zaczęłam rozumieć. Jeden z wierszy mam założony właśnie twoim zdjęciem.

– Który?

– Taki o miłości. – Roześmiała się.

– Ona zwykle pisała o miłości.

– Chciałabym ci powiedzieć, że gdy odzyskam siły, to powiem ci, który to był wiersz, ale czuję, że to nasza ostatnia rozmowa. A nie chcę kłamać, że pamiętam ten wiersz... Nie pamiętam...

– Jesteś chora.

– Tak.

– Juliette, na Boga, przecież wiesz, że jestem lekarzem, przyjadę, pomogę. Znam wielu ludzi, może ktoś będzie w stanie ci pomóc? Co ci jest?

– *Mon Dieu*, ja też znam wielu ludzi... – Roześmiała się i znowu zaniósła się kaszlem. Po chwili dodała cicho: – Przecież wiesz... I nikt nie był w stanie mi pomóc. Odchodzę. Myślałam, że inne części ciała mi się popsują... Za karę. Popsuło mi się gardło. Może powiedziałam kiedyś zbyt wiele raniących innych słów? Albo mówiłam zbyt mało?

– To nie ma znaczenia... – westchnął Paweł. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Bądź szczęśliwy. Po prostu. I przepraszam, że przypomniałam tobie o swoim istnieniu. Ale uznałam, że nie powinnam odchodzić bez pożegnania.

Rozmawiali tamtej nocy dość długo. Skończyli po północy, bo doktor Maryński czuł, że Juliette była już bardzo zmęczona.

Następnego dnia kupił bilet na samolot do Paryża. Niestety dostępne były miejsca na lot dopiero za tydzień.

Juliette poczeka. Naprawdę na niego poczeka... Musi...

Niestety nie zawsze przyszłość wygląda tak, jak tego oczekujemy. Juliette na doktora Maryńskiego nie poczekała. Czekał na niego natomiast spory pakunek. Fioletowe dość duże, ale niewysokie pudełko, owinięte białym sznurkiem. Na wierzchu była koperta, którą szybko rozerwał i wyjął z niej list.

Mon Dieu!

Dobrze, że nie zdążyłeś. Wiem, jakże przewrotne są te słowa, ale naprawdę nie chciałam, byś mnie widział w takim stanie. Zawsze przecież byłam piękna i bardzo się do tego przyzwyczaiłam. Nie mogłam znieść tego odbicia w lustrze, które widziałam ostatnio. Jakbym oglądała kogoś obcego. Nawet trochę się cieszę, że odchodzę teraz, zanim będzie gorzej.

Może to zabrzmie brutalnie, ale chyba brzydcy ludzie mają w życiu łatwiej. Dobierają się w pary z miłości, a nie z fascynacji swoim wyglądem. I trwają razem przez całe życie. A nikt nie wie lepiej ode mnie, że uroda przemija. Ciało się zmienia, twarz się marszczy. Nawet uśmiech już nie jest taki sam. Charakter też się zmienia, ale naprawdę jest to mniej widoczne. Kiedy ktoś jest od zawsze przeciętny i nie zarabia na życie wyglądem, to chyba jest mu łatwiej patrzeć w lustro, gdy się zestarzeje. Po prostu miał inne zalety. I może też dlatego, że nigdy nie zwracał uwagi na swój wygląd, bo inni byli piękniejsi...

Naprawdę się cieszę, że mnie nie zdążyłeś zobaczyć. Ostatnie kilka lat mojego życia spędziłam w samotności. Nie chciałam, by mnie ktokolwiek oglądał. Ot, ironia losu. Ja, którą oklaskiwały tysiące osób! Ja, która nie mogła się zdecydować na jednego kochanka i musiała mieć ich wielu... u kresu swoich dni została sama. Tak bywa, Mon Dieu. Ale to był mój wybór.

Wiedziałaś, że przyjedziesz. Byłeś zawsze bardzo uparty i zawsze konsekwentnie dążyłeś do celu. Dlatego się Ciebie tak bałam... Bałam się, że mnie również będziesz chciał zdobyć za wszelką cenę. Bałam się, że będę musiała Cię jeszcze bardziej zranić, byś odpuścił. Pewnie i tak Cię zraniłam. Przepraszam. Ale życie ze mną byłoby dla Ciebie koszmarem. Nie lubię monogamii, muszę być kochana przez wielu...

Jestem pewna, że byłbyś ze mną nieszczęśliwy. Byłeś dla mnie zbyt zwyczajny. I nie piszę tego w złym znaczeniu. Zwyczajność jest piękna. Tyle razy chciałam być przeciętna! Ty mnie taką widziałeś, jako wspaniałą Juliette, z którą będziesz mógł sobie ułożyć życie. Ale to była iluzja, wymyśliłeś mnie sobie taką, choć przez chwilę mi się wydawało, że ja też zdałam się tego nauczyć, że będę umiała odgrywać taką rolę. Szybko jednak zdałam sobie sprawę, że to nie dla mnie. Właśnie dlatego nie uwierzyłam w naszą wspólną przyszłość. Miałeś – a być może nawet wciąż masz – mi to za złe, ale od początku mieliśmy inne pragnienia, to by po prostu nie wyszło. Cieszę się jednak, że Cię spotkałam na swojej drodze i przeżyliśmy mnóstwo pięknych chwil. Nie myśl o mnie źle...

Mam dla Ciebie prezent. Leżał w mojej szufladzie już od dawna. Kupiłam go z myślą o Tobie. Jestem przekonana, że Cię ucieszy. Wspominaj mnie czasami. Już teraz jestem szczęśliwsza, gdy wiem, że będą chwilę, gdy choć przez sekundę zajmę Twoje myśli.

I nadal nie wiem, czy Wenecja jest teraz smutna. Nie wiem też, czy nasza miłość umarła. Miałam bardzo pojemne serce, ale było w nim dużo miejsca dla Ciebie. Kochaliśmy jednak inaczej, nie potrafilibyśmy dać sobie wzajemnie szczęścia.

Au revoir, mon ami.

Juliette

Kiedy skończył czytać, miał w oczach łzy. Ocierając je rękawem, zajrzał do pudełka. Na wierzchu leżał zeszyt, który podarował kiedyś ukochanej. Otworzył go. Pamiętał, gdy tłumaczył sam ulubione wiersze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i je ręcznie przepisywał po francusku. Chciał, by ukochana je poznała i poczuła dokładnie tak, jak on je czuł. Teraz był już pewny, że patrzyli na świat zupełnie inaczej...

Spomiędzy kartek wypadło zdjęcie. Juliette i on. Była wtedy ubrana w zwykły sweter i dzinsy. Nie miała makijażu, a włosy spięła na czubku głowy w niedbały kok. Nieczęsto ją taką widywał, ale właśnie tak ją zapamiętał. Może miała rację, że wymyślił sobie ją taką, jaka nigdy nie mogłaby być. Widział dom, rodzinę, ich wspólne dzieci i Juliette krzątającą się po kuchni. Widział ich razem na wakacjach, pływających kajakiem, spacerujących za rękę po parku, a nawet malujących razem sufit w jego mieszkaniu... Tak, to była tylko wyobraźnia. Nie byliby w stanie iść razem przez życie. Bo ona była niezwykła. Ot, ironia losu, kochał ją za tę

niezwykłość, a chciał, by dla niego stała się całkiem zwyczajna. Czy wtedy przestałby ją kochać?

Na dnie pudełka dostrzegł winylową płytę Charles'a Aznavoura. Na wierzchu grubym flamastrem wokalista napisał dla niego imienną dedykację. Paweł się uśmiechnął. Chyba nawet dla niej nie było to łatwe do zdobycia.

Nie zdążył na pogrzeb. Nie chciała tego. Pragnęła odejść cicho, na własnych zasadach. W głębi serca się cieszył, że jej się to udało.

Podczas pobytu w Paryżu odwiedził swoją starą klinikę. Dużo się tam zmieniło. Bardzo dużo. Oprócz przyjaciela, który posiwiiał i znacznie schudł, ale nadal szorował podłogi.

– Nie chciałbyś czegoś zmienić w życiu? – zapytał Paweł.

– Czy nie jest już na to za późno?

– Nigdy nie jest za późno na zmiany. Tkwisz tu już tyle lat i odnoszę wrażenie, że nie zapukało chyba jeszcze do ciebie szczęście.

– Stary, szczęście nie puka. Ono bardzo szybko ucieka. Spiernicza tak, że tylko nieliczni są w stanie je dogonić.

– Próbowaleś?

– Już dawno dałem sobie spokój.

– Jak Janka?

– Raz lepiej, raz gorzej. Niestety zbliżamy się do takiego wieku, że nasi bliscy będą odchodzić.

– Jest tak źle?

W zamyśleniu pokiwał głową i dodał po chwili:

– Namawia mnie na powrót do Polski.

– Teraz?

– Tak. Jak najszybciej. Nie wyobraża sobie tego, że mogłaby umrzeć tutaj.

– Kto tu mówi o umieraniu? Przecież są różne sposoby...

– Pracuję tu od lat, znam wszystkich lekarzy, profesorów – przerwał przyjacielowi. – Konsultowaliśmy wszystko dziesiątki razy. Próbowaliśmy... Paweł, ona po prostu gaśnie, nie chcę jej już męczyć.

– Przypomnij mi... Ile lat jest od ciebie starsza?

– Piętnaście. Kiedy się w niej zakochiwałem, nie brałem pod uwagę faktu, że to sporo i Janka może odejść szybciej ode mnie. Powiem ci, że trudno mi

się z tym pogodzić.

– To zrozumiałe... – Od razu pomyślał o Juliette. – Nie zdawałem sobie sprawy, że sytuacja wygląda aż tak dramatycznie.

– Wiesz, że nie lubię o takich sprawach gadać przez telefon.

– Wiem, że w ogóle nie lubisz gadać. – Paweł się roześmiał.

– Też prawda.

– Jak będziesz chciał, przyjeżdżaj. Praca dla ciebie się znajdzie. Nie zarobisz tyle, co tutaj, ale wystarczy na spokojne życie.

– Dzięki. O pieniądze się nie martwię, bo mamy oszczędności na czarną godzinę. – Uśmiechnął się gorzko. – Widać, że ona się zbliża... Nie muszę iść do pracy, chyba że dla zabicia czasu.

– Powinieneś. Choćby po to, by być trochę z ludźmi.

– Ludzi też nie potrzebuję. – Pokręcił głową.

– Czasem się przydają.

– Dziwnie to brzmi w ustach takiego samotnika jak ty.

– Fakt. – Znowu się roześmiał.

– A widzisz. Trafił swój na swego. Nic dziwnego, że się zaprzyjaźniliśmy. Wiesz, może masz rację z tym powrotem do kraju. Zresztą chcę spełnić życzenie Janki, zostało jej już tak niewiele czasu... – Oczy mu się zaskliły i zamilkł na chwilę, najwyraźniej próbując opanować falę żalości. – Zobacz, co się da zrobić. Jest tam jakieś mieszkanie w tym twoim miasteczku?

– Jest. Jak nie u mnie, to obok. W Małej Przytulnej.

– Co za nazwa. Czy ja wyglądam jak ktoś, kto mógłby mieszkać w Małej Przytulnej?

– Absolutnie nie. – Pokręcił głową. – Tam nawet nie ma sklepu, w którym sprzedają cygara i whisky! Co my byśmy robili wieczorami?

Przyjaciół doktora Maryńskiego nie przyjechał od razu do Polski. Zdarzyło się to kilka lat później. Nie zamieszkał w Małej Przytulnej (być może dlatego, że wciąż whisky i cygara były tam towarem deficytowym), tylko osiedlił się w pobliskim miasteczku. Jego żona na ojczystej ziemi jakby... odżyła, była taka szczęśliwa... Patrzył na nią i się łudził, że teraz wszystko już będzie dobrze. Nie było... Mieszkali razem szczęśliwie jeszcze przez dwa lata. A potem Janka odeszła. I został sam. Jeszcze bardziej milczący i jeszcze bardziej stroniący od ludzi. Cygara zamawiał przez

Internet, a whisky Maryński dostawał w prezencie od pacjentów i chętnie się nią dzielił z przyjacielem.

12. Laura

W Portugalii, tak jak u nas, w Polsce, na wigilijnym stole jest zawsze jedno dodatkowe nakrycie. Jednak Portugalczycy nakrycie to przeznaczają dla zmarłej osoby, która w dowód wdzięczności będzie się opiekowała domownikami przez kolejny rok.

W Małej Przytulnej, jak wiemy, nie było wprawdzie sklepu z cygarami i whisky, ale była bardzo dobrze prosperująca perfumeria mieszcząca się w domu na rozstaju dróg. Jej właścicielka, Laura, ostatnio jakby nieco opadła z sił, ale robiła co w jej mocy, by stanąć na nogi. Odsunęła się nieco od ludzi, dużo spacerowała i oddychała świeżym powietrzem, którego w Małej Przytulnej było pod dostatkiem. Ostatnie, czego potrzebowała, to najazdu gości, jakkolwiek by tych gości kochała...

– Przyjeżdżamy! – Usłyszała któregoś dnia w telefonie zadowolony głos Jeaninne. – Postanowiliśmy cię z Pierre'em odwiedzić. Najchętniej nic byśmy ci nie mówili i zrobilibyśmy ci niespodziankę, ale stwierdziliśmy, że nie damy sobie sami rady z tymi wszystkimi tobołami. Przyjedźcie po nas na lotnisko, bo nie trafimy tam do was.

Laura bardzo kochała Jeaninne, była ona dla niej jak matka, Pierre'a, arystokratę i milionera, o ile nie miliardera, też lubiła. Poznała go na swoim ślubie, gdy jej przyjaciółka zabrała go ze sobą. Tylko teraz to nie był dobry czas na odwiedzinę. Próbowała to w jakiś sposób wytłumaczyć Jeaninne, ale jej francuski pozostawiał wiele do życzenia, wołała się komunikować po angielsku. W obcym języku nie wychwytywała niuansów, aluzji i nie potrafiła przekazać tego, co czuje, w bardzo zawoalowany sposób. Zatem... nie przekazała wcale.

Jeaninne zaplanowała przyjazd i nie było odwrotu. Należała do ludzi, którzy jak sobie coś postanowią, to nawet nie pomyślą o konsekwencjach, tylko robią to natychmiast, więc bilety dla siebie i przyjaciela już miała kupione. I niczym więcej się nie przejmowała. W przeciwieństwie do Laury, która przejmowała się wszystkim.

Laura i Adrian pojechali po przyjaciół na lotnisko do pobliskiego Gdańska. Laura z przerażeniem obserwowała walizki, które miła, aczkolwiek głośna francuska para zabrała ze sobą. Słyszeć ich było już z daleka.

– Sądząc po rozmiarze bagażu, to wyjadą za trzy lata – wyszeptał Adrian, gdy ich zobaczył.

– Cicho! Cieszę, że przyjechali.

– Ja też się cieszę. Bardzo...

– Wyczuwam sarkazm?

– Ależ absolutnie. – Pokręcił głową. – Tylko miałaś odpocząć, a znając ciebie, teraz będziesz wszystkim dogadzać.

– Kocham Jeaninne, Adrian. Pomogła mi swego czasu. Była dla mnie najważniejsza.

– No właśnie. I zobacz, jakie to dziwne, właśnie tym najważniejszym osobom czasem boimy się powiedzieć prawdę. A przecież to takie proste: „Kochana, przyjeźdź za miesiąc, miałam teraz trudny czas i powinnam odpocząć”. Na pewno by zrozumiała.

– Ale ja nie miałam trudnego czasu. – Laura momentalnie się naburmuszyła.

– Trudny czas to czasem zwykła codzienność. Mam na myśli to, że jesteś po prostu zmęczona.

– Popsułam się nieco... – westchnęła.

– Zużycie materiału, moja ty kochana siłaczko. – Roześmiał się.

– Laura! Adrian! – zawołała Jeaninne i porzucając wszystkie walizki na środku hali wraz z niezadowolonym z tego faktu Pierre'em, popędziła do nich na tyle szybko, na ile tylko pozwalała jej dość obfita tusza i niezbyt długie nogi.

– Jeaninne! – Laura przytuliła się do niej z całych sił.

I już wiedziała, że tej kobiety bardzo potrzebowała. Jeszcze niezupełnie zdawała sobie sprawę w jakim celu, ale potrzebowała jej bardzo.

Walizki Jeaninne i Pierre'a nie zmieściły się do bagażnika, mimo iż ten był całkiem spory. Część z nich trzymali więc na kolanach, co nieco utrudniało konwersację samochodową.

– Postawiliśmy przyjechać, bo wyczułam, że coś się u ciebie dzieje... – zaczęła Jeaninne. – Miałam sny.

– Coś złego?

– Nie. Chyba dobrego. Przyjechałam ci pomóc.

– Ale jak dobrego, to w czym chciałabyś mi pomóc? – zdziwiła się Laura.

– We wszystkim, czego będziesz potrzebowała. – Roześmiała się. – Jestem do dyspozycji.

– Myślałam, że po prostu wybraliście się na wakacje.

– Nie, kochanie, przecież my mamy wieczne wakacje. Trzeba czasem od tych wakacji trochę odpocząć.

– A jak długo zamierzacie się tutaj zatrzymać?

– Jak długo będzie trzeba. Zostaniemy, dopóki będziesz mnie potrzebowała.

W tym momencie Laura cieszyła się z towarzystwa przyjaciółki, choć na razie nie potrafiła konkretnie określić, na czym mogłaby polegać jej pomoc w Małej Przytulnej. Zdawała sobie sprawę, że Jeaninne miała szósty zmysł, nieraz przekonała się o tym, ona po prostu często wiedziała więcej niż zwykli śmiertelnicy. Czuła więc podświadomie, że z jej wizyty może wyniknąć wiele dobrego...

– A Pierre? – zapytała Laura.

– Jest do towarzystwa. Potrzebował odskoczni od codzienności. A ja się boję latać, więc miałam kogo trzymać w samolocie za rękę.

– I mam siniaki – jęknął Pierre.

– Oj, nie bądź taki wydelikacony! – Zdenerwowała się.

– Rozumiem... – powiedziała Laurą, chociaż w dalszym ciągu nic nie rozumiała. Ta zupełnie niespodziewana wizyta mogła zwiastować coś dobrego albo wręcz przeciwnie.

– Musimy ci wybrać nowy zapach – powiedziała Jeaninne od razu, gdy cmoknęła Laurę na przywitanie. – Ten do ciebie nie pasuje. – Skrzywiła się.

– Za dużo geranium? – Zamyśliła się. – Nie wiem... Muszę pomyśleć.

– Pasował przez tyle lat... – próbowała oponować dziewczyna.

– Ludzie się zmieniają i czasem potrzebują czegoś nowego. – Jeaninne poprawiła swój turban. Laura już zapomniała, jaka to była kolorowa istota. Człowiek miał dobry humor na sam jej widok. – Coś dla ciebie wybierzemy. Od razu lepiej się poczujesz.

To, że Jeaninne i Pierre zamieszkają w jednym pokoju w jej domu, od początku wydawało się ryzykowne. Laura chciała położyć Pierre'a na dole, w salonie, a Jeaninne u góry, w pokoju gościnnym. Jednak zarówno jej przyjaciółka, jaki i arystokratyczny Francuz jednoznacznie stwierdzili, że przyjaźnią się już tyle lat, więc są jak rodzeństwo i mogą nawet spać w jednym łóżku.

– Nie będę robił bałaganu w salonie. Będziemy mieli swoje rzeczy w tym samym miejscu i jakby nas tutaj nie było. Nie ma problemu ze spaniem w jednym pokoju. W jakiś przedziwny sposób wciąż się lubimy. Poza tym...

– ...poza tym on dla mnie jest zupełnie nieszkodliwy – dopowiedziała Jeaninne.

– Ty mi się nawet nie podobasz – dodał Pierre.

– Jak to ja ci się nie podobam? – Obruszyła się. – Przecież wciąż jestem całkiem apetyczna.

– No po prostu. Generalnie kobiety mi się nie podobają.

– To wiem, ale tak wcale? Ranisz moje uczucia, brutalu. Mógłbyś na mnie chociaż spojrzeć jak na... dzieło sztuki!

– Sam nie wiem, Jeaninne... Chyba też nie. – Zlustrował ją od góry do dołu.

– Chyba? Dostrzegasz moje piękno czy nie? Zdecyduj się! – Jeaninne wysunęła biodro i wyprężyła pierś.

– Niekoniecznie – stwierdził z rozbijającą szczerością Pierre.

– I ty mi to mówisz tak prosto w oczy? Tak bez skrępowania? – fuknęła Jeaninne, po czym nastąpiła wiązanka francuskich przekleństw.

Z tego, co zdołała zrozumieć Laura, zasób słów w tej kwestii Jeaninne miała przeogromny. Pierre nie pozostawał jej dłużny i po chwili oboje umilkli, śmiertelnie na siebie obrażeni. Adrian, paradoksalnie, przyjął to z pewną ulgą, bo przynajmniej byli cicho. Jednak ten miły stan nie trwał długo. Po chwili Pierre najwyraźniej chciał się przypodobać przyjaciółce i pogodzić z nią, więc powiedział, jak się potem okazało, o kilka słów za dużo.

– Chociaż jakby ci się tak przyjrzeć... – Zmrużył oczy. – ...to przypominasz Wenus.

Jeaninne się rozpromieniła. Pierre zmarszczył czoło, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Jednak nie tę z Milo, a tę paleolityczną, z Willendorfu.

Niestety Jeaninne znalazła się na sztuce. Laura trochę mniej, więc zajrzała do telefonu, wpisując hasło „Wenus z Willendorfu”. Gdy tylko zobaczyła na zdjęciu kamienną postać wielce korpulentnej kobiety, wiedziała, że będzie grubo. Prawie tak grubo jak gruba była rzeczona Wenus.

Postanowiła wyjść z salonu, zanim zacznie się kolejna awantura. Ledwo zamknęła za sobą drzwi, gdy usłyszała ponownie stek francuskich przekleństw i wyzwisk.

Jeaninne miała stały repertuar. Po kilku dniach wizyty przyjaciół Laura była w stanie określić nawet kolejność padania poszczególnych słów. Nie była ona przypadkowa.

– Powiem ci, że już bym wolą wrócić do pracy – westchnęła Laura tego dnia wieczorem, kiedy zasypiali z Adrianem. – Spokojnie zamknąć się w perfumerii z moimi spokojnymi klientami. Najlepiej, gdyby ta perfumeria była w innym mieście. Oni się ciągle kłóć!

– Przecież oni zawsze się kłócili. Opowiadałaś mi o tym.

– Już o tym zapomniałam. – Pokręciła głową. – Ja bym zwariowała w takiej relacji.

– Im to najwyraźniej pasuje – uspokajał ją Adrian. – Oboje są dosyć temperamentni, ale w tym szaleństwie jest metoda.

– Im tak, ale ja się chyba za bardzo wszystkim denerwuję. W ogóle ostatnio chodzę podminowana. I czuję się podle, tak jakbym ich nie lubiła.

– Lubisz ich, ale każdy z nas czasem pragnie побыć sam. Zobacz, nawet my potrzebujemy czasem być z dala od siebie, a przecież się kochamy.

– Ale się tak nie wyzywamy.

– Bo mamy zupełnie inne charaktery niż oni. Jeaninne i Pierre są ekspresyjni, ale z pewnością się bardzo kochają.

– Mam co do tego pewne wątpliwości... Zaczynam żałować, że w Małej Przytulnej nie ma żadnego hotelu czy pensjonatu. Sama wynajęłabym im pokój. A najlepiej dwa, żeby dali wszystkim spokój i chociaż przez chwilę byli cicho.

Jak to zwykle w niewielkich miejscowościach bywa, przybycie pary Francuzów do Małej Przytulnej od razu zostało zauważone. Byli radośni i robili wokół wiele zamieszania. Na szczęście prawie nikt ich nie rozumiał, gdyż głównym ich zajęciem było chodzenie po miasteczku i głośne dyskusowanie, co gdy tylko mieli choć odrobinę odmienne zdanie bardziej przypominało żarliwe kłótnie. A dziwnym trafem oni zwykle mieli odmienne zdanie. Laura podejrzewała, że nawet gdyby w jakiejś kwestii się zgadzali, to z przyzwyczajenia też by się sprzeczekali.

Jeaninne była pomocna i starała się na każdym kroku wyręczać Laurę. Gotowała, piekła, sprzątała i wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale Laura była zmęczona ludźmi. Może po prostu brakowało jej jakichś witamin? Nie mogła się doczekać, kiedy Dominika wróci ze stażu. Od razu się do niej wybierze. Nie czuła się aż tak źle, by iść do doktora Maryńskiego. To nie były dolegliwości tego kalibru, żeby się wdrapywać do gabinetu lekarskiego. Chyba musiałaby co najmniej zemdleć i ktoś musiałby ją wtedy wnieść na to koszmarnie trzecie piętro.

Postanowiła oddychać w sposób, jaki nauczyła ją Renata, i jakoś to wszystko przetrwać. Byle do wiosny... Uśmiechnęła się i zeszła do perfumerii, bo zostawiła tam ładowarkę do telefonu, i... potem już nic nie pamiętała. Odzyskała przytomność w momencie, gdy Jeaninne przykładała jej do nosa pachnącą czymś chusteczkę. A jakby to uściślić – śmierdzącą. Bardzo śmierdzącą. Kolejnym, co zanotowała w swoim umyśle, były brzydkie słowa wypowiedziane po francusku, wymieszane z wyrazami miłości.

– Kocham cię, kobieto! Wróciłaś! Że też ja na to tak późno wpadłam! – wykrzyknęła Jeaninne. – A powinnam! Przecież mi się przyśniłaś i powiedziałaś, że mam przyjechać. Wiesz, że ja zawsze ulegam takim snom! Potem przyśnił mi się Gabriel. Powiedział, że mnie potrzebujesz. No to już nawet się nie wahałam, tylko zabukowałam bilety na lot. Wiesz, jak ja nienawidzę latać, dlatego zabrałam ze sobą Pierre'a. Tylko on ze mną wytrzymuje na dłuższą metę.

Laura patrzyła na przyjaciółkę nieprzytomnym wzrokiem. Machinalnie kiwała głową, choć nic nie rozumiała z tego potoku słów.

– Musisz o siebie dbać, dziewczyno! – krzyknęła tymczasem Jeaninne, mocno ją przytulając. – Gratulacje! Że też ja od razu na to nie wpadłam! Przecież blada jesteś, ciągle zmęczona i perfumy do ciebie nie pasowały,

poprzednio też tak było! Zaraz zrobimy ci nowe i od razu lepiej się poczujesz.

Jeaninne złapała Laurę za rękę. Zaczęła coś mrużyć i nucić. Laura zamknęła oczy i na chwilę przeniosła się do przeszłości, do Paryża, do Gabriela. Do momentu, kiedy chodziła brukowanymi uliczkami nad Sekwaną i zaczynała wierzyć w to, jeszcze kiedyś będzie szczęśliwa. I była. Była cholernie szczęśliwa. Uśmiechnęła się do siebie i swojego obecnego życia. Przez jej głowę przelatywały wspomnienia. Przypomniała sobie, jak poznała Jeaninne i ta dobierała dla niej zapach. To był szczególny dzień, bo dowiedziała się wtedy, że...

– O matko, Jeaninne! To znaczy, że ja jestem w ciąży?

13. Laura

Katalonia to jeden z regionów Hiszpanii, znany przede wszystkim ze spektakularnych plaż i dzieł znanych artystów, takich jak Gaudi i Dalí. Jednak jeżeli chodzi o święta Bożego Narodzenia, to Katalończycy zwyczajnie też mają spektakularne, zaskakujące i dość... osobliwe!

Świąteczną tradycją jest tam figurka Tió de Nadal, zwana także Cagatió. Niektórzy nazywają tę postać po prostu pieńkiem bożonarodzeniowym. To drewniana figurka w czerwonej czapce i z namalowaną buzią. Zgodnie z tradycją pieńek jest ustawiany ósmego grudnia i często okrywa się go czerwonym kocem, żeby nie było mu zimno. Jego zadaniem jest po prostu siedzenie przy stole i „objadanie się”, bo co wieczór dorośli podsuwają mu słodycze.

Podczas Wigilii rodzina zbiera się wokół pieńka i bije go ze wszystkich sił kijami, śpiewając przy tym ludowe piosenki. Podczas tej osobliwej zabawy po prawie miesięcznym „objadaniu się” figurka Tió de Nadal „wydala” zabawki, słodycze i inne prezenty.

– Wiesz, bardzo tego chciałam – mówiła tego dnia Laura, kiedy zasypiała w ramionach męża. – Drugie dziecko było moim marzeniem.

– Moim też. – Adrian przytulił żonę i czule pogłaskał ją po plecach.

– Nie wpadłam na to od razu, bo to jeszcze nie czas, by nawet sprawdzić. Nic nawet nie podejrzewałam.

– To skąd wiesz?

– Wiem. Po prostu...

– Szósty zmysł, jak u Jeaninne? – Uśmiechnął się.

– Z pewnością. I tak sobie myślę, że teraz wszystkie klocki zaczynają do siebie pasować. To, że byłam zmęczona, to, że przestały mi się podobać aromaty, którymi zawsze się zachwycałam... Powinnam od razu się domyślić.

– Robiłaś test?

– Formalista. – Roześmiała się, całując męża w policzek. – Ty musisz na wszystko mieć dowody naukowe.

– To nie tak... Po prostu nie chciałbym się cieszyć pochopnie.

– Musisz mieć mędrca szkiełko i oko. – Zachichotała, a Adrian ją połaskotał. – No dobrze, jutro pójde do apteki i kupię test.

– Do Ksawerego?

– Chyba tak.

– Pół miasteczka zaraz będzie gadać...

– A przeszkadza nam to? Niech sobie gadają.

– Zasadniczo nie, ale może najpierw powiemy o tym Gabrysi? Żeby się nie dowiedziała przez przypadek.

– Masz rację. W tej całej euforii nawet o tym nie pomyślałam.

– Zatem powiemy Gabrysi, a potem całemu światu. Co zajmie pewnie raptem kilka minut, bo wiesz, jak błyskawicznie rozchodzą się tutaj plotki.

– Może lepiej jednak chwilę poczekać? Aż się okaże, że wszystko jest dobrze?

– A co ma być źle? Kochanie, jak ty to mówisz? Trzeba wizualizować. Ja już wizualizuję czerwoną łopatkę i babki z piasku. – Adrian zamyślił się na chwilę. – Chyba dojrzałem do tego, by być ojcem.

– Tylko... jakby ci to powiedzieć... – zaczęła Laurą. – Ojcostwo nie polega tylko na zabawach w piaskownicy.

– Przecież wiem. – Adrian udał obrażonego.

– Nie wściekaj się. Jestem pewna, że sobie poradzisz, bo miałeś już przecież taką wersję demo rodzicielstwa. Gabrysia, co prawda, zwraca się do ciebie po imieniu, ale traktuje cię jak ojca. Zresztą jesteście z Gabrielem ulepieni z jednej gliny.

– Jak ta Wenus z Willendorfu? – Roześmiał się.

– Chyba niekoniecznie. Zresztą ona jest chyba z wapienia.

– Wiem, wiem, żartuję. – Cmoknął żonę w czoło. – Gabrysia jest wyjątkowa. Poznałem ją, gdy już była prawie dorosła. A przynajmniej mądrzejsza niż niejeden dorosły.

– Też racja. Czasem mi się wydaje, że jest mądrzejsza ode mnie. Dlatego trochę trudniej jej się odnaleźć w świecie dzieciaków. Musiałaby spotkać kogoś, kto jest chociaż trochę podobny do niej. Tomek wyjechał, a on był dla niej bardzo ważny.

– Może powinna spędzać więcej czasu z rówieśnikami? Tak zwyczajnie pobawić się z nimi, pośmiać, pogadać o głupotach. Jak każde dziecko.

– Próbowała, ale chyba od nich odstaje. Czasem się zastanawiam, czy to nie przez to, że wciąż przebywała z dorosłymi – westchnęła Laura. – Kilka razy pojechała z panią Bogusią do szkoły, ale głównie rozmawiała z nią, a przecież nie o to chodziło...

– No to niedługo będzie miała towarzystwo – stwierdził Adrian.

– Towarzystwo, z którym na początku też nie będzie mogła się dogadać... Ale powiem ci, że jednego jestem pewna: jeśli Gabrysia uzna, iż to dogadywanie się jest jej potrzebne, to nasz syn bardzo szybko nauczy się mówić.

– Powiedziałaś „syn” – zdziwił się Adrian, ale jego oczy momentalnie rozbłysły.

– Powiedziałam? – zdziwiła się jeszcze bardziej Laura. – Nie wiem, jak to się stało, ale to... było takie naturalne.

– Nie umiem jeszcze w to wszystko uwierzyć. Nie mogę uwierzyć w ciebie, w Gabrysię, w naszego syna... po prostu w to całe szczęście. Mam ochotę wykrzyczeć je całemu światu.

– Poczekaj jeszcze trochę – poprosiła Laura. – To szczęście się nie kończy, ono dopiero się zaczyna. A jak się rozkręci, będzie go tyle, że podzielimy się nim z całym światem!

14. Jadwiga

*Niby o naszych zachodnich sąsiadach wiemy wszystko, a jednak!
Niemcy wieszają na choinkach bombki w kształcie... ogórków!
Są one ukrywane przez dorosłych w gałązkach choinki, a później
szukają ich dzieci. To, które jako pierwsze znajdzie ogórka, dostaje
dodatkowy prezent oraz będzie miało szczęście przez najbliższy rok.
Po poszukiwaniach głowa rodziny zawiesza bombkę ogórka na
szczyście drzewka.*

Fajnie było uszczęśliwiać innych. Jakby tak popatrzeć na Małą Przytulną, to miasteczko pełne było szczęśliwych ludzi. Jedni, jak Laura, zdawali sobie sprawę ze swojego szczęścia, inni, jak Halinka, zupełnie nie doceniali tego, co mają, a jeszcze inni, jak Jadwiga, stali na rozdrożu szczęścia i problemów. Jakby nie mogli zaakceptować faktu, że życie splota się właśnie w taki warkocz smutków i radości. I jeszcze kilku innych stanów...

Z jednej strony Jadwiga była przeszczęśliwa, że jej syn studiuje i że dostał się na tak prestiżowy kierunek, jakim jest medycyna, a z drugiej – martwiła się nieustannie, jak oni sobie z tym wszystkim poradzą. Restauracja, a raczej bar, który prowadziła, pozwalał na utrzymanie się w Małej Przytulnej, ale nie w Gdańsku. Oczywiście Tomek mówił, że pójdzie do pracy, ale ona wolała, by się skoncentrował na nauce. Bo jaki to potem z niego będzie lekarz, skoro zamiast nad podręcznikami będzie spędzał czas, na przykład rozwołując pizzę? To przecież nie wchodziło w grę. Pan doktor Maryński był wprawdzie mało sympatyczny, ale z pewnością nie można było o nim powiedzieć, że jest niedouczoney. Nie to, żeby Jadwiga chciała, by jej syn był jak doktor Maryński, ale wiedzę taką jak on mógłby mieć. A jak będzie pracował na tym pierwszym roku, to czegoś się nie nauczy i to zaważy na jego dalszej karierze.

Jadwiga nie bardzo wiedziała, jak dokładnie wygląda program studiów medycznych. Kiedy jednak rozważała, czy braki w edukacji na pierwszym roku sprawią, że Tomek nie będzie znał się na nogach albo, co gorsza, na głowie, otworzyły się drzwi i do restauracji wszedł nieznajomy mężczyzna.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się najpiękniejszym ze swoich przeznaczonych dla klientów uśmiechem. – Czego pan sobie życzy?

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Gestem wskazał na kawę i ciastko z kremem, które stało pod kloszem na ladzie. Jadwiga przez chwilę się zawahała. Piekła niedużo, nigdy na zapas, a w każdy piątek do restauracji przychodziły Malwina, Balbina i Halina. Halinka zawsze brała właśnie ciastko z kremem, a teraz zostało ostatnie. Właścicielka westchnęła i postanowiła jednak obsłużyć nowego gościa. Będzie musiała sobie jakoś poradzić z marudną bibliotekarką.

– Bardzo proszę. – Ponownie uśmiechnęła się promiennie. – Kawa z mleczkiem?

Mężczyzna pokręcił głową. Wciąż nie wypowiedział ani słowa.

– Już podaję. Proszę usiąść przy stoliku.

I znowu problem, bo milczący nieznajomy wybrał sobie stolik, przy którym zawsze siadały dziewczyny. Na fotelach pod ścianą, w samym rogu restauracji. Zwykle musiały obgadać pół miasta, więc wołały, by nikt ich przy tym nie widział, a w kącie nie były widoczne z zewnątrz, przez okno. Jasne, i tak każdy wiedział, że bibliotekarki są najlepiej poinformowanymi osobami ze wszystkich w okolicy. Jadwigę niezmiennie zaskakiwało to, że one we trzy spędzały tyle godzin razem w pracy, a potem jeszcze im się chciało widywać towarzysko.

– Praca to praca – mówiła Balbina. – A spotkania przy kawce i ciasteczku są czymś zupełnie innym. Wtedy możemy bezkarnie rozmawiać o głupotach.

– W pracy też rozmawiamy – zaproponowała nieśmiało Malwina. – Czasem nawet o większych głupotach.

– Ale mamy wyrzuty sumienia – westchnęła Balbina – Tu możemy gadać bezkarnie i na większym luzie.

– Ja nigdy nie mam wyrzutów sumienia – stwierdziła Halinka.

– Bo ty nie masz sumienia – powiedziała cicho Jadwiga.

– Udam, że tego nie słyszałam – burknęła Halina. – Bo nie będzie miał kto na ciastka do ciebie przychodzić.

– Przepraszam – jęknęła Jadzia.

Na takie sytuacje nie mogła sobie pozwolić. Przecież gdyby dziewczęta przestały urządzać u niej swoje ploteczkowe seanse, to w ogóle byłoby źle!

Dzień zapowiadał się fatalnie. Do restauracji przyjdzie Halinka i zobaczy to wszystko, co się tu działo. Nie dość, że ktoś siedział na jej miejscu, to jeszcze pożerał ciastko z kremem, które od kilkunastu, jeżeli nie kilkudziesięciu lat czekało wyłącznie na nią. Jadwiga nie miała jeszcze pomysłu, jak wybrnąć z tego problematycznego położenia. Rozważała już nawet upieczenie kolejnego ciastka.

Tymczasem mężczyzna wziął do ręki książkę i nie zwracając na nikogo uwagi, zaczął ją czytać. Jadwiga nie była w stanie rozszyfrować tytułu, a podobno wiele można powiedzieć o człowieku na podstawie tego, jakie lektury sobie wybiera. Balbina, Malwina albo Halina pewnie od razu potrafiłyby nakreślić portret psychologiczny tego faceta.

Jadwiga założyła okulary, ale z tej odległości nadal nie widziała dobrze okładki. Westchnęła rozdzierająco, zaparzyła kawę, drżącą ręką nałożyła ciastko z kremem na kolorowy talerzyk i po chwili całe zamówienie stało przed nieznanym mężczyzną. Dodała jeszcze szklankę wody.

– To w gratisie – wyjaśniła. – Mamy tutaj bardzo dobrą kranówkę.

Mężczyzna nawet nie podniósł na nią wzroku. Sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Jadzia stanęła tuż obok niego i przez chwilę mu się przypatrywała. Do dobrego tonu należało przecież zagadnąć, zapytać, jak mija dzień, dowiedzieć się, skąd w ogóle ten człowiek wziął się w jej restauracji, ale nie mogła się przemóc. Roztaczał wokół siebie jakąś taką aurę, że nie miała śmiałości się odezwać. Zresztą on był jakiś dziwny, pewnie i tak by milczał jak zakłęty.

Wpatrywała się w niego przez kilka sekund. Mężczyzna poczuł chyba na sobie jej wzrok i niechętnie na nią spojrzął. Już chciała coś powiedzieć, ale w końcu nieśmiało się uśmiechnęła i wróciła za ladę. Miała sporo stałych klientów i starała się o nich godnie zatroszczyć, żeby chętnie do niej wracali. Fakt, każdy nowy bywalec był na wagę złota. Gdyby przychodził co tydzień na ciastko i kawę, zarobiłaby na nim... Szybko policzyła w myślach... Niedużo. Westchnęła. Ale ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

Może namówiłaby go na obiady? Janek przychodził codziennie. Od razu zaczął lepiej wyglądać, gdy zaczęła go karmić. I jakby odmłodził? Grać też zaczął lepiej...

Malwina z Anatolem też wpadali coraz częściej. Na początku Jadwiga się bała, że gdy razem zamieszkają, Malwinie włączy się wicie gniazdko i zamarzy jej się bycie idealną gospodynią domową, a wtedy przestaną jadać

w restauracji, na szczęście Malwina wolała robić w wolnym czasie coś innego, niż stać przy garach. Co takiego? W to Jadwiga nie wnikała.

Niemniej jednak to wciąż było za mało. Tomek miał wprawdzie na swoim koncie dużo pieniędzy i niestety na razie to on jej dokładał do życia i do interesu, ale przecież to nie wypada, by syn utrzymywał matkę. I jeszcze był ten dom otrzymany w spadku po pani Marysi. Piękny dom, którym trzeba było się opiekować, a to wymagało czasu i pieniędzy...

Jednak dobrze, że ten nowy gość się do niej nie odzywał, chyba nie miała tego dnia nastroju na rozmowę. Tym bardziej że musiała się psychicznie przygotować na starcie z Halinką, która z pewnością będzie bardzo zdenerwowana faktem, że ktoś jej zaburzył cotygodniowy rytuał.

– Dzień dobry, Jadwigo! – Jak na zawołanie do restauracji weszły Halina, Balbina i Malwina.

Halina od razu skierowała swoje kroki w stronę foteli w rogu sali. Stała jak wryta i wymownie spojrzała na Jadwigę, która udała, że w ogóle nie widzi jej wzroku. Ze spuszczoną głową stała za ladą. Halinka chrząknęła, ale Jadwiga odwróciła się w stronę ekspresu do kawy.

– Dziewczęta, ktoś zajął nasze miejsce – powiedziała głośno bibliotekarka, wpatrując się w intruza.

Wszyscy wstrzymali oddech. Wszyscy oprócz mężczyzny, który pozostał niewzruszony.

– Chodź, Halinko, do okna – zaproponowała Balbina. – Tam są przecież wolne miejsca.

– Dwadzieścia lat siedziałam tam – syknęła Halina. – Ponad dwadzieścia! To i teraz będę.

Usadowiła się tuż przy nieznanym i wtedy zauważyła stojące przy nim ciastko z kremem, na które tak bardzo miała ochotę. Spojrzała z uwagą na Jadwigę, wstała i zapatrzyła się na paterkę, gdzie na pewno nie dostrzegła swojej ulubionej kremówki.

– Dla mnie to co zwykle – powiedziała i spojrzała wyzywająco.

– Jakby... – zająknęła się Jadwiga. – Jakby ciastek z kremem już nie ma.

– Ale przecież przychodzę tu co tydzień od ponad dwudziestu lat i zawsze były. Co się niby zmieniło, że akurat dzisiaj nie ma ciastek z kremem? – zapytała tak głośno, że umarłego można by obudzić.

Mężczyzna siedzący w rogu sali z pewnością ją usłyszał, ale oczywiście nie zareagował.

– Halinko, uspokój się – poprosiła cicho Balbina.

– Zjesz dzisiaj kawałek serniczka. Bardzo dobry jest. – Malwina również próbowała ją uspokoić. – Jem go od dwudziestu lat i jeszcze mi się nie znudził.

– Serniczka mam więcej – dodała nieśmiało Jadwiga. – Sama bardzo go lubię do kawy.

– Śledzia masz? – burknęła Halina.

– Śledzia? – zdziwiła się.

– Albo jakąś inną rybę. Najlepiej o intensywnym zapachu. I coś z tym francuskim serem.

– Blue? Nie mam go. – Znowu się zmartwiła. – Ale mam ser z kminkiem...

– To ten, co kiedyś robiłaś go z twarogu i całe miasteczko śmierdziało? –

Jadwiga niepewnie pokiwała głową, nie wiedząc, która odpowiedź może zadowolić naburmuszoną bibliotekarkę. – To daj kanapkę z nim.

– To jest bardzo dobry ser – stwierdziła Balbina. – Tylko okropnie śmierdzi.

– Pewnie, że dobry – zgodziła się Halinka. – Dlatego go chcę. I również dlatego, że śmierdzi – dodała już ciszej.

– Ja... Ja zobaczę, ile go jeszcze zostało. Ser robiłam w domu, powinno być jeszcze trochę...

– Dobrze, to ja, jak już mówiłam, poproszę śledzie i kanapkę z tym serem. I herbatę.

Balbina i Malwina wymieniły zdezorientowane spojrzenia, a Halinka jakby nigdy nic usiadła na swoim stałym miejscu, czyli obecnie tuż obok mężczyzny. Przez chwilę mu się intensywnie przypatrywała, a ten udawał, że kompletnie nic sobie z tego nie robi. A może wcale nie udawał, tylko faktycznie tak było? W każdym razie nadal z zainteresowaniem czytał książkę. Halina także próbowała rozszyfrować tytuł, ale nie udało jej się.

Pozostałe bibliotekarki przycupnęły przy stoliku pod oknem, nic nie rozumiejąc z tej całej sytuacji. Jadwiga podała im ciastka, te co zawsze od dwudziestu lat, a przed Halinką postawiła nadzwyczaj... aromatyczne zamówienie. Cała restauracja wypełniła się charakterystycznym zapachem.

– Na Boga, Halinko, musiałaś? – jęknęła Malwina, zatykając sobie nos.

Mężczyzna drgnął. Spojrzał kątem oka na Halinę, która zajadała śledzia, i wziął do ust kawałek ciastka z kremem. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że zjada najlepsze ciastko z kremem w całym wszechświecie. Z lubością zmrużył oczy, a później prowokująco spojrzał na Halinkę. Ta aż

poczerwieniała ze złości! Nic nie mówiła, ale rytmicznie stukała nogą w stół. Mężczyzna pozostał niewzruszony, czym doprowadzał staruszkę do szału. Spokojnie dojadł ciastko, wyraźnie się nim delektując, i powoli wypił kawę. Nie zmieniając wyrazu twarzy, wstał od stołu.

I tu pojawiła się szansa na kontratak... Na chwilę odłożył książkę, którą czytał z ogromnym zainteresowaniem. Halinka bez pozwolenia ją wzięła i wreszcie ujrzała tytuł. Uśmiechnęła się słodko do mężczyzny.

– Kominiarza zabiła ta kobieta, która w pierwszej scenie pojawiła się z koszem grzybów – zaszczebiotała. – To było bardzo zaskakujące, bo w przedostatniej scenie już się wydaje, że policjant był zamieszany w to zabójstwo, ale jednak nie! On pomagał ofierze, a zabiła ta grzybiarka. Kto by się spodziewał, prawda? Właśnie się pojawiła druga część. Jeszcze jej nie mam i czekam z niecierpliwością. Czytałam spoilery w Internecie i w tej drugiej części ma się okazać, że tak naprawdę ten kominiarz właściwie nawet nie został zabity!

Mężczyzna spojrział na nią z ogromną niechęcią, ale nadal milczał. Schował książkę do torby z logo gabinetu doktora Maryńskiego i bez słowa wyszedł z restauracji.

– No! – skwitowała tryumfalnie Halinka. – Możecie tu siadać, dziewczęta.

– Byłaś okropna – burknęła karcąco Balbina. – Szczególnie z tą książką. I dzięki, też jej jeszcze nie czytałam.

– Okropny to był on, że usiadł na moim miejscu.

– Czy ja mogę śledzie i kanapkę zabrać? – wtrąciła się nieśmiało Jadwiga.

– Ależ w żadnym wypadku, chyba zmienię swoje nawyki.

– Akurat – powiedziała Malwina z powątpiewaniem. – Zrobiłaś to tylko dlatego, by go stąd wykurzyć.

– Prawda – przyznała Halinka. – Najważniejsze, że mi się udało.

– Pewnie gdyby Jadwiga serwowała potrawy z tym śmierdzącym owocem, też byś zamówiła. Jak on się nazywa?

– Durian – odpowiedziała szybko Jadwiga. – Śmierdzi jak zepsuta cebula, spleśniały ser albo wydzieliny skunksa.

– No i super. Szkoda, że go nie miałaś. Zaszalałybyśmy z tym skunksem.

Dziewczęta spojrzały na siebie, bo nie wiedziały, czy Halinka, mówiąc „skunks”, miała na myśli dzisiejszego intruza, czy zapach owocu.

– Ale na razie, niestety, przestajesz na kuchni polskiej. Następnym razem zamówię czerninę i nie będę wycierać ust, tylko będzie mi tak spływać posoka w kącikach...

– Przecież ty nienawidzisz czerniny! – zawołała Malwinka.

– Dla dobra ogółu się poświęcę. Wygrana wojna wymaga ofiar.

– Ja z wami zwariuję, dziewczyny. Dla czyjego dobra, Halinko? Bo z pewnością nie dla mojego – westchnęła Jadwiga. – I jakie ofiary? – Wytarła ręce w fartuch i usiadła razem z nimi do stolika. – Wygląda na to, że wypłoszyłyście mi klienta. Kto to w ogóle był?

– Nie mam pojęcia – burknęła Halina.

– Ten gość z poczty – powiedziała Malwina.

– Nieważne skąd był. Przede wszystkim to był ktoś, kto mi zjadł ciastko. Bez słowa... Swoją drogą, nie wiem, jak ty w ogóle mogłaś mu dać moje ciastko.

– Zapłać z góry, to będzie twoje – powiedziała hardo Jadwiga.

– Oczywiście. Ja nawet mogę abonament wykupić na ciastka. – Halina wzruszyła ramionami.

– My też – dodały „dziewczęta”.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Co za problem?

– No to wspaniale – westchnęła Jadwiga. – Pomyślimy.

– A co ty taka naburmuszona? – zapytała Balbina.

– A co mam być zadowolona? Klienta bezpowrotnie mi Halinka wypłoszyła, a ja mam dziecko na studiach...

– ...medycznych – dodała Halina. – Wiemy, wiemy. Powtarzasz to kilka razy dziennie, a na Facebooku piszesz o tym średnio raz na trzy dni. I jaki to ma związek z twoim humorem? Przecież byłaś zadowolona, że Tomek dostał się na studia. Nawet dumna!

– Jestem ogromnie dumna, ale duma do życia nie wystarczy, potrzebne są też pieniądze.

– Musisz się przeczucić na kuchnię francuską – zaproponowała Malwina.

– Do Laury goście przyjechali i nie wyglądają na takich, którzy lubią sami gotować. Szczególnie ten mężczyzna.

– W żadnym wypadku kuchnia francuska! – sprzeciwiła się gwałtownie Jadwiga. – Nie będę sprzedawać żadnych żabich udek ani ślimaków. Po moim trupie!

– Raczej po ich – wtrąciła się Balbina. – Tych żab i ślimaków.

– No nie wyobrażam sobie tego. Rozumiem makarony, pomidory, oliwę. Kuchnia włoska bardziej mi odpowiada, ale francuska? Mam wrażenie, że oni jedzą wszystko, co znajdą na polu czy w kałuży.

- Ja tam lubię owoce morza – stwierdziła Halina, kończąc śledziki.
- Ty w ogóle lubisz owoce. Duriana chciałaś dziś zamawiać – przypomniała Malwina. – Ja kocham crème brûlée. – Ewidentnie się rozmarzyła.
- No powiem wam, że zdenerwował mnie ten mruk. Kto to w ogóle był?
- Ten, który pracuje na poczcie – powiedziała Balbina. – Nikt go nie zna i nikt o nim nic nie wie.
- Lubi czytać – dodała Malwina.
- No, Halinko, byłaś okrutna, że powiedziałaś mu, kto zabił. – Balbinka pokręciła głową.
- Przez krótką chwilę, myślałam, że on zdzieli naszą Halinkę w łeb – dodała Jadwiga. – Na poważnie!
- No dobra, ale wracając do ploteczek... – przerwała im. – Ci goście u Laury to chyba na długo, więc, Jadwigo, naprawdę pomyśl o menu dedykowanym właśnie im. Ja nie wiem, jakim cudem tyle lat się tu utrzymałaś, kompletnie nie mając zmysłu biznesowego.
- Anatol widział, ile walizek ze sobą przywieźli – dodała Malwina. – Nawet ja tyle nie miałam, gdy się do niego przeprowadzałam.
- Czasem przechodzą obok restauracji, w drodze do parku.
- To masz okazję ich zaprosić na tę żabę. – Halina zarechotała złośliwie.
- Już wam mówiłam, że w mojej restauracji żadna żaba swojej nogi nie postawi. Ani żaden ślimak.
- Ślimak, ślimak, wystaw rogi – zaczęła Halina.
- Dam ci sera na pierogi – dodała Balbina.
- Jak nie... – kontynuowała Malwina.
- Dziewczyny, dajcie spokój – przerwała im Jadwiga. – Nie będzie ani żab, ani żadnych ślimaków. Żaden nie wystawi rogów, nawet skuszony serem i kapustą.
- Torty na zamówienie powinnaś piec. Takie urodzinowe – wpadła na pomysł Balbina. – Widziałam w Internecie, cuda robią.
- Jakbyś upiekła na moje urodziny i coś by zostało, to Balbina miałaby na swoje – powiedziała Malwina.
- No raz możesz zatryumfować, że jesteś starsza – burknęła Balbina.
- O całe cztery dni – dodała Malwina. – Możesz też śluby organizować – zastanawiała się dalej nad potencjalnym dochodem restauracji.
- To kiedy? – zainteresowała się Jadwiga. – Przecież wy w grzechu...
- Tam zaraz w grzechu – obruszyła się Malwina. – My nie grzeszymy.

– Akurat. – Halinka ponownie parsknęła śmiechem.

– Możesz też robić pogrzeby, a właściwie stypy – westchnęła Balbina. – Ale o pogrzebach nie mówię, bo kto jak kto, ale my stoimy pierwsze w kolejce... I jakie jeszcze okazje można świętować? Chrzcziny...

Jej wypowiedź przerwały otwarte nagle drzwi, przez które wszedł Ksawery. Usłyszał ostatnie słowa Balbiny i uśmiechnął się szczerze.

– O, jak dobrze, że wiecie. Nie muszę już nic trzymać w tajemnicy! – Ewidentnie mu ulżyło. – A tak się bałem, że wypaplam przez przypadek. Bo mówią, że nie umiem trzymać języka za zębami, a ja przecież milczę jak grób.

– Albo jak pan z poczty – dodała cicho Balbina.

– Ale co wiemy? – zapytała dociekliwa jak zawsze Halinka.

– No że Laura jest w ciąży. – Uśmiechnął się i zgarnął z talerzyka niedojedzone ciastko Malwinki.

– Laura jest w ciąży?! – zapytały wszystkie cztery chórem i zaczęły się intensywnie w niego wpatrywać.

Jadwiga szybko naląła mu zupy i postawiła przed nim talerz, mając nadzieję, że jak sobie podje, będzie bardziej skory do zwierzeń. Szczególnie że przyszedł z taką rewelacją!

– Kamień z serca – mówił z pełnymi ustami, nie zauważając ich zdziwionych spojrzeń. – Wiecie, jak ja nie lubię mieć tajemnic. A że wy już wszystko wiecie, to odetchnąłem z ulgą. Tak bardzo się ucieszyłem, gdy Laura przyszła do mnie wczoraj kupić test! Powiedziałem jej, by wzięła od razu dwa, tak na wszelki wypadek. I dziś rano wróciła po witaminy dla kobiet w ciąży! Poleciałem jej te najlepsze. Zapytałem co i jak, a ona potwierdziła radosną nowinę. I była taka szczęśliwa! – Zjadł kilka łyżek zupy i dopiero dostrzegł zdumione miny wszystkich otaczających go kobiet. Żadna z nich nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

– Laura... Laura jest w ciąży? – zaczęła w końcu Malwinka. – To cudowna wiadomość!

– Tak, i czuje, że tym razem to będzie syn – dodał Ksawery i dopiero do niego dotarło, że najprawdopodobniej jednak zdradził jakiś sekret. – To wy nie wiedziałyście o niczym?

Kobiety równocześnie pokręciły głowami.

– To czemu rozmawiałyście o chrzczinach?

– Tak zupełnie hipotetycznie – powiedziała Jadwiga. – Myślałyśmy sobie, co by tutaj jeszcze zrobić, by ożywić tę restaurację.

– O Jezu... – westchnął zmartwiony aptekarz. – I znowu wyjdę na największego plotkarza w okolicy.

Halina bezradnie rozłożyła ręce.

– Niestety – stwierdziła Jadwiga.

– Ale my nikomu nie powiemy – pocieszyła go Balbina.

– Ja powiem, Anatolowi – przyznała szczerze Malwina. – Przecież wszystko mu mówię.

– Pani Anatolowi, Anatol Janowi, potem on na terapii Wiktorowi, ten żonie i jutro całe miasteczko będzie wiedzieć – rozpaczał Ksawery. – Pani Jadziu, ja chyba potrzebuję czegoś mocniejszego. Cały czas powtarzam, że mogłaby tutaj pani mieć whisky.

– Nalewam, panie Ksawery.

– Ja też poproszę – powiedziała Halina. – To był trudny dzień.

– I ja – dodała Malwina. – Takie okazje trzeba świętować.

– A ja już się będę zbierać – dodała nieśmiało Balbina. – Jestem z kimś umówiona.

– Umówiona? – Wszyscy spojrzeli na nią badawczo.

– Ja nie mogę! Nawet wy macie zdecydowanie bogatsze życie towarzyskie ode mnie – jęknął Ksawery.

– Bywa. – Balbina uśmiechnęła się tajemniczo.

– Znamy go? – Halina oskarżycielsko wycelowała w nią palec.

Balbina pokręciła głową.

– A chociaż ze słyszenia? – dopytywała Malwina.

– Chyba nie.

– A gdzie ty go dorwała? – Jadźka czuła lekką zazdrość, że starsza od niej kobieta umawiała się na randki, a ona wciąż sama jak palec próbowała wiązać koniec z końcem.

– A gdzie ty się z nim spotykasz? – zainteresował się Ksawery.

– No przecież jak na randkę to tylko w mojej restauracji! Mam kawę...

– Ale nie masz ciasteczek z kremem – wtrąciła złośliwie Halina.

– I crème brûlée... – dodała nieśmiało Malwina.

– Ja się idę spotkać na onlajnach – oświadczyła Balbina, po czym z gracją wstała od stołu, założyła płaszcz i wyszła.

– Ale... – Jadwiga podniosła się z krzeselka i zawołała za nią.

– Ty się nie denerwuj, zapłacę za nią – przerwała jej Halina. – Dzisiaj i tak moja kolej.

Uspokojona Jadwiga usiadła.

– Na onlajnach? – powtórzyła. – Do czego to doszło!

Halina, Malwina i Jadźka synchronicznie wzruszyły ramionami. Ramiona Ksawerego wprawdzie nie drgnęły, ale za to pokiwał głową. Dziewczęta nie potrafiły określić, czy to kiwanie miało wyrażać zazdrość, pochwałę, czy wręcz dezaprobatę.

– Na onlajnach... A to się porobiło – skwitowała Halina.

15. Balbina

W Polsce przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że wróżymy na Andrzejkę, a nasi południowi sąsiedzi, a raczej sąsiadki, wróżą w Boże Narodzenie. Na początku grudnia ścina się gałązki jabłoni, czereśni i forsycji. Jeśli zakwitną na święta, dziewczyna wyjdzie za mąż. Jeżeli pąki pojawią się przed świętami, najpierw pojawi się dziecko, dopiero potem będzie ślub. Gałązka bez kwiatków oznacza rok w samotności.

Czeszki wróżą też z butów. Panna staje tyłem do wejścia i rzuca butem przez ramię. Jeżeli czubek ustawi się przodem do drzwi, wówczas w ciągu najbliższego roku będzie wesele!

Balbina nie mogła się doczekać swojej randki „na onlajnach”, jak to nazywała. Nie wiedziała nawet, czy w ogóle to ich spotkanie można było nazwać randką. No bo jaka to randka, gdy jest się już po siedemdziesiątce i na dodatek nie widzieli się prawie dwadzieścia lat...

Na początku rozmawiali tylko przez Messenger. Bała mu się pokazać. Stresowała się, jak zareaguje, gdy zobaczy ją taką, jaka jest naprawdę. Uśmiechała się teraz na myśli o tym.

Kiedy te kilka miesięcy temu Gabrysia uczyła ją obsługi nowego telefonu, Balbina nic nie wiedziała o Facebooku, przesyłaniu zdjęć, a nawet o tym, że przez Internet można rozmawiać z kimś, kto jest oddalony o tysiąc kilometrów. I to praktycznie za grosze!

– Gabrysiu, a ja mam zainstalowany ten program, który pozwala być piękniejszą? – zapytała te kilka miesięcy wcześniej, gdy tylko dziewczynka pokazała jej, jak używać smartfona, który staruszka dostała w spadku po Laurze.

Gabrysia uczyła ją obsługi tego telefonu, bo był zupełnie inny niż ten poprzedni. Spotykały się regularnie na komputerowe lekcje, jak nazywała to Balbina. Po kilku dniach radziła już sobie ze smartfonem całkiem sprawnie, ale co chwilę się czegoś nowego dowiadywała. Miała wrażenie, że ta nauka

nie ma końca. Nie przeszkadzało jej to jednak, bo bardzo lubiła spędzać czas z Gabrysią.

– To jak? Mam? – powtórzyła. – Taki program, żeby nie miała zmarszczek?

– Masz, ale teraz się go nie używa. Niemodne jest poprawianie urody za pomocą aplikacji.

– Niemodne? – zdziwiła się Balbina. – Halinka tego używa. I poprawia sobie wszystko. – Pokazała dziewczynce telefon ze zdjęciem. Ewidentnie jakaś przecudna aplikacja odjęła jej przyjaciółce kilka lat, wiele zmarszczek i jeszcze więcej centymetrów w pasie i w biodrach.

– Ale Halinka nie jest na czasie – skwitowała dziewczynka.

– Aha... A ja jestem?

– Ty jesteś, oczywiście. Masz najbardziej wypasiony tablet na świecie, to przecież wiadomo, że jesteś na czasie.

– No tak – zgodziła się Balbina. – Wiadomo... Stara, ale na czasie.

– A komu ty się chcesz tak podobać, Balbinko? – Gabrysia przyjrzała jej się wnikliwie.

– No... tak wiesz... – zaczęła kręcić. – No wszystkim...

– To musisz się dobrze zastanowić. Bo jeżeli wiesz, że nigdy tej osoby nie spotkasz na żywo, to sobie zmieniaj te zdjęcia, chociaż to też nie jest w porządku. Ale jak ją zamierzasz kiedykolwiek spotkać, to absolutnie tego nie rób.

– A dlaczego?

– Dlaczego? – zdziwiła się Gabrysia. – Bo cię nie pozna na ulicy. Minie cię bez słowa i będzie ci przykro. A nawet jak pozna, to będzie rozczarowany. No to jak, Balbinko, upiększamy cię czy nie?

Wtedy, gdy rozmawiały o upiększaniu, Balbina wpatrywała się w zdjęcie kogoś, kogo dawno nie widziała i z kim dawno już nie rozmawiała. Zastanawiała się, czy chciałaby go kiedykolwiek spotkać na żywo. Przecież minęło już tyle lat... Prawie dwadzieścia. Czy gdyby ją teraz zobaczył, byłby rozczarowany? Liczyłyby zmarszczki na jej twarzy? Chyba nie. Kiedy ją pokochał, wyglądała dużo gorzej...

– Nie, Gabrysiu. Jednak nie będę sobie poprawiać urody filtrami. Zrób mi teraz zdjęcie. Dokładnie tak, jak wyglądam.

– I to jest dobry wybór, bo pięknie ci w tym różowym swetrze.

– Naprawdę? – Ucieszyła się. – Malwinka mi zrobiła na drutach.

– Chodź, Balbinko, do okna. Adrian mówi, że w fotografii najważniejsze jest światło. Oczywiście zaraz po modelce. Ale ja myślę, że jak jest dobre światło, to i modelka może być nieciekawa.

– Ale ja jestem... nieciekawa?

– Ależ Balbinko! W żadnym wypadku nie jesteś nieciekawa! Ty jesteś bardzo ciekawa! W sensie bardzo interesująca!

– No to dobrze, ulżyło mi.

– Ale makijaż mogłabyś zrobić – dodała Gabi.

Balbina stwierdziła, że to dobry pomysł. Poszła więc do łazienki, po raz kolejny spojrzała na swoją twarz i uśmiechnęła się do siebie. Nałożyła podkład, który znalazła w szafie. Był trochę przeterminowany, ale cóż... Potem szminka, tusz do rzęs i odrobina różu. Wyglądała dużo lepiej.

– Pięknie! – ucieszyła się Gabrysia. – Stań tak o... – Zademontrowała z wdziękiem.

Balbinka przybrała odpowiednią pozę.

– Dobrze? – zapytała.

– Super. Nie musisz się uśmiechać, ale generalnie ludzie uśmiechnięci są bardziej lubiani. Chociaż moja mama zawsze się wkurza, kiedy da na Facebooku swoje zdjęcie bez uśmiechu i wszyscy pytają, dlaczego jest smutna. A wcale nie jest, tylko człowiek nie może się uśmiechać cały czas! –

Gabrysia wyszczerzyła zęby. – Przecież po kilku minutach wszystko cię boli. Ale jak ty chcesz, Balbinko, to możesz się uśmiechnąć. Ładnie wtedy wyglądasz.

Balbina stanęła i się szeroko uśmiechnęła.

– Nie tak. – Dziewczynka pokręciła głową. – Adrian zawsze mówi, że trzeba się uśmiechać oczami. Podobno wtedy wychodzą najładniejsze zdjęcia.

Balbinka przypomniała sobie najpiękniejsze chwile swojego życia – młodość, ale też okres, kiedy była w Niemczech i poznała Sebastiana Zawadę.

– Pięknie, Balbinko! – zachwycała się Gabrysia. – Naprawdę wyglądasz zjawiskowo! Nie wiem, o czym pomyślałaś, ale zazdroszczę ci tych myśli. Adrian zawsze mówi, że trzeba pomyśleć o czymś cudownym i to wszystko widać na zdjęciach.

Dziewczynka pokazała telefon, którym sfotografowała Balbinę. Staruszka spojrzała uważnie na swój portret. Tak, miała zmarszczki i wyglądała na swoje lata, ale była jakaś taka... Piękna?

– Co teraz?

– Teraz damy je na profilowe – zarządziła Gabrysia. – To znaczy, że wszyscy będą mogli je zobaczyć.

Wzięła do rąk telefon i chwilę coś przy nim robiła.

– O, zobacz – powiedziała i wręczyła tablet Balbinie. – Sebastian Zawada zaprosił cię do grona znajomych. Możesz zaakceptować.

Balbina nie wiedziała, co ma zrobić. Sebastian Zawada dawno temu pojawił się w jej życiu zupełnie niespodziewanie. Wbrew wszystkiemu, a przede wszystkim wbrew zdrowemu rozsądkowi. Poznała go, gdy była w jednym z najczarniejszych momentów swojego życia. Bezbronna i zdana na łaskę i dobrą wolę innych. A wszystko zaczęło się od tego nieszczęsnego guzka w piersi, który wykryła pod prysznicem, i od wizyty u doktora Maryńskiego, do której nakłoniła ją siostra. Obiecywała sobie, że już nigdy nie będzie z nim miała kontaktu. A teraz... kliknęła „zaakceptuj”.

Sebastian: *Cześć, to naprawdę Ty?*

Balbina: *Tak.*

Sebastian: *Nawet nie wiem, co mam napisać.*

Balbina: *Zawsze gdy kogoś spotykasz po latach, pytasz „co słychać?”.*

Sebastian: *Co słychać?*

Balbina: *Nie dokończyłam, że nigdy nie wiadomo, co na to pytanie odpowiedzieć.*

Sebastian: *Nie wiadomo, od czego zacząć?*

Balbina: *Tak. Od którego momentu.*

Sebastian: *Szukałem Cię... Na Facebooku też.*

Balbina: *Dopiero tutaj dołączyłam.*

Sebastian: *Dlatego zastanawiałem się, czy to Ty...*

Balbina: *Ja...*

Sebastian: *Klara nie chciała mi dać Twojego numeru telefonu.*

Balbina: *Nie pozwoliłam jej.*

Sebastian: *Mogłaby być mniej lojalna. Porozmawialibyśmy wcześniej... I wcześniej bym Ci wszystko wyjaśnił.*

Pierwszego dnia, a właściwie ich pierwszej wspólnej internetowej nocy, rozmawiali o niczym. Nie odpowiedzieli sobie nawet na pytanie, co u nich słychać. Ich pierwsze spotkanie w sieci przypominało wzajemną obserwację. Delikatną, bez zbytej ingerencji w cudzą codzienność. Nigdy nie chcieli wchodzić z butami w swoje życie. I dlatego ta znajomość, która zaczęła się zupełnie niespodziewanie, tak szybko się skończyła. Oboje uznali, że nie chcą budować swojej przyszłości na ranach i smutku innych, i każde poszło swoją drogą.

Tyle już lat minęło...

Przez krótką chwilę tamtej pierwszej wieczornej rozmowy Balbina pomyślała, że ich znajomość zaczęła się od złych i bardzo traumatycznych wydarzeń. To może teraz czas tylko na te dobre?

Tamtej nocy, gdy rozmawiali po raz pierwszy, Balbina wszystko sobie przypominała. Wspomnienia przebiegały w jej myślach tak szybko, jak w kalejdoskopie. Teraz już mogła do nich wrócić. Po dwudziestu latach wciąż żyła i cieszyła się naprawdę dobrym zdrowiem. Dzięki Bogu. A wtedy? Wtedy była przerażona.

Tamta wizyta u doktora Maryńskiego nie przebiegła w taki sposób, w jaki Balbina sobie zaplanowała. Była pewna, że lekarz zbagatelizuje jej problem i będzie mogła spokojnie wrócić do swoich codziennych zajęć. Jednak doktor wbrew jej oczekiwaniom poświęcił jej całe pięć minut dłużej niż zazwyczaj, co ją zaniepokoiło. Nigdy tego nie robił...

Wyszła od niego z całym plikiem skierowań. Najpierw badania krwi i USG, potem mammografia. Od samego patrzenia na te wszystkie papiery Balbinka poczuła się chora. Wtedy po raz pierwszy pomyślała, że może Klara miała rację, że być może faktycznie trzeba się gruntownie przebadać. Miała ochotę zapytać pana doktora, jakie ma przeczucia co do jej osoby, ale była pewna, jaką odpowiedź otrzyma.

Doktor Maryński w stawianiu diagnozy polegał wyłącznie na faktach i twardych danych, kompletnie nie wierzył swojej intuicji, ale nikt nie miał wątpliwości, że ją miał. On po prostu wiedział, że ktoś będzie potrzebował pomocy, zanim faktycznie jej potrzebował. Zlecał bardzo trafione badania,

które w zasadzie były potwierdzeniem tego, co sam już wiedział. I dlatego też zaopiekował się Balbiną najlepiej, jak tylko było można.

Po kilku dniach wróciła do niego z wynikami. Były jednoznaczne. Musiała się poddać leczeniu. I to jak najszybciej.

– Musisz przyjechać do mnie – zarządziła Klara, gdy rozmawiały po wizycie lekarskiej przez telefon. – Przecież jesteś w tej Małej Przytulnej kompletnie sama. Jak pojedziesz do szpitala do Gdańska, nikt cię nawet nie odwiedzi.

Odwiedziłyby. Gdyby tylko komukolwiek o tym powiedziała. Przecież Balbina miała przyjaciół, którzy od lat wspierali się wzajemnie we wszystkim. Jednak nie chciała ich martwić, mieli przecież swoje problemy. Kochała ich całym sercem, oni ją też, tym bardziej chciała, by sobie żyli w spokoju, z dala od jej trosk. Po co im jeszcze dokładać. Ludzie nie chcieli słuchać o chorobach, leczeniu, cierpieniu. A ją to wszystko czekało. Nie była na to gotowa, ale nie miała wyjścia.

– Przyjadę – szybko podjęła decyzję. – Tylko mam prośbę... Gdybyś kiedyś rozmawiała z Malwiną, Haliną albo kimkolwiek z miasteczka, to nie mów im, że jestem chora.

– A co im chcesz powiedzieć? – zapytała Klara.

– Cokolwiek. Choćby to, że jadę do Niemiec do pracy. Na pół roku czy rok. Zależnie, ile to będzie trwało.

– Okłamiesz ich? Tak po prostu?

– Dla ich dobra. Niech lepiej gadają, że gonię za pieniędzmi, zamiast się martwić, że może mnie zabraknąć.

– Nawet tak nie mów! – Klara się zdenerwowała.

– Już nie mówię. Wszystko będzie dobrze. Dziękuję, że mnie wygoniłaś do lekarza.

– Po to jestem. Kupiłam ci już bilet na samolot.

– Na samolot? Przecież mogę autokarem przyjechać.

– Nie będziesz się tłukła dwadzieścia godzin. Polecisz, będzie wygodniej i szybciej.

– Ty wiesz, że ja jeszcze nigdy nie latałam. I trochę się tego boję!

– Wiem, ale dasz radę. Dwie godziny lotu i się zobaczymy. Za tydzień. Jeszcze się zdzwonimy.

– Dziękuję, Klara.

– Do zobaczenia, kochana. Cieszę się, że będziesz teraz z nami, zaopiekujemy się tobą.

Zgodnie z przypuszczeniami zarówno Halina, jak i Malwina uznały, że Balbinie się zdecydowanie w głowie poprzewracało.

– A co ci tutaj źle, że na saksy jedziesz? – burknęła Halina. – Pieniądzy masz za mało? A na co ty niby kasę potrzebujesz?

– Trafiła się okazja. Klara do mnie zadzwoniła i zaproponowała mi pracę, bo ktoś się zwolnił... – próbowała się tłumaczyć Balbina. – To zdecydowałam, że pojedę... Taka okazja się często nie zdarza.

– Okazja jak ślepej kurze ziarno – denerwowała się przyjaciółka. – I tak nas niby zostawisz? Same tutaj? Na ile ty tam w ogóle chcesz jechać?

– Nie wiem jeszcze. Pół roku może...

– Pół roku! I co ty tam będziesz robić, skoro języka nie znasz? Ulice będziesz zamiatać?

– No różne takie prace będę miała... Klara coś załatwiła, jeszcze nie znam szczegółów. A języka mogę się nauczyć. Coś tam zresztą umiem...

– Tej Klarze też trzeba przemówić do rozsądku. Prowadzisz spokojne, ustabilizowane życie, niczego ci tu nie brakuje, a wymyślasz jakieś głupie wycieczki. Malwino, no powiedz coś! – fuknęła Halinka, która już nie miała pomysłów, jak zatrzymać znarowioną przyjaciółkę w kraju.

– Ale co ja mam powiedzieć?

– Cokolwiek!

– No przykro nam, że pojedziesz, ale damy sobie jakoś radę... – zaczęła.

– Po prostu zaskoczyłaś nas tą wiadomością.

– Nie tego od ciebie oczekiwałam. – Halina zirytowała się jeszcze bardziej. – Mogłabyś się bardziej postarać, Malwinko.

– Ale ja tak po prostu myślę – wyszeptała.

– Nie damy sobie rady. Tylko we dwie? W całej bibliotece? – gderала Halina. – Miałyśmy przejrzeć nasz księgozbiór, zrobić kilka nowych projektów...

– Nie przesadzaj. Nie ma aż tak wielu czytelników, byśmy narzekały na nadmiar pracy – nieśmiało zaoponowała Malwina.

– Ale to się zmienia! Każdego roku się zmienia! Przyrost liczby czytelników w tym roku w stosunku do roku ubiegłego w naszej bibliotece wynosił trzynaście koma dziewięć! A co może być w przyszłym? Moim zdaniem te coroczne badania czytelnictwa są bardzo niedoszacowane! Poza tym robimy tyle, że nie ogarniemy tego same. Gdzie solidarność? Trzej muszkietierowie? – rozpędzala się Halina. – Trzy gracje? Trzy osoby bosk...

– No trochę, Halinko, przesadziłaś.

– Może odrobinę – zgodziła się Halina. – Ale musisz się ze mną zgodzić, że trzy to symbol doskonałości, harmonii, porządku i ładu!

Balbinę przez chwilę przygniotły wyrzuty sumienia. Nie czuła w sobie ani harmonii, ani porządku, ani tym bardziej ładu. Była jednym wielkim chaosem. Pewnie gdyby faktycznie miała zamiar jechać do pracy, natychmiast by zrezygnowała, wszak Halinka była bardzo przekonująca, jednak, jak wiemy, niestety chodziło zupełnie o coś innego.

– Dziewczyny, proszę, zrozumcie mnie. Potrzebuję pieniędzy. Muszę zrobić remont mieszkania, to stara kamienica. Wszystko się sypie. Zresztą naprawdę potrzebuję na chwilę zmienić coś w swoim życiu.

– Zmienić coś w swoim życiu! – sarkastycznie powtórzyła Halina. – To zmieniaj. Zaczynaj od zmiany koloru włosów albo ścian czy od zakupu nowych butów, a nie od razu z grubej rury. Naprawdę zawiodłam się na tobie, Balbinko.

– Złożę wypowiedzenie, tylko prosiłabym, byś mi je podpisała za porozumieniem stron. Mam samolot za tydzień.

– Samolot? – zainteresowała się Malwina. – Jezus Maria!

– Przecież ty w życiu samolotem nie leciałaś! – zdenerwowała się Halina.

– No nie leciałam. Chciałam jechać autokarem, ale Klara kupiła mi bilet na samolot.

– Boże drogi... – Halina pokręciła głową. – To ty lepiej testament napisz najpierw.

– Klara mówiła, że samolotem bezpieczniej niż autokarem.

– No nie wiem... Mnie to się wydaje, że najbezpieczniej jest we własnym domu, Balbinko – westchnęła. – A jeszcze lepiej we własnym łóżku. I żadnego wypowiedzenia nie składaj. Masz mnóstwo zaległego urlopu. A potem najwyżej weźmiesz bezpłatny.

Tydzień później Janek wraz z Halinką i Malwinką zawieźli Balbinę na samolot. Miał niewielki samochód, ale dziewczęta jakoś upchnęły siebie i swoje kolorowe berety, które wówczas również nosiły. Balbina wzięła jedną walizkę. Klara zapewniła, że wszystko mogą kupić na miejscu.

– Zawsze byliśmy razem... – jęknęła Malwina.

– Nigdy się nie rozstawałyśmy – dodała Halina.

– I jeszcze ten samolot – mruknął Janek.

Na lotnisku spotkali doktora Maryńskiego. Znały go wszystkie trzy, ale oczywiście nigdy nie wpadły nawet na pomysł, by się z nim w jakikolwiek sposób spoufalać. Czasami jednak pewne okoliczności wymagają nietypowych działań.

Janek znał go trochę lepiej, wszak widywali się regularnie, i ze spoufalaniem nie miał problemu, ale „dziewczęta” uznały, że takich poważnych spraw nie można powierzyć mężczyźnie, jakkolwiek by ten mężczyzna nie był z nimi zaprzyjaźniony.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedziała najbardziej odważna, Halinka. – Wspaniale się składa, że Balbinka z panem leci, bo jak dostanie zawału, to ją pan przynajmniej uratuje.

Balbina starała się dać jakoś znać panu doktorowi, by nie zdradził jej tajemnicy, ale – jak wiemy – on miał wówczas własne problemy, bo leciał do Juliette, i nie miał takiego zamiaru. Zresztą znany był ze swojej małomówności. Jak zawsze i tym razem nie miał ochoty z nikim gawędzić. I całe szczęście. Balbina zdawała sobie sprawę, że lekarz nie może rozmawiać o jej stanie zdrowia z osobami postronnymi, ale się bała, że coś chlapnie przez przypadek. Jakby kiedykolwiek doktorowi Maryńskiemu się cokolwiek wymsknęło...

Czasem mamy tak, że te złe wspomnienia wypieramy z naszej głowy. Staramy się zachowywać tak, jakby nigdy się nie wydarzyły. Nie znajdują miejsca w naszych myślach, ale one wciąż gdzieś tam są...

Tak też było z Balbinką. Szpital, operacja, chemia – nie chciała o tym pamiętać. I na co dzień nawet jej się to udawało. Wprawdzie blizna w miejscu, w którym kiedyś była prawa pierś, przypominała jej o wszystkim, ale to był ślad zwycięstwa życia nad śmiercią. Powód do dumy, a nie do smutku.

Balbinka trzymała to wszystko w tajemnicy do momentu, gdy wspólnie z przyjaciółmi wykąpała się nago w lodowatym potoku i pokazała im całą swoją przeszłość.

– Pomogę pani wstać.

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą jakiegoś mężczyznę. Była po operacji. Już kilka razy się przebudzała, ale cały czas miała wrażenie, jakby znajdowała się w jakimś półśnie.

– Pan mówi po polsku? – zapytała zaskoczona.

– Tak. – Uśmiechnął się. – Jestem przyjacielem Klary.

– A, to pan pomógł to wszystko ogarnąć. Dziękuję – wyszeptała wzruszona.

– Nie ma sprawy. Pracuję tutaj od roku. Zamierzam często do pani wpadać. Będzie pani raźniej, gdy sobie pogadamy.

– I to po polsku – dodała Balbina.

– Ja będę przychodził do pani w nocy, a moja żona w ciągu dnia. Będzie pani zawsze pod dobrą opieką.

– Raz jeszcze bardzo dziękuję. Czy mógłby mi pan podać wody?

– Sebastian... – Uśmiechnął się łobuzersko. – Proszę mi mówić po imieniu. Nazywam się Sebastian Zawada.

16. Sebastian

W Indiach, drugim najbardziej zaludnionym kraju na świecie, „tylko” około 25 mln żyjących tam osób jest chrześcijanami. I bardzo trudno znaleźć tam choinkę! Hindusczy chrześcijanie ozdabiają zatem bombkami inne drzewa, najczęściej bananowe lub mangowe.

Sebastian Zawada był całkiem niezłym fizjoterapeutą. Skończył AWF, a zaraz potem studium medyczne. Pracował w szpitalu, gdzie zajmował się głównie rehabilitacją pacjentek onkologicznych. Kochał swoją pracę i swoje życie w Polsce i myślał, że będzie mógł bez większych zawirowań dobić do spokojnej i szczęśliwej starości, jednak jego żona miała inne zdanie na ten temat. Jak się potem okazało, nie tylko na ten...

– Na nic nas nie stać – irytowała się. – Dzieciaki zaraz będą chciały wesela wyprawiać... Za co? Mieszkanie mamy niewielkie, a na wakacjach nie byliśmy już sto lat. Żadnych oszczędności ani marzeń. Naprawdę tyle ci wystarcza?

– Byliśmy przecież na Podlasiu – przypomniał.

– Pod namiotem... – westchnęła Maja. – Ludzie jeżdżą na Kanary, do Egiptu czy Tunezji, a my, proszę bardzo, ekskluzywnie pod namiot, na Podlasie.

– Myślałem, że było fajnie. Ja tak lubię. Nie tęsknię za egzotycznymi wyprawami.

– Nawet gdybyś tęsknił, nic by z tego nie wyszło, bo na nic sensownego i tak nas nie stać.

Od pewnego czasu Majka przebąkiwała, że chętnie pojechałaby do pracy gdzieś za granicę. Na początku myślała o Irlandii, bo tam od kilku lat mieszkała jedna z koleżanek, potem do Anglii, gdyż tam od dawna siedziała druga. W końcu uznała, iż w Niemczech będzie najlepiej.

– Majka, jak ty to sobie wyobrażasz? Mamy całe nasze dotychczasowe życie postawić na głowie? – Sebastian zdecydowanie nie lubił zmian.

– Mogę jechać sama. Ty zostaniesz w Polsce, a ja trochę zarobię i wrócę.

– Ale jak sama? – zdziwił się.

Sebastian Zawada był zdania, że skoro ludzie decydują się na wspólne życie i biorą ślub, to są ze sobą na dobre i na złe. Związek na odległość wydawał mu się absurdem. Przecież po to się kiedyś pobrali, by właśnie być razem. Przynajmniej przez większą część ich życia. Najwyraźniej jednak jego żona miała inne zdanie.

– Pojadę, wybadam teren i najwyżej do mnie dołączysz. – Mówiła o tym, jakby to była błażostka, a nie diametralna zmiana wszystkiego, do czego do tej pory byli przyzwyczajeni.

Oboje byli tuż przed pięćdziesiątką. Dzieciaki właśnie zaczynały studia. Marcin był na drugim roku chemii, a Karolina na pierwszym dziennikarstwa. Coraz trudniej było im wszystkim pomieścić się w dwupokojowym mieszkaniu. Może faktycznie Maja miała rację? I tę rewolucję trzeba zrobić dla dobra dzieci? Ludzie wyjeżdżali na chwilę za granicę i później wracali do kraju, gdy udało im się coś odłożyć. Oboje z Mają znali dobrze niemiecki, zresztą poznali się na kursie językowym, na który chodzili jeszcze w czasie studiów, więc ten kierunek wydawał się słusznym rozwiązaniem.

Chociaż, prawdę mówiąc, Sebastianowi żadne rozwiązanie związane z wyjazdem nie wydawało się słuszne. Kochał swoje miasto. Lubił spacerować nad rzeką, krótkie wypady na grzyby do pobliskiego lasu. Miał swoje sprawdzone miejsca. Marzył, że kiedyś zbuduje chatkę w Borach Tucholskich i zamieszkają tam z Majką na starość. Czy tam, gdzie pojedą, będą lasy? Czy będą tam rosły grzyby? I czy w ogóle będzie miał czas je zbierać?

– Coś z tobą chyba jest nie tak... – Jego żona z dezaprobatą kręciła głową. – Zmieniamy całe nasze życie, przeprowadzamy się do innego kraju, wreszcie będziemy zarabiać normalne pieniądze, a ty się zastanawiasz, czy tam, gdzie będziemy mieszkać, będą rosły kanie, kurki czy opieńki. No powiedz sam, czy nie brzmi to absurdalnie.

Absurdalnie według niego brzmiało to, że miał porzucić to wszystko, co kochał, i wyprowadzić się gdzieś bardzo daleko. Podróż samochodem z Torunia do Frankfurtu trwała grubo ponad dziesięć godzin. Autokarem chyba dwa razy więcej. Od domu miało go wkrótce dzielić tysiąc kilometrów! Majka zupełnie nie miała z tym problemu. Nigdy nie była sentymentalna. W ich domu zawsze panowała sterylna czystość. Na początku mu się to bardzo podobało, jednak trudno jest żyć bez pamiątek i bibelotów. Nie było miejsca na stare książki, zakurzone, wyciągnięte ze

strychu szpargały po babci. Te, na szczęście, trzymał w swoim garażu, do którego ona nie miała wstępu. Przynajmniej nie wtedy, gdy go tam nie było. Raz próbowała mu tam zrobić porządek – wparowała i chciała wyrzucić połowę rzeczy. Na szczęście w porę interweniował i kategorycznie zabronił jej się nawet zbliżyć do garażu. Wtedy tak naprawdę się pokłócili.

– Garażu nie ruszajcie – zapowiedział dzieciom. – Ja tu kiedyś wrócę.

– Wiemy, że ty nawet rozpoznasz, jak jedna śrubka zmieni miejsce – ze śmiechem podsumował Marcin.

– I ściereczka do polerowania zmieni swój kształt – dodała Karolina.

– No to chyba sam będziesz wracał, bo ja nie zamierzam – burknęła jego żona. – Jeszcze dzieciaki ściągniemy do nas.

– Mnie tu dobrze. – Karolina pokręciła głową.

– A będzie jeszcze lepiej – dodał Marcin.

Maja wyjechała pierwsza. Zdecydowanie ją tam gnało. Bardzo szybko znalazła dobrą pracę, w klinice we Frankfurcie. Wiecznie była zajęta. Czy brakowało mu jej? Chyba trochę tak. Na pewno w mieszkaniu panował większy rozgardiasz, ale doszedł do wniosku, że dopiero teraz dom wyglądał na zamieszkały, a nie jak bezosobowy katalog wnętrzarski.

Dzwonili do siebie. Najpierw rozmawiali raz w tygodniu, potem rzadziej. Po trzech miesiącach poczuł, że powinien tam pojechać. Dla ratowania małżeństwa. Bo ewidentnie coś się sypało.

Kochał żonę. Był pewien, że to, co czuje, to właśnie jest miłość. Przecież byli ze sobą tyle lat. Mieli wspiane dzieci, wygodne mieszkanie w Toruniu i plany na przyszłość. Może nie była ona spełnieniem wszystkich ich marzeń, ale przynajmniej miała być we dwoje. Zamiast wynajmowanego mieszkania we Frankfurcie wolałby mały domek w Borach Tucholskich, jednak zawsze sobie powtarzał, że małżeństwo jest sztuką kompromisów. A że on częściej na te kompromisy chodził, to była już zupełnie inna sprawa. Widać miał taki charakter.

Wielokrotnie mówił żonie, by przygotowała grunt na jego przyjazd. Popytała wśród znajomych, rozejrzała się za pracą w klinice również dla niego. Maja powtarzała, że na razie nie ma żadnych wakatów, a chętnych jest wielu. Sebastian czekał więc cierpliwie, ale... jakoś nie mógł się doczekać. Dzwonili do siebie coraz rzadziej, bo żona wciąż była zajęta, więc

w akcie desperacji postanowił ją odwiedzić w święta. Przecież Wigilia to rodzinny czas.

Pojechali we troje. On i dzieci. Zapakowali się do autokaru i wyruszyli w podróż. Najchętniej zrobiłby Mai niespodziankę, bo je kochał, ale zaraz przypomniał sobie, jak reagowała na nie Maja – wszystkie okazały się niewypałem. Taniec w deszczu, kąpiel o północy w morzu oraz jej czterdzieste urodziny... Kupił czterdzieści róż i rozsypał je na pościeli. Wtedy chyba faktycznie tego nie przemyślał. Na kolcach nie można było się położyć, a bez dostępu do wody róże więdły bardzo szybko. Nim solenizantka wróciła do domu, część z nich nie była już taka ładna. Pewnie teraz można by chociaż zrobić romantyczne zdjęcie i wrzucić do Internetu, ale wtedy? Wtedy udawała, że się cieszy, ale widział, że nie była zadowolona. Szybko zgarnęła te wszystkie róże do łazienki, poobcinała im końcówki, włożyła do wrzątku, by dać im drugie życie. A potem zamiatała i odkurzała zapamiętałe płatki i listki, które leżały na podłodze w całym domu. Kolację urodzinową zjedli zimną.

Była doskonała w dawaniu komuś drugiego życia. Tak jak wtedy dała je różom. W domu nie potrafiła być czuła, ale w szpitalu skrupulatnie i z oddaniem wypełniała swoje obowiązki. Może nie była bardzo wylewna, ale profesjonalna. I dla każdego znajdowała miłe słowa.

Może gdyby kiedykolwiek ktoś ją nauczył, na czym polega zabawa w dom, w bycie żoną, też by było inaczej? I dla niego też znajdowałaby więcej ciepła? Chociaż życie go nauczyło, że do zimna można się przyzwyczać. On się przyzwyczał. Jednak to nie znaczyło, że je polubił...

Pierwsza Wigilia we Frankfurcie przebiegła mimo wszystko w bardzo miłej atmosferze. Były prezenty, ogromna choinka, stół pełen pyszności. Musieli zacząć świętować nieco wcześniej, bo Maja szła wieczorem do pracy.

Klinika znajdowała się niedaleko domu, trzeba było przejść zaledwie kilka przecznic. Ulice były oświetlone lampkami, w oknach domów widać było ustrojone choinki. Szli razem, trzymając się za ręce. Śmiali się, żartowali. Było tak jak kiedyś. Sebastian pomyślał, że naprawdę mógłby spróbować tu zamieszkać. Mimo tych wieżowców, tego tłumu na ulicach i tyłu samochodów. Mimo tego ostrego języka dobiegającego zewsząd. Nie

było tu wprawdzie lasu, ale była rzeka. Zupełnie inna niż strumyki, które kochał, szeroka, z pozoru groźna, ale też było pięknie.

Sebastian postanowił, że po raz kolejny pójdzie na kompromis. Zostanie tutaj i poczeka, aż znajdzie się dla niego jakaś praca. Czuł, że będzie miał szczęście. Przecież był dobry w tym, co robił, a wszystkie potrzebne papiery, dyplomy i dokumenty przetłumaczył już w Polsce i zabrał ze sobą.

Kiedy w tamten wigilijny wieczór pożegnał się z Mają w progu kliniki i odwrócił się, by iść z powrotem do domu, zobaczył tablicę ogłoszeniową. Przystanął. Chyba czekał na niego prezent! Szukali lekarzy, pielęgniarzy, salowych i fizjoterapeutów. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Święty Mikołaj się spisał w tym roku!

Sebastian zanotował numery telefonów z ogłoszeń, które go zainteresowały, i postanowił tam zadzwonić tuż po świętach. Nie chciał nic mówić Majce. Nie wiadomo przecież, co z tego wszystkiego wyjdzie. Mogło być różnie. A jak się uda dostać pracę, będzie miała niespodziankę.

Zapomniał tylko, że jego żona nade wszystko nie cierpiała niespodzianek.

Trochę go zastanawiał fakt, że Majka nie zauważyła tych ogłoszeń wcześniej. Musiały na tej tablicy wisieć już jakiś czas. Niektóre były naderwane, inne pożółkłe od wiatru i deszczu. Może nie były już aktualne?

Zdawał sobie sprawę, że jego żona była zapracowana. Pewnie zmęczona wracała do domu i nawet nie zwracała uwagi na otoczenie. Potem nadeszły święta, przyjechali oni i Maja skoncentrowała się na przygotowaniach do Wigilii. Świetnie gotowała. Zawsze się śmiał, że do jego serca trafiła właśnie przez żołądek. Bardzo się przy tym relaksowała, odpoczywała. Tak jak jego królestwem był zagracony garaż, tak ona czuła się królową w swojej sterylnej kuchni. Przywiązywała ogromną wagę do posiłków. Pewnie tutaj też zajmowało jej to dużo czasu, więc nie miała kiedy szukać pracy dla niego.

Nie przyszło mu wtedy do głowy, że dla chcącego nic trudnego. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że zupełnie bezpodstawnie usprawiedliwiał żonę, byle tylko w żadnym wypadku nie pomyśleć o najgorszym...

Nie miał wykupionego biletu powrotnego do domu. Zresztą wcześniej ustalił z dziećmi, że święta spędzą razem, a w sylwestra dzieciaki będą się bawić już w Toruniu. Cieszył się, że pobędzie trochę sam na sam z Majką.

Poza tym miał umówioną rozmowę o pracę, o której konsekwentnie nikomu nie mówił, a zaraz po Nowym Roku kolejną. Niestety Majka pracowała w sylwestrową noc.

– W takie dni najlepiej płacą – westchnęła któregoś dnia wieczorem. – Planowałam to już dawno, zanim wiedziałam, że przyjedziecie. Przepraszam cię, że musisz spędzić ten czas sam.

– Nie szkodzi. To dzień jak każdy inny. Pójdę po prostu do centrum zobaczyć, jak ludzie świętują. Pewnie będą jakieś fajerwerki, coś się będzie działo.

– Mam nadzieję, że nie będzie fajerwerków w pracy. – Maja pokręciła głową. – Pamiętasz, jak wyglądały dyżury u nas.

– Pełno pijanych i awanturujących się pacjentów. I dużo roboty.

– Dokładnie.

Sylwestra Sebastian spędził sam. Maja zostawiła mu coś dobrego do jedzenia, a potem wyszedł na miasto. Już w autobusie do centrum poznał sympatyczną parę – ona Polka, on Niemiec z polskimi korzeniami. Klara i Michael. Mieli troje odchowanych już dzieci. Frankfurt znali jak własną kieszeń i zaproponowali spędzenie wspólnego wieczoru. Cieszył się, że nie będzie sam. Szkoda tylko, że Majka nie mogła być z nimi. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Już wkrótce odciążą ją trochę i nie będzie musiała tyle pracować.

Dostał pracę w tej samej klinice co jego żona. Na początku miał się wdrażać jako pielęgniarz, ale istniała szansa, że docelowo będzie mógł pracować jako fizjoterapeuta. Oczywiście czekały go kolejne zmiany – musiał na chwilę pojechać do Polski, by pozajątwić tam swoje sprawy. Chyba zostawi dzieciakom samochód, niech mają tam jakiś środek lokomocji. Marcin się ucieszy. Przywiezie ojca ze wszystkimi niezbędnymi gratami i potem wróci do Polski, a on sobie jakiś samochód kiedyś kupi, na razie nie jest mu do niczego potrzebny.

Uśmiechnął się sam do siebie. Tym razem to on zaplanował dosłownie wszystko. Nie mógł się doczekać, kiedy powie o tym żonie. Niestety, wciąż zapominał o tym, że Maja nie lubiła niespodzianek...

– Ale jak to masz pracę? – Jedli późną kolację, gdy wróciła z pracy, i jej ręka z widelcem zastygła w połowie drogi do ust.

– Po prostu. – Uśmiechnął się do niej czule. – Na dodatek w tej samej klinice co ty. Szukali pielęgniarzy i fizjoterapeutów, musiałaś przeoczyć ogłoszenie.

– Faktycznie przeoczyłam. – Zamyśliła się. Powoli przeżuwała kęs mięsa, nic zatem nie mówiła.

– Nie cieszysz się? – zapytał po chwili. – Będę wreszcie mógł tu zostać i wszystko będzie jak dawniej.

– Cieszę się, oczywiście, że się cieszę. – Maja starała się zabrzmieć entuzjastycznie. – Ale wiesz, że ja lubię mieć wszystko zaplanowane na kilka miesięcy do przodu, a ta wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Po prostu muszę się przyzwyczaić do nowych okoliczności.

– Pojadę na kilka dni do Polski, załatwię tam swoje sprawy, a potem Marcin mnie przywiezie.

– Od kiedy zaczynasz?

– Od pierwszego lutego. Musisz mi zwolnić trochę miejsca w szafie – zażartował. – Witaj nowe życie.

– Witaj nowe życie – powtórzyła niepewnie Maja.

Ona wiedziała, że miejsce będzie musiała zwolnić nie tylko w szafie, ale i w swoim życiu. To wydawało jej się najtrudniejsze.

Sebastian szybko załatwił swoje sprawy w Polsce i zgodnie z planem zaczął pracować od początku lutego. Niestety, okazało się, że życie na emigracji nie jest łatwe. Nie chodziło o pracę, język czy kontakty międzyludzkie – z tym radził sobie doskonale. Jednak w domu było nieco inaczej, niż planował. W zasadzie mieszkali tam na zmianę. On pracował na nocki, Maja zwykle w ciągu dnia. Kiedy się nawet zdarzało, że pracowali razem, zwykle zdołali tylko zamienić kilka słów, mijając się na szpitalnych korytarzach. Niby trwali razem, ale jednak... tak bardzo osobno. Tak bardzo jak jeszcze nigdy.

Dobrze, że w sylwestra poznał Klarę i Michaela. Przynajmniej miał się z kim spotkać, pogadać i ponarzekać na świat. Nie spotykali się często, ale zawsze miał na kogo liczyć. Patrzył na nich z nadzieją, że kiedyś i jemu życie znowu się poukłada, i że wszystko będzie dobrze. Na razie musiało mu wystarczyć towarzystwo nowych przyjaciół.

Kiedyś opowiadał im, że kocha las i grzyby. Klara zawsze pamiętała, kto ma jakie marzenia, bo uwielbiała je spełniać.

– Niespodzianka! – zawołała któregoś dnia, parkując wraz z mężem przed jego dom.

Sebastian podlewał akurat kwiaty na balkonie i zauważył nadjeżdżający samochód.

– Mamy nadzieję, że lubisz niespodzianki? – upewnił się Michael.

– Bardzo! Już do was schodzę!

– Załóż wygodne buty i coś, co możesz pobrudzić. Padać chyba nie będzie, ale weź coś na wszelki wypadek.

W tym lesie, do którego go zabrali, chyba nikt nigdy nie zbierał grzybów. Ich kosz okazał się za mały, poszli więc po kartony do pobliskiego supermarketu. Wszystkie zapełnili!

Kolejnego roku znowu spędzali sylwestra we trójkę. Tym razem nie chciało im się nigdzie iść, wydawało mu się, że Klara nie była w formie, zaprosił zatem przyjaciół do siebie. Maja posiedziała z nimi do dwudziestej, a potem poszła do pracy. Już jakiś czas temu darował sobie dyskusje z żoną na temat tego, że spędzają razem za mało czasu. Liczył na to, że gdy w końcu zacznie więcej zarabiać, to wszystko się zmieni.

Przyjaciele taktownie nie poruszali tego tematu, ale zauważył, że wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Może gdzieś wyjdziemy? – zaproponował. – Tak jak rok temu? Oglądać fajerwerki?

– Jak coś się robi już dwa razy, można uznać, że to tradycja, czyż nie? – Michael się roześmiał.

– Chyba nie mam dzisiaj nastroju do świętowania – westchnęła Klara. – Mam ochotę posiedzieć pod kocem i jeść te wszystkie pyszności, które zostawiła dla nas Majka. Jest znakomitą kucharką i...

– Stało się coś? – przerwał jej Sebastian.

– Moja siostra ma raka – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Jakiś czas temu wykryła guzek w piersi. Martwię się o nią. Ona jest tam, ja tutaj.

– Była u lekarza?

– Tak. Kazałam jej iść od razu. Mówiła, że robi to tylko dla mnie, ale machina błyskawicznie ruszyła.

– I co teraz?

– Ma już większość wyników i skierowanie do szpitala. Nie chcę, by tam była sama, a ja nie mogę pozwolić sobie na wyjazd tam na tak długo. Sytuacja patowa.

– I co teraz?

– I teraz się zastanawiamy, jak to wszystko ogarnąć. Najchętniej zainstalowałabym ją tutaj, u nas, bo Balbina nie ma ani męża, ani dzieci. Tutaj mogłabym się nią zaopiekować najlepiej jak potrafię. Mamy duże mieszkanie, miałyby swój pokój, a my byśmy jej dogadzali...

– Przywieziemy ją tutaj – zdecydował Michael. – Trzeba ją chyba postawić przed faktem. Musimy poszukać lekarza, dowiedzieć się, jakie są opcje leczenia, i kupić jej bilet na samolot.

Sebastian zamyślił się na chwilę. Zjadł tartaletkę, wstał i kilka razy przeszedł do okna i z powrotem.

– A może udałoby się ją umieścić w naszej klinice? Miałyby najlepszą opiekę. W szczególności pielęgniarską. – Uśmiechnął się. – Przecież ja pracuję na onkologii. Za tydzień jadę na chwilę do Polski, ale zrobię wszystko, by załatwić jej miejsce przed wyjazdem. Jestem pewien, że nie będzie problemu. Wy tylko kupcie bilet.

Sebastian wszystko załatwił w zaledwie kilka dni. Lubił czuć się potrzebny.

– Wszystko przygotowane – powiedział Klarze tuż przed wyjazdem do Polski. – Szkoda, że nie mogę być przy przyjęciu twojej siostry na oddział, może byłoby jej rażniej, ale Majka zapewni jej odpowiednią opiekę.

– Tu nie chodzi tylko o opiekę... – westchnęła Klara.

– Wiem, wiem. Ale gdy się wybudzi po operacji, to już zadbam o jej dobre samopoczucie. Obiecuję.

– To najważniejsze – stwierdził Michael.

– Załatw, co masz załatwić i wracaj szybko – dodała jego żona.

- Przywieźć wam coś?
- Pierniki! – wykrzyknęła Klara.
- Pierników w Toruniu pod dostatkiem.
- Co ty, nie zaprzataj sobie tym głowy. Po prostu wracaj szybko do nas.

Szpital czekał na Balbinę, wszystko było przygotowane. Majka obiecała, że będzie się nią opiekować. Klara pod tym względem bardziej ufała Sebastianowi, ale rozumiała, że miał swoje plany.

W końcu Balbina przyjechała. Niemiecki znała słabo, więc przydała się jej na miejscu każda pomoc. Na szczęście żona jej lekarza prowadzącego była Polką, więc znał kilka podstawowych słów, co bardzo rozluźniło atmosferę.

Operacja przebiegła bez komplikacji. Wycięto prawą pierś i węzły chłonne, ale tego należało się spodziewać. Oczywiście trzeba było chwilę poczekać na wyniki histopatologiczne. Liczyli się również z tym, że Balbinę czeka kilka cykli chemii, ale wiedzieli, że rokowania były dobre.

Sebastian monitorował wszystko z Polski. Wiedział, kiedy Balbinę przyjęto na oddział, nawet zasugerował, by miała na początku osobną salę. Udało się. Był w stałym kontakcie z lekarzem, a potem przekazywał wszystko Klarze. Oczywiście ufał swojej żonie, ale chciał mieć wszystko pod kontrolą.

Kiedy tylko wrócił do pracy, pierwsze kroki skierował do pokoju Balbiny. Spała. Poprawił jej kroplówkę, założył skarpety, które musiały się w nocy zsunąć, i zmierzył temperaturę. Wtedy Balbina się poruszyła. Z trudem. Chyba ją bolało. Zerknął do karty. Faktycznie, środki przeciwbólowe mogły już przestać działać. Podpiął nową kroplówkę.

Kobieta otworzyła oczy, próbując się podnieść na łóżku.

– Pomogę pani wstać.

Chwilę porozmawiali. Balbina wiedziała, że to Sebastian pomógł ją ulokować w tym szpitalu. Była jeszcze słaba, ale z każdym dniem będzie coraz lepiej. Uśmiechnęła się do niego. Zauważył, że miała oczy koloru nieba. Dokładnie takiego, jakie obserwował ze swojego toruńskiego okna, gdy budził się rano. Były to najbardziej błękitne oczy, jakie w ogóle widział w życiu. Wtedy ta myśl go nie zaniepokoiła. Jednak potem niepokoiła go coraz bardziej z każdym dniem...

Przychodził do niej codziennie. Każdego wieczoru zaczynał i kończył swój obchód od jej sali. Była bibliotekarką, mogli więc godzinami rozmawiać o literaturze. I nawet raz się pokłócili, gdyż on bardzo cenił Witkiewicza, a ona zupełnie nie.

– On by nic nie napisał ani nie namalował, gdyby nie prochy – przekonywała Balbina. – Bez przerwy coś ćpał albo pił. Na dodatek zupełnie tego nie ukrywał, a wręcz się tym chełpił!

– Artyści to wrażliwi ludzie. Jedni jadą na coli zero, a inni potrzebują coś mocniejszego.

– Mocniejszego? – prychnęła Balbina, spoglądając na kroplówkę. – Jak ty mi będziesz wciąż dokładał, to ja też za chwilę coś stworzę.

– Na to liczę. Ale myślę, że mogłabyś to zrobić bez tych wspomagaczy.

– No widzisz! Jednak da się bez? A Witkacy bez nie umiał.

– Umiał, tylko...

– Nie dogadamy się w tej sprawie – przerwała mu ze śmiechem Balbina.

– Jak to wygląda? – zapytała, gdy pierwszy raz zmieniał jej opatrunek. – Bardzo brzydko?

– Pięknie się goi – powiedział, delikatnie oczyszczając ranę. – Doktor Hoffman jest specjalistą w tym, co robi.

– Nie pytam, jak się goi... Pytam, jak to wygląda. Okropnie, prawda?

– Nigdy nie powiedziałbym tak pacjentowi.

– Nawet gdyby taka była prawda? – zapytała Balbina.

– To, czy coś jest okropne, jest wyłącznie kwestią jakichś indywidualnych przekonań. Kwestią gustu? Pracuję długo w swoim zawodzie. Widziałem różnych ludzi. Czasem bardzo biednych, zaniedbanych, czasem bardzo bogatych. Każdy przychodzi tutaj, na onkologię, z jakimś problemem. Pacjenci mają czasem zmiany skórne, które trzeba wyciąć, guzy, narośle... Wszystkimi trzeba się zająć tak samo. I nigdy nikomu nie można powiedzieć, że jest okropny. Jeżeli lekarz, pielęgniarz czy ktokolwiek z personelu pracującego w klinice powiedziałby tak do pacjenta, od razu powinien zmienić robotę. I co najwyżej pracować samotnie gdzieś w laboratorium medycznym w głębokiej piwnicy. Albo pisać czysto

teoretyczne treści do nudnych periodyków branżowych, których dobrzy specjaliści i tak nie czytają. One służą tylko temu, by ktoś gromadził sobie punkty do kolejnych tytułów naukowych...

– Nie krzywisz się na mój widok – stwierdziła Balbina, patrząc na niego tymi swoimi obłądnie błękitnymi oczami.

– Nawet cię pogłaszczę. – Uśmiechnął się i delikatnie dotknął jej ramienia. – Nie boli?

– Nie. – W jej oczach pojawiły się łzy. – Możesz następnym razem przynieść lustro?

– Mogę już teraz. – Sebastian wstał i poszedł do łazienki. – Spróbuję zdjąć je ze ściany.

Po chwili wrócił.

– Gotowa?

Balbina pokiwała głową. Odwrócił lustro w jej stronę, by mogła zobaczyć swoje odbicie. W jej mniemaniu niedoskonałe. Patrzyła na siebie chwilę, po czym pokręciła głową. Gestem pokazała, że już skończyła. Sebastian oparł lustro o ścianę. Nie patrzyła w jego stronę. W błękitnych oczach miała łzy, które po chwili otarł chusteczką. Założył rękawiczki i jeszcze raz zdezynfekował ranę, po czym ją opatrzył. Zapiął Balbinie guziki piżamy.

Tamtej nocy siedział przy jej łóżku kilka godzin. Czekał, aż zaśnie, a potem zamiast iść do swojej dyżurki, czuwał przy niej. Gdy się nerwowo poruszała, głaskał ją delikatnie. Uspokajała się momentalnie. Najwyraźniej był jej potrzebny.

17. Gabrysia

W najstarszym fińskim mieście, Turku, nazywanym miastem Świąt Bożego Narodzenia, w wigilijne południe odczytywana jest Deklaracja Bożonarodzeniowego Pokoju. Rytuał ten, kultywowany niemal nieprzerwanie od XIV wieku, rozpoczyna oficjalnie święta w Finlandii – Boże Narodzenie i dwadzieścia dni pokoju. Uroczystość transmitowana jest na żywo przez stacje radiowe i telewizyjne w całym kraju. Aktualny tekst to życzenia świąt wolnych od wszelkiego hałasu i awantur.

Później

– Dzień dobry, panie Kazimierzu. – Na pocztę wparowała Gabrysia. – Nie wiem, czy pan woli „Kazik” czy „Kazimierz”. Ale już wiem, że pan umie mówić, więc mógłby mi pan odpowiedzieć, ale niespecjalnie na to liczę.

Gabrysia zdjęła czapkę i szalik.

– Trochę cieplej tu u pana. O! Kaloryfer pan postawił.

Spojrzała na elektryczny grzejnik, ustawiony tuż obok krzeselka, na którym ostatnio siedziała.

– O matko! Pamiętał pan! – Uśmiechnęła się, głaszcząc miękką patchworkową poduszkę. – Ależ pan jest przemiły! Prze-mi-ły – powtórzyła. – Podejrzewam, że nikt panu jeszcze tego nie powiedział, zatem jestem pierwsza. Fajnie być w czymś pierwszą. Pan natomiast jest pierwszy w niemówieniu. Normalnie medal ode mnie pan kiedyś dostanie. Ale mi to dzisiaj nie przeszkadza, bo dzisiaj to ja przyszedłam sobie pogadać. Wszyscy mówię, że ja za dużo gadam i nie daję nikomu dojść do słowa. To sobie pomyślałam, że muszę znaleźć sobie takiego rozmówcę, który wcale nie potrzebuje mówić. Kuma pan, prawda? Czyli każdy z nas będzie robił to, co lubi najbardziej. Ja będę mówiła, a pan w odpowiedzi będzie po prostu milczał. Od początku czułam, że się dogadamy.

Gabrysia usadowiła się wygodnie.

– A ta druga poduszka dla kogo? – zainteresowała się. – Oczywiście mi tego, Kaziku, nie powiesz, ale cóż, i ty, i ja musimy jakoś z tym żyć.

Wracając do grzejnika... Obawiam się, że zapłacisz fortunę za to ogrzewanie. Tak powiedziała Halinka, gdy Balbina przyniosła grzejnik do biblioteki. Wtedy Malwina powiedziała, że biblioteka jest instytucją państwową, więc państwo za to zapłaci. Kiedy wróciłam do domu, to zapytałam mamę, jakie państwo, a mama mówi, że nie jakie, a jacy. Na przykład za dodatkowy grzejnik w bibliotece zapłacą państwo Ratajczykowie, czyli, Kaziku, my. Mama i ja. I Adrian, chociaż on nie jest Ratajczyk. No ja najmniej, bo jeszcze nie pracuję. Na początku nic z tego państwa nie rozumiałam, a potem mama zaczęła mi tłumaczyć, na czym polegają podatki. To jest bardzo trudne! Wyobrażasz sobie, że my, w sensie dorośli, za wszystko płacą? Za wszystko! Nawet za oddychanie płacą!

Kazik spojrział na dziewczynkę.

– Mam cię! – Gabi aż podskoczyła. – Też cię to zaintrygowało. Wyobraź sobie, że jeżeli jedziesz na przykład sobie pooddychać do takiego Sopotu, to musisz zapłacić za oddychanie nawet pięć czterdzieści za dzień. To się nazywa opłata klimatyczna. Jest doliczana do ceny hotelu czy pensjonatu. I w sumie najgorsze jest to, że nieważne, czy tam będziesz oddychał, czy nie. Płacisz za samą możliwość oddychania! Ja już nawet myślałam, że można by tak stać na granicy Gdańska i Sopotu i oddychać tam, gdzie jest taniej, ale to tak nie działa. Wiesz, niby to nie jest tak drogo, bo wdechów i wydechów dziennie mamy jakieś dwadzieścia tysięcy, ale jednak zawsze człowiek się zastanowi, jak ma za coś płacić. Więc ty też się zastanów, Kaziku, nad tym kaloryferkiem, bo ciepło ciepłem, ale wiesz, te podatki mogą zrujnować naszą kieszeń. Twoją zresztą też, bo przecież ty też je płacisz. Zawsze można dodatkowy sweter założyć. Malwinka ci zrobi z przyjemnością, jak będziesz potrzebował. Bo ona to bardzo lubi. Chociaż ona teraz chyba nie może, bo pan Anatol będzie zazdrosny. Musiałaby ci Balbinka zrobić. Ale to musiałbyś się pospieszyć, bo ona chyba ma absztyfikanta! Bardzo podoba mi się to słowo! To znaczy chłopak. Albo ktoś, kto chciałby się tym chłopakiem stać. No i Balbinka z jednym takim gada, nawet chciała sobie zmarszczki usunąć w jednej takiej aplikacji, ale jej odradziłam. Całe szczęście.

Gabrysia wstała i w podskokach obesła pomieszczenie.

– Ktoś do ciebie w ogóle przychodzi? Ja mam wrażenie, że ty tutaj sobie tylko siedzisz i siedzisz. I coś czytasz. Wygląda na to, że z pań bibliotekarek to do wzięcia została już tylko Halinka. – Gabrysia się skrzywiła. – No nie mówię, że Halinka jest niesympatyczna, ale... moja mama określa to, że jest

trudna. Podobno się wkurzyła na jednego faceta, że w restauracji u pani Jadzi usiadł na jej miejscu. One co piątek się spotykają o tej samej porze i Halinka zawsze zamawia ciastko z kremem. I podobno ten facet je zjadł. No ale skąd miał wiedzieć, że to ciastko czekało na Halinkę? Ja jej mówiłam, że następnym razem ma przyjść rano do pani Jadzi, na nie napluć i podpisać, że napłuła. Albo nawet nie pluć, tylko po prostu je tak podpisać. Ja chyba bym nie kupiła ciastka oplutego przez panią Halinkę. – Gabrysia przez chwilę się zastanawiała. – Zresztą wolałabym w ogóle nie kupować oplutego.

Za oknem nagle rozległ się gwar. Dziewczynka wstała i zobaczyła, że po drugiej stronie ulicy idą Jeaninne i Pierre, przekrzykując się. Tak wrzeszczeli, że nawet pan Kazimierz to usłyszał i podniósł lewą brew.

– Oni tak zawsze. Mama twierdzi, że oni mówią brzydkie słowa, ale po francusku, więc ja ich nie rozumiem. I całe szczęście. Tak twierdzi mama. Ja nie znam francuskiego, ale będę się uczyć. Mój tata był Francuzem, ale teraz jest drzewem. Tym, które rośnie w naszym ogródku. Może widziałeś, to takie zawsze przystrojone. Pięknie wygląda, gdy spadnie śnieg! O właśnie, niedługo Boże Narodzenie, a ja w dalszym ciągu nie przyniosłam ci ozdób świątecznych! A wracając do Jeaninne i Pierre’a... To są nasi goście. Przyjechali, bo mama trochę gorzej się czuła i Jeaninne stwierdziła, że trzeba jej pomóc. No i trochę jej pomaga, ale też trochę przeszkadza. I mama sama już nie wie, co by chciała... Nie chce ich wyganiać, ale potrzebuje teraz trochę spokoju.

Gabrysia wstała, wyrównała zeszyty stojące na półkach, poukładała alfabetycznie książki przeznaczone do sprzedaży, po czym stanęła naprzeciwko Kazika i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Bo moja mama będzie miała drugie dziecko – westchnęła. – I ja przysłam tutaj porozmawiać właśnie o tym.

Mężczyzna spojrzał uważnie na Gabrysię.

– To znaczy, że ja będę miała brata. Oczywiście nie wiemy jeszcze, czy to brat, czy siostra, ale mama mówi, że to będzie chłopak. A ona takie rzeczy po prostu wie. I czuje... I ja myślę o tym prawie cały czas. Bo zupełnie nie wiem, jak to jest mieć brata. Cały czas byłam tylko ja i mama, a teraz się pojawi ktoś jeszcze. I z jednej strony się cieszę, a z drugiej się boję. Nie mam o tym z kim porozmawiać. Z Tomkiem nie mogę, bo to nie jest rozmowa na telefon. Próbowałam z Balbiną czy Haliną, ale one, jeszcze zanim ja zacznę cokolwiek mówić, krzyczą i piszczą, jakże to ja powinnam

się cieszyć. A ja nie wiem, czy powinnam się cieszyć, czy nie. I dlatego przyszedłam do pana, bo wiem, że pan mi nie przerwie, zanim wszystkiego nie opowiem. Może w ogóle się pan nie odezwie, ale ja się przynajmniej wygada.

Gabrysia usiadła na krzeselku i ukryła twarz w dłoniach.

– Najbardziej boimy się nieznanego. – Usłyszała nagle. – Jak już to oswoimy, to jest lepiej.

Gabrysia wstała i spojrzała na pana Kazimierza.

– Ma pan rację – powiedziała z podziwem. – Może pan wiele nie mówi, ale jak już pan powie cokolwiek! To dopiero!

Po chwili popatrzyła na niego raz jeszcze, jakby nie mogła uwierzyć, że wypowiedział jakiegokolwiek słowa. Oczywiście wyglądał jak zawsze, jakby jej się przesłyszało.

– Niech pan ma lepiej ciepło. W razie czego mama przynajmniej będzie wiedziała, na co idą te podatki. I zawsze wtedy będzie jej lepiej. A Malwina pewnie i tak panu sweter zrobi, bo to bardzo lubi. Do widzenia.

Mężczyzna, oczywiście, nic nie odpowiedział.

18. Laura

W Norwegii każda dobra pani domu powinna upiec siedem ciast. Oprócz tego na norweskim świątecznym stole powinny się znaleźć wieprzowe i owcze żeberka, ryba z bekonem oraz gløgg, napój doprawiony korzennymi przyprawami i bakaliami. Siedem ciast? Podejmijmy to wyzwanie!

Laura chciałyby móc powiedzieć, że wszystko wracało do normy, jednak było tak w jednym procencie jej życia. Albo nawet w promilu. Czują się okropnie. O ile w pierwszej ciąży Gabrysia nie dała jej popalić, o tyle teraz mdłości uniemożliwiały jej wręcz codzienne funkcjonowanie. A tym bardziej pracę. Każdy zapach powodował torsje i wykluczał ją z życia na kolejne godziny.

Dobrze, że Jeaninne przyjechała, przynajmniej przejęła jej wszystkie zawodowe obowiązki. Zarówno Laura, jak i Adrian kochali gości, ale też lubili побыć czasem sami. Niby w domu było całkiem sporo miejsca, a jednak trochę ciasno im było w piątkę. Laura z rozrzewnieniem wspominała teraz wieczory we dwoje albo we troje, ich spokojne rodzinne rozmowy przy śniadaniu. Przede wszystkim tęskniła jednak za ciszą, której przy parze wiecznie się kłócących przyjaciół było jak na lekarstwo.

– Mam wyrzuty sumienia, bo w ogóle myślę, że nam jest ciasno – powiedziała Laura do męża któregoś dnia. – Przecież ludzie mieszkają w dużo mniejszych mieszkaniach i doskonale funkcjonują. Ale ja chyba teraz najbardziej potrzebuję ciszy... A tak w ogóle to wydaje mi się, że człowiek się składa niemalże z samych wyrzutów sumienia.

– Nie myśl tak. Każdy z nas jest inny i nie powinniśmy zagłuszać swoich pragnień czy odczuć.

– Po prostu czuję się jak niewdzięcznica. Oni chcą nam pomóc, a my się zastanawiamy, jak się ich pozbyć z domu...

– To tak jak z teściową. Fajnie, jak jest, ale najlepiej daleko od nas. – Roześmiał się. – A mnie z tą moją niby-teściową trudno się dogadać, bo mój francuski jest raczej książkowy, a jej... hm... trochę inny.

– Czy sugerujesz, że ty mówisz językiem Balzaca, a ona ma rysztockowe słownictwo? – Laura zaczęła się śmiać.

– Ty to powiedziałaś.

– Ale coś w tym chyba jednak jest. Cieszę się, że moja nauka francuskiego zatrzymała się na etapie czytanek z podręcznika.

– Ja trochę słuchałem francuskiego rapu, więc chyba rozumiem nieco więcej niż ty. W tego typu muzyce można poznać... język ulicy. Mówiąc wprost, całą masę przekleństw.

– Teraz jak znalazł, bo nasi goście nie przebierają w słowach.

– A wracając do tematu... Może w sąsiednim miasteczku jest jakiś pensjonat, hotel albo pokój do wynajęcia? – zapytał po chwili Adrian. – Musi być przecież jakieś wyjście z sytuacji.

– Tak, z pewnością jest. Nie jestem jednak pewna, czy jest nim wyprawdzka. Wtedy ktoś musiałby ich wozić w tę i we w tę, a to pewnie byłby dla nas jeszcze większy problem – westchnęła Laura.

– Co ty, nasz francuski arystokrata zaraz by zatrudnił szofera.

– O ile by go znalazł w okolicy. Wiesz, że taksówki u nas nie jeżdżą, nie mówiąc o jakimś uberze.

– Dla naszego milionera tylko szofer z limuzyną.

– Koniecznie w meloniku.

– Byle bez rewolweru.

– Tak. To chyba by się Pierre'owi nie spodobało. Jemu chyba się coś innego podoba. A raczej ktoś...

– Janek? – zapytał Adrian, który jak każdy w Małej Przytulnej się czegoś domyślał.

Laura w odpowiedzi pokiwała głową.

– Niemożliwe! Jeszcze tylko trzeba kogoś znaleźć dla Jeaninne i Halinki i nasze miasteczko będzie musiało zmienić nazwę z Małej Przytulnej na Ogromną Miłosną. A kiedy to w ogóle się stało? Poznali się na naszym ślubie, a potem się jeszcze widzieli? Nic o tym nie wiem!

19. Janek

O zwyczajach świątecznych Katalończyków już było, ale... to nie koniec! El Caganer z kolei to figurka przedstawiająca sławne osoby – piłkarzy, polityków, celebrytów – ze spuszczoneymi spodniami, w trakcie załatwiania... potrzeb fizjologicznych. Stawia się ją w katalońskiej szopce. Zobrazowane w ten sposób osoby nie obrażają się, wręcz traktują to jako komplement.

Janek właściwie był zadowolony ze swojego życia. Mieszkał w Małej Przytulnej od urodzenia i uważał się za szczęśliwca. Czytał gdzieś, że nieliczni doświadczają prawdziwej miłości, a on doświadczył, zatem czasami czuł się, jakby wygrał na loterii.

Oczywiście miłość była najprawdziwsza na świecie, aczkolwiek nieszczęśliwa i od samego początku skazana na niepowodzenie, ale była! I nikt mu nie był w stanie zabrać tych wspomnień. Delektował się nimi niemalże tak, jak Halinka co piątek ciastkiem z kremem w restauracji Jadwigi.

Jan żył sobie powolutku, nigdzie się nie spieszył. Miał swoje mieszkanie, w którym zawsze panował porządek. Nikt do niego nie przychodził, a i on sam wolał wychodzić, niż siedzieć w domu, więc nie było zbyt wielu nawet komu tam bałaganić.

Miał też swoje wypracowane przez lata rytuały. Wstawał codziennie punktualnie o dziewiątej, brał prysznic, zawsze kończąc zimną wodą, robił sobie przepyszne śniadanko (w dni parzyste omlet, a w nieparzyste jajecznicę, czasem grzeszył naleśnikami z konfiturą malinową, ale tylko wtedy, kiedy jego ulubiony lekarz uznał, że cukier ma w normie). Następnie prasował świeżą koszulę, zakładał spodnie wyprasowane na taki kant, że można by nim ciąć papier. Pastował dokładnie buty, cesał swoją niegdyś bujną, a teraz coraz mniej obfitą czuprynę i szedł w stronę parku, by pograć na harmonijce albo na skrzypcach.

Regularnie, co tydzień wieczorem, zjawiał się u doktora Maryńskiego. Potrzebował zapewnienia od specjalisty, że jeszcze trochę pożyje. Był

zwykle ostatnim pacjentem, którego lekarz przyjmował, więc pan doktor poświęcał mu naprawdę dużo czasu.

Sam Maryński całkiem nieźle się trzymał. Już dawno powinien być przecież na emeryturze, a wciąż leczył. I naprawdę bez większego problemu wchodził na to trzecie piętro do swojego gabinetu.

Jan traktował te wizyty jako rozmowy o życiu. Nie uważał, podobnie jak połowa miasteczka, by doktor Paweł był mrukiem. Uznawał to za pomówienie. Po prostu pan doktor nie lubił bajdurzyć o nieistotnych sprawach. Był konkretny do bólu, a leczenie ludzi czasem po prostu wymagało skupienia, zatem milczenia i wyłącznie konkretów. Z Janem natomiast rozmawiał na różne tematy. Już dawno uznał, że jego stały pacjent w kwestiach zdrowotnych pomocy nie potrzebuje, śmiało mogli się więc skupić na innych kwestiach. A pan doktor Maryński również kochał muzykę...

Kiedy Jan grał na którymś ze swoich licznych instrumentów, czas mijał mu szybko. Nie czuł chłodu, nie czuł skwaru, nie zwracał uwagi, że padał deszcz i krople spadały mu na nos. Po prostu płynął na fali pięciolinii i czerpał z tego ogromną przyjemność. To, co umiał, płynęło wprost z jego serca.

Kiedy miał czternaście lat, jego talent objawił się przez zupełny przypadek. Janek tuż przed sumą zakradł się na kościelny chór, gdzie stały zabytkowe organy, i po prostu zaczął grać. Ówczesny organista mu nie przerwał. Nie mówiąc nic nikomu, a w szczególności proboszczowi, całą mszę stał z boku i tylko się z zachwytem przysłuchiwał. A potem nauczył uzdolnionego chłopaka wszystkiego, co sam umiał.

– Jesteś już lepszy ode mnie – stwierdził któregoś dnia. – Wskazałem ci drogę, teraz musisz iść dalej sam. W muzyce jesteś dobry tylko wtedy, gdy przekazujesz w niej samego siebie. Życzę ci, byś jak najszybciej to osiągnął. Dużo słuchaj, przeróżnej muzyki, nie ograniczaj się, czytaj nuty, próbuj, improwizuj i... znajdź siebie. A potem się sobą dziel, uszczęśliwiaj innych, bo masz do tego ogromny dar!

Jan szedł więc dalej muzyczną drogą. Nie uczył się w żadnej szkole muzycznej, bo nawet mu to do głowy nie przyszło. Nie śmiałyby poprosić o to rodziców. To były zdecydowanie inne czasy. Jego bliscy wyjeżdżali, by

się kształcić, jak być szewcem, budowlanicem czy krawcem, ale muzykiem? Ten zawód był taki niedorzeczny...

Jan od zawsze był zbyt delikatny. Nie bawił się z chłopakami w wojnę, nie bił się z nimi, nie budował szałasów w lesie i nie uganiał się za dziewczętami, chociaż się z nimi przyjaźnił... A potem w jego życiu pojawił się Heniek. Zupełnie znienacka. I wtedy wszystko stało się zrozumiałe. Miłość ich po prostu odurzyła, bez względu na okoliczności. Niestety potem Heniek zaginął bezpowrotnie, a Janek latami rozpaczał, najpierw sam, potem razem z Halinką. Kochali go oboje, więc połączyli siły, by go znaleźć, a potem połączyli swoje złamane serca, bo we dwoje zawsze raźniej.

Gdyby nie muzyka, Janek by sobie nie poradził. Nie poradziłby sobie z samotnością, z życiem. To muzyka była jego miłością. Była wierna i wiedział, że zostanie z nim na zawsze. Z czasem dzięki niej zyskał spokój ducha i naprawdę nie oczekiwał teraz niczego od życia. Był szczęśliwy, bo dostał wszystko, co było mu potrzebne.

Bardzo często zdarza się jednak tak, że jeżeli przestajemy oczekiwać czegokolwiek, to los przewrotnie obsypuje nas samymi dobrami. Tak też było z Jankiem. Musiał na to czekać wiele lat, ale – jak się miało okazać – było warto.

Na początku nie zauważył, że kiedy gra przy bramie parku, ktoś mu się codziennie przypatruje, stojąc ukryty za drzewem. Dopiero wieczorem, gdy już kończył swoją pracę i zbierał się do domu, zauważał, że w jego kapeluszu było więcej pieniędzy niż zazwyczaj. Nie miał pojęcia, jak się to działo, bo wydawało mu się, że obok niego przechodziło tyle osób, co zwykle. Na dodatek obdarowano go zagraniczną walutą. Nie miał pojęcia, co zrobić z tymi euro. Dużo tego było, banknoty po pięćdziesiąt, a nawet po sto! Tutaj, w Małej Przytulnej, były one zupełnie nieprzydatne. Obiecał sobie, że poprosi Tomka, by je w Gdańsku wymienił na „normalne” pieniądze, bo w okolicy nie było takiej możliwości. To tak jakby nie mieć jedzenia, a mieszkać w zamku ze złota...

I wreszcie go kiedyś zobaczył! Mężczyznę w jego wieku, w doskonałej formie (pewnie na trzecie piętro doktora Maryńskiego wbiegałby szybciej niż on), w dość ekstrawaganckim garniturze w kratę. Był może jego wzrostu, szczupły, ale raczej umięśniony. Na nosie miał okrągłe okulary w drucianych

oprawkach. Długie siwe włosy zaczesane były w nieskazitelną kitkę z tyłu głowy.

Widział go już kiedyś. Wiedział, że przyjechał do miasteczka. Pamiętał go bardzo dobrze, bo nawet próbowali rozmawiać ze sobą na ślubie Laury. Obaj ledwo dukali po niemiecku, ale w połączeniu z językiem gestów wystarczyło, by miło spędzić wieczór. Bardzo miło...

Teraz znów stał przed nim ten Francuz, arystokrata i milioner, przyjaciel Laury. To pewnie on wrzucał mu do kapelusza zwitki banknotów i garści monet... Nie zauważył go wtedy. Całe szczęście, że teraz go dostrzegł. Stało się to w pewien piękny listopadowy dzień. Padał już śnieg i Janek miał się zbierać do domu, aż nagle usłyszał brzdęk monet spadających do jego kapelusza. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie tego mężczyzny. Już chciał przestać grać, ale ten zjawiskowy mężczyzna pokręcił głową i położył palec na ustach. Zaczął poruszać rękami, jakby dyrygował. Jan ze zrozumieniem pokiwał głową i grał dalej. I grał...

Zapadł już zmrok, kiedy Jan nadal przesuwiał smyczkiem po strunach skrzypiec. Udało mu się odłożyć trochę pieniędzy na renowację starego instrumentu i właśnie go odebrał po naprawie. Z oczu mężczyzny płynęły łzy, tak bardzo wzruszała go muzyka.

– Pierre... – wyszeptał Jan, uśmiechnął się do swojego jedyne go widza i podał mu rękę na przywitanie.

Mężczyzna skinął głową i odwzajemnił uścisk.

– Jan. Pamiętam – powiedział po niemiecku. – Restauracja? – Wskazał bar Jadzi.

Jan skinął głową. Żadne słowa nie były tu potrzebne.

Pani Jadzia zamykała już swój bar. Po zmroku zwykle nikt do niej nie przychodził, aczkolwiek miała przeczucie, że wkrótce może się coś zmienić. Na razie wszyscy mieszkańcy Małej Przytulnej preferowali domowe pielesze. Kiedy zamiatała restaurację, próbując usunąć zewsząd niewidoczne pyłki, nagle otworzyły się drzwi.

– Dobry wieczór – przywitał się Jan, który wszedł jako pierwszy.

– *Bonne soirée* – szepnął elegancki mężczyzna podążający za Janem.

– Dobry wieczór – odpowiedziała Jadwiga. – Zamknij... – zaczęła, ale zobaczyła błagalne spojrzenie Jana. On przecież nigdy nikogo o nic nie

prosił! Sytuacja zatem musiała być naprawdę wyjątkowa. – Mam zupę. Ale żadnych żab i ślimaków. – dodała szybko. – Ani innych dziwnych insektów. Wszystkie wytępione.

– Nie żaba, nie żaba – powiedział po polsku, aczkolwiek z wyraźnym francuskim akcentem Pierre.

– On rozumie po naszymu! – wykrzyknęła zszokowana Jadwiga.

– Nie ro-zu-mi po polsku. Tylko żaba ro-zu-mi. I ślimaki rozumi.

– Zupa. – Jadwiga spojrzała na niego pytająco. – Zupa po-mi-do-ro-wa. Może być?

Pierre oczywiście nic nie zrozumiał, mimo iż Jadwiga bardzo się starała wytłumaczyć, o co jej chodzi, mówiąc wolno, sylabizując i powtarzając po trzy razy. Jan w końcu powiedział, że może być, złapał Pierre'a za rękę i zaprowadził do stolika, który dziwnym trafem ostatnio stał się ulubionym stolikiem wszystkich w miasteczku. Ten w kącie sali.

Jadwiga zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie powinna zmniejszyć sali barowej na rzecz jakiegoś przytulniejszego wnętrza. Najlepiej by wszystkie stoły stały w rogu. Marzyły jej się kanapy, drinki podawane z palemką i muzyka fortepianowa. Spojrzała jeszcze raz na Jana. Uśmiechnęła się, bo dostrzegła w nim kogoś, kto mógłby grać na tym wymarzonym fortepianie, który jeszcze nie stał w restauracji, a był zaledwie mglistym marzeniem. Wirtuoz – miała go przecież na wyciągnięcie ręki. Coraz więcej osób pytało nie o jedzenie, a właśnie o jakieś ładne miejsce do posiedzenia wieczorami. Czyżby jednak coś się zmieniło? I ludzie nagle przestali kochać swoje domy?

Sala restauracyjna była całkiem spora. Ogromne dębowe drzwi, na co dzień zamknięte, prowadziły do drugiego, dotąd nieużywanego pomieszczenia. Może właśnie tam mogłaby zrobić jakiś klub? Tylko kto tym wszystkim by się zajmował? Przecież ona nie dałaby rady. I skąd wziąć na to pieniądze?

Tak się zamyśliła, że nie zauważyła, gdy do lady podszedł Pierre. Wiedziała, że tak się nazywa, bo przecież wiedziała o wszystkim, co się działo w Małej Przytulnej. Nic się przed nią nie mogło ukryć, a obcokrajowcy, w dodatku tak ekscentryczni, gościli w tych okolicach dosyć rzadko.

– *Whisky?* – zapytał z nadzieją. – *Cigarettes? Piano Bar?*

– Yyy... – zaczęła mało inteligentnie Jadwiga. – Nie mam alkoholu ani papierosów. Piano bar też nie. – Pokręciła głową. – Cymbałki mam...

Po synu... – Zaczerwieniła się. – On pewnie umie grać na cymbałkach – dodała, wskazując na Janka.

– Cymba...? – zaczął Pierre i bezradnie spojrział na swojego kompana.

– Nie, nie. – Podszedł, złapał za ramię Francuza i zaprowadził go do stolika. – Nalej nam zupy, Jadwigo. Zmarzliśmy i z przyjemnością zjemy coś ciepłego.

Pałaszowali ze smakiem. Jadwiga myślała, że zjedzą i sobie pójdą, ale oni siedzieli i siedzieli. Zamówili herbatę, potem sok, słone paluszki i wciąż siedzieli i rozmawiali. Próbowwała coś podsłuchać, ale mówili w tak różnych językach, że w końcu dała sobie spokój.

– Janek, ja ci zostawię klucze – zdecydowała w końcu, nie mogąc powstrzymać ziewania. – Idę już spać. Jak będziecie wychodzić, włóż je po prostu do skrzynki na listy.

– Ale my już możemy iść... – powiedział cicho.

Znała go od lat i wiedziała, że bardzo nie chce przerywać sobie tak udanego wieczoru, machnęła więc ręką.

– Siedźcie. Dobranoc.

20. Gabrysia

A teraz prezenty! W Hiszpanii nie ma prezentów pod choinką, a dzieci dostają upominki od Trzech Króli 6 stycznia. Podobnie we Włoszech – podarki przynosi tego samego dnia wiedźma Befana.

W Rosji Dziadek Mróz wraz ze Śnieżynką odwiedzają grzeczne dzieci (i grzecznych dorosłych) 1 stycznia. W Skandynawii Mikołaja zastępuje świąteczny krasnal – w Szwecji to Jultomten, a w Norwegii Julenisse. Podarki przynosił tam dawniej koziołek Julebuk, który symbolizuje kozły ciągnące rydwan Thora, jednak został obecnie pozbawiony zajęcia przez pracowite skrzaty. Do tej pory jednak koziołki ozdabiają skandynawskie choinki i wiążą się nieodłącznie z Bożym Narodzeniem.

- Dziewczyno, ty się wykończysz! – grzmiała Halina, patrząc na Laurę.
- Jest dobrze, Halinko – westchnęła. – Tylko jakby przestrzeni trochę za mało.
- A może Janek jeden pokój Pierre’owi by wynajął? Mniej by się kłócili, gdyby byli osobno.
- Jak tak dalej pójdzie, to Janek niedługo nic nie będzie musiał wynajmować, bo Pierre sam się do niego wprowadzi – stwierdziła Jadwiga takim tonem, jakby wiedziała więcej od innych. Prawdę mówiąc, trochę tak było.
- Może zadzwonię do Dominiki i zapytam, kiedy planuje wrócić? Może do tego czasu by się tam zatrzymali? – wpadła na pomysł Laura.
- Nie, ona wraca lada chwila.
- I dobrze – mruknęła Halinka. – Nie trzeba będzie do Maryńskiego chodzić.
- Oj tak – zawtórowała jej Malwina.
- Jadwiniu, a masz może bigosik? – zapytała Laura. – Taki mocno kwaśny bym chciała.
- Bigosik? – jęknęła Jadwina. – Wczoraj chciałaś blok czekoladowy i muffinki.

– No tak, ale... to było wczoraj.

– Wracając do Jeaninne i Pierre'a... – zaczęła Balbina.

– Ja w ogóle was, dorosłych, nie rozumiem. – Gabrysia od pewnego czasu przysłuchiwała się rozmowie. – Halo, ja do was mówię!

Próbowała się przebić, aczkolwiek zupełnie bezskutecznie. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Skakała, machała, wpatrywała się po kolei wszystkim w oczy i nic.

W restauracji U Jadzi panował harmider. Przy stoliku, tym razem tym najbliższym okna, siedziały Laura, Halina, Balbina i Malwina. Jadwiga się denerwowała, bo zupełnie nie była na to przygotowana. Czy oni nie mogliby uprzedzić, kiedy przyjdą? I najlepiej od razu powiedzieć, co będą jedli? Bo tak Halinka znowu się obrazi, że dostała takie ciastko, a nie inne. A Laura to już w ogóle. Odkąd była w ciąży, miała tak wybujałą fantazję kulinarną, że Jadwiga na samą myśl dostawała palpitanie serca. A było to niebezpieczne, bo Dominika wciąż nie wróciła, więc jakiegokolwiek zmiany rytmu zatokowego nie były wskazane. A Laura jak nie muffinka, to serniczek, jak nie bigos, to kurczak w sosie cytrynowym. No można zwariować!

– Ja w ogóle was, dorosłych, nie rozumiem... – powtórzyła Gabrysia nieco głośniej.

Jednak wszyscy nadal byli zajęci burzliwą dyskusją, bo wprost od bigosu czy muffinek wrócili do tematu najważniejszego, aczkolwiek najbardziej skomplikowanego, bo dotyczącego ulokowania gdzieś Pierre'a i Jeaninne. Rozważano różne opcje, ale żadna z nich nie była odpowiednia. Halinka chciała nawet wpakować Jeaninne do Balbinki, na co Balbinka się oburzała. Krótko mówiąc, wszyscy mieli dość. Gabrysia zatem, nie widząc innego wyjścia, weszła na stół i zawołała:

– Halo!

– Gabrysiu, zejź z tego stołu – westchnęła Laura. – Co ty, dziecko, wyprawiasz? – Spojrzała jej w oczy.

Miała ochotę nią potrząsnąć, chociaż nigdy tego nie robiła. Ale to był moment, kiedy na krótką chwilę zrozumiała, aczkolwiek wciąż nie pochwałała, potrząsające nerwowo swoimi dziećmi matki.

– Próbuję od dłuższego czasu coś wam powiedzieć, a wy w ogóle nie reagujecie. – Gabi się naburmuszyła. – Dorosli są dziwni, bo reagują tylko w momencie, gdy dzieci stają się niegrzeczne. Jak próbujemy coś załatwić grzecznie, nic z tego nie wychodzi. A potem się dziwicie, że jesteśmy

nieposłuszni. Jaki z tego wniosek? Jesteśmy niegrzeczni, bo musimy! Jak stałam na stole, od razu zwróciłyście na mnie uwagę.

– No dobrze, dziecko! – zaczęła ostro Halina. – To co takiego ważnego chciałaś powiedzieć, że przerwałaś dorosłym rozmowę?

Laura skrzywiła się lekko i już chciała coś powiedzieć, ale stwierdziła, że nie będzie zaogniać sytuacji. I tak było wystarczająco nerwowo.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Gabrysi.

– Bo ja was nie rozumiem... Pierre i Jeaninne mieszkają w jednym pokoju. Mama potrzebuje przestrzeni, a przecież w naszym miasteczku mamy ogromną przestrzeń, gotową do zamieszkania!

Halina i Laura spojrzały na siebie, nic nie rozumiejąc. Gabi przewróciła oczami. Ci dorośli czasami naprawdę byli nieznośni.

– Przecież Tomek ma dom, w którym urzędują tylko myszy i pająki. Pani Jadzia mówi, że ten dom niszczy, bo jest nieogrzewany. Czy Pierre i Jeaninne nie mogliby po prostu tam pomieszkać, by ten dom ogrzać? Przecież sami mówili, że chcieliby wynająć pokój w hotelu, to nie mogliby po prostu wynająć tego domu od Tomka?

– I chodzilibyśmy znowu na golasa do sauny! – wyrwało się radośnie Malwince.

– No wiesz... – Halina udała oburzoną, aczkolwiek propozycja kąpania się nago w strumieniu po gorącej saunie była nad wyraz kusząca.

– Pierre ma pieniądze – podchwyciła pomysł Laura. – Co chwilę mi wciska jakieś euro, niby na utrzymanie...

– Mnie też – przyznała Gabi.

– Gabrielo! Czy ty bierzesz jakieś pieniądze od Pierre'a?

– No tak. Przecież kiedyś mi powiedziałaś, że jak dają, to bierz, a jak biją, to uciekaj. – Wzruszyła ramionami.

– Dziecko, ja do ciebie nie mam siły, ale muszę przyznać, że jesteś mądrzejsza niż my wszyscy razem wzięci. Nie w kwestii brania pieniędzy od Pierre'a oczywiście... – Spojrzała na córkę znacząco. – ...a w kwestii wynajmu domu.

– W kwestii brania pieniędzy również. Dziewczyna jest przedsiębiorcza i... – stwierdziła Halinka, ale została natychmiast zmrożona wzrokiem przez Laurę.

– Gabrielo, tylko zejść już z tego stołu – westchnęła Jadwiga.

Dziewczynka zeskoczyła zgrabnie.

– Buty zdjęłam, żeby nie było tak całkiem niegrzecznie. Ja bym to już dawno wytłumaczyła Jeaninne i Pierre’owi, ale nie znam ani francuskiego, ani angielskiego na tyle, by im to wszystko wyjaśnić. Czekalam, aż Tomek przyjedzie na święta, ale po prostu już was nie mogę słuchać i musiałam coś z wami zrobić.

Laura spojrzała na „dziewczęta”. Wszystkie spuściły wzrok. Reprezentowały takie pokolenie, w którym częściej się powtarzało, że ryby i dzieci głosu nie mają, a nie traktowało się dzieci jako równego partnera w dyskusji. Tym bardziej były ogromnie zawstydzone.

– Dziecko, ja ci dam ciastko – powiedziała Jadzia. – Jakieś ogromne.

– Tylko nie z krem... – Halina zerwała się z miejsca, ale tym razem Jadwiga zmroziła ją wzrokiem. – No dobrze, może być z kremem – westchnęła.

– Ja z galaretką poproszę – odrzekła Gabrysia i usiadła grzecznie przy stole z dorosłymi.

– To rozwiązałoby wszystkie nasze problemy. I Laury, i naszych Francuzów, i moje. – Postawiła przed Gabrysią talerzyk z tartaletką i szklankę z sokiem pomarańczowym. Wytarła ręce w fartuch i usiadła przy stole. – Może chociaż płaciliby na utrzymanie tego domu? Przecież Tomek nie chce jakiegoś dużego czynszu. Ważne, by się ktoś nim po prostu opiekował. To mogą przecież zostać, ile chcą. Laura, kiedy ty rodzisz? Jakoś w kwietniu?

– Tak, mam termin na dwudziestego pierwszego.

– Przecież nie będziesz mogła od razu wrócić do pracy, ktoś do pomocy ci się przyda.

– A mało nas do pomocy? – burknęła Halina. – Musi się naszym dzieckiem opiekować jakaś Francuzka? Nie możemy my?

– A ty książek nie czytasz? – zbeształa ją Malwina. – Przecież się mówi, że francuskie guwernantki są najlepsze. Tak bywało od wieków. A przecież chcemy dla naszego dziecka wszystko, co najlepsze.

– Ona nie jest guwernantką – przytomnie zauważyła Balbina.

– Ale jest Francuzką – upierała się Malwina. – Przynajmniej połowa sukcesu.

– Kochane moje... – przerwała im Laura. – Zapominacie, że to będzie moje dziecko. I to ja mam w tej kwestii najwięcej do powiedzenia.

– I ja! – dodała Gabrysia.

– No nie wiem... – Halina pokręciła głową.

Laura wzniosła oczy ku niebu.

Pomysł Gabrieli był doskonały. Laura wieczorem przedstawiła go swoim przyjaciołom, którzy oczywiście natychmiast zaczęli się kłócić. Francuski Laury nadal nie był na tyle doskonały, by mogła zrozumieć szczegóły tej impulsywnej wymiany zdań, prawdopodobnie Adrian, znający język francuskich raperów, poradziłby sobie z tym lepiej, aczkolwiek z kontekstu wyłapała, że przepychanki słowne dotyczyły tego, które z nich jest większym idiotą, bo nie wpadli wcześniej na taki pomysł, a koło tego domu przechodzili tyle razy i nawet Pierre przez płot prawie że przeskakiwał, by zerwać jakieś zioła przydatne do kompozycji zapachowych, które tworzyła Jeaninne w zastępstwie Laury.

– Przez płot? W tym garniturze? – wymknęło się Laurze. – Przeskakiwał?

– Prawdziwy dżentelmen umie się nosić w każdej sytuacji. – Pierre dumnie wypiął pierś. – Nawet pokonując płot.

– I nie podarłeś spodni?

– Kochana! Ja przez płot umiem przechodzić z gracją!

Laurze trudno było sobie wyobrazić tego podstarzałego francuskiego arystokratę przechodzącego przez płot, niezależnie czy z gracją, czy bez, więc dała sobie z tym spokój. Najważniejsze było to, że po piętnastu minutach burzliwej dyskusji tych dwojga zrozumiała, że oni właśnie wyznają sobie przyjacielską miłość i radują się z tego, że nie będą siedzieć na jej głowie od rana do nocy. I ją bardzo przepraszają, że siedzieli, ale zupełnie nie wiedzieli, jak to ogarnąć, by było inaczej, a nade wszystko chcieli pomóc. Poza tym tutaj klimat im służy zdecydowanie bardziej niż we Francji i oni zamierzają tu zostać naprawdę długo. Być może nawet zamieszkać na zawsze.

– Pierre kategorycznie odmówił spania w przyczepie kempingowej – poinformowała Jeaninne. – A też były takie plany.

– W środku zimy! Zwariowałaś, *Mon Dieu!* – zawołał oburzony Pierre.

Prawdopodobnie gdyby nie szybka interwencja Laury, znowu zaczęliby się kłócić, któż z nich był bardziej nieodpowiedzialny, że w ogóle dopuścił do siebie myśl wynajęcia kampera na początku grudnia.

– No dobra... – wtrąciła Laura. – To sobie wszystko już ustaliliśmy.

– To ile płacimy? – zapytał rzeczowo francuski milioner. – Ja mam pieniądze, tylko tutaj, w tym małym miasteczku, nie ma ich na co wydawać! Ani whisky, ani cygar, ni kasyna, ani burleski! Istna pustynia kulturalna!

Tym razem Pierre wydawał się tak autentycznie zmartwiony brakiem możliwości upłynnienia swojej fortuny w Małej Przytulnej, że Laurze zrobiło się go naprawdę żal. Nigdy nie przypuszczała, że ludzie mogą mieć takie problemy. A jednak...

21. Balbina

Mikołajki zawitały do Polski z Niemiec około 1840 roku. Dzieci z bogatych domów dostawały zabawki, a te z biedniejszych – orzechy, jabłka i słodkie drobiazgi.

Teraz do wielu polskich domów przychodzi Święty Mikołaj, zarówno zostawia drobiazg w bucie czy pod poduszką 6 grudnia, jak i pod choinką w wigilijny wieczór. Kiedyś w Wielkopolsce, na Kujawach, Pałukach, Kaszubach i Pomorzu Zachodnim prezenty przynosił Gwiazdor, w Małopolsce, na Podkarpaciu i na Śląsku Cieszyńskim – Aniołek, na Górnym Śląsku – Dzieciątko, na Dolnym Śląsku oraz na Opolszczyźnie – Gwiazdka, na Płaskowyżu Tarnogrodzkim – krasnoludki, a na Kresach Wschodnich – Dziadek Mróz.

Kiedy Jeaninne i Pierre zastanawiali się, jak będzie wyglądać ich nowe życie, nie biorąc w ogóle pod uwagę tego, iż Tomek może się nie zgodzić na wynajem domu, Balbina oczywiście randkowała „na onlajnach”, jak to zwykła mówić. Randkowała w różny sposób, jednak nie dzwonili do siebie, na razie wyłącznie pisali. Czasem były to maile, czasem pisali na Messengerze, a czasem pisali do siebie na WhatsAppie. Prawdę mówiąc, jeżeli chodzi o oprogramowanie służące do komunikacji, radziła sobie doskonale. Lekcje Gabrysi nie poszły na marne.

Sebastian: Nawet nie wiesz, ile razy próbowałem uzyskać od Klary Twój numer. Była nieugięta. Michael też nic nie pomógł.

Balbina: Nie pozwoliłam jej Ci go dać. Wielokrotnie mówiła mi, że próbujesz. Ucinałam rozmowę, nie chciałam o Tobie myśleć.

Sebastian: Dlaczego?

Balbina: Sam poprosiłeś, żebym nie kontaktowała się z Tobą. Posłuchałam. A poza tym... Wspomnienia czasem bolą...

Sebastian: Wszystko się zmieniło. Dlatego tak intensywnie szukałem kontaktu.

Balbina: Tego nie wiedziałam. Przecież sama wyraźnie poprosiłam Klarę, by nie mówiła mi, co u Ciebie słychać. Też wiele razy próbowała...

Sebastian: *Sami sobie robiliśmy pod górkę. Z własnej woli kurczowo trzymaliśmy się brzegu, kiedy można było płynąć z prądem. Trochę straconych lat.*

Balbina: *Nadrobić ich nie możemy... Ale możemy nie stracić tych, które przed nami.*

Sebastian: *Pięknie to napisałaś.*

Balbina: *To opowiesz mi, co się właściwie stało?*

Wcześniej

Po amputacji piersi Balbina leżała w szpitalu jeszcze przez tydzień. Naprawdę wszyscy jej dogadzali, jak tylko mogli, a ona przede wszystkim próbowała się przyzwyczaić do nowej siebie. Było jej ciężko. Jakby na chwilę zasnęła i obudziła się w zupełnie innym ciele, w zupełnie innej rzeczywistości.

– Zawsze możesz sobie zrobić cycki, jak Samantha Fox. Albo Sabrina. Były takie, pamiętasz? – pytał Sebastian. – *Boys, boys, boys* – zaśpiewał, próbując rozluźnić atmosferę.

Balbina chciała wzruszyć ramionami, ale wszystko ją jeszcze bolało i nie dała rady.

– Chyba mi to niepotrzebne. I tak do końca życia tylko ja je będę oglądać i lekarze.

– Dla własnego samopoczucia. Byś się sobie podobała, kiedy będziesz patrzeć w lustro.

– Już patrzyłam... I nie bardzo mi się podobało to, co zobaczyłam.

– Może więc właśnie dlatego? – Złapał ją za rękę. – To frazes, co teraz powiem, ale z każdym dniem będzie coraz lepiej. Z każdym dniem będzie cię mniej bolało i ciało, i dusza.

– Zdaję sobie z tego sprawę, tylko tak trudno w to uwierzyć... – westchnęła. – Wiem, że czas leczy rany i naprawdę chciałabym, by było już to „kiedyś”, kiedy nie będzie bolało wcale. Ale dzisiaj myślę, że to nigdy nie nastąpi.

– Na to, niestety, nie mam lekarstwa. Ale mam coś innego. – Uśmiechnął się. – Gotowa?

– Nie wiem na co...

– Na świętowanie!

– A co ty dziś świętujesz?

– Poczekaj. – Sebastian zniknął za szpitalnymi drzwiami. Po chwili pojawił się, niosąc dwa tortowe ciastka. Oba ze świeczkami z cyframi pięć.

– Masz urodziny? – zapytała Balbina. – Pięćdziesiąte piąte? Ojej, wszystkiego najlepszego!

– Tak, i będę je świętował tutaj. – Położył na stolyczku dwie serwetki i postawił talerzyki.

– Masz dziś dyżur?

Sebastian spojrzał na zegarek.

– Od trzech minut już nie. Tak więc po prostu jestem twoim gościem.

– A czy odwiedzający mogą przychodzić do szpitala tak późno? – Balbina zmrużyła oczy, dokładnie przeczuwając, jaka będzie odpowiedź.

– Nie mogą. – Pokręcił głową. – Chyba że mają znajomości. Ja mam.

– Wszystkiego najlepszego, Sebastian. Bądź szczęśliwy. – Balbina wyciągnęła rękę, chcąc go przytulić.

Usiadł tuż obok niej, nachylił się i delikatnie ją przytulił. Tkwili w uścisku nieco zbyt długo. Kiedy odsunęli się od siebie, przez krótką chwilę zrobiło się niezręcznie. Napięcie rozładowała Balbina.

– To które wolisz? Czekoladowe czy malinowe?

– Nie mogę się zdecydować. – Sebastian pokręcił głową.

– Na pół? – zaproponowała.

– Na pół.

– Nie wracasz dziś do domu?

– Nie chcę być sam w urodziny. Albo inaczej... chcę spędzić je z tobą.

– A Majka?

– Wyjechała na kilka dni.

– Zawodowo?

– Nie. – Uciął.

Najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać. Balbina nie drażyła tematu. To był pierwszy wieczór po operacji, ale poczuła, że może jeszcze być szczęśliwa. Siedziała w miłym towarzystwie, zaśmiewając się do łez. Jadła ciastko i czuła się najważniejsza na świecie. Bo czyż swoich urodzin nie spędza się z ludźmi, którzy są najważniejsi?

Potem wyszła ze szpitala. Bała się, że już nigdy nie zobaczy Sebastiana. Bardzo go polubiła. Chociaż... przecież gdy się kogoś tylko lubi, nie myśli

się o nim cały czas. Nie czeka się niecierpliwie, aż przyjdzie. Nie sprawdza się, kiedy właśnie ma dyżur...

Ale tak, tylko go lubiła. I kurczowo trzymała się tej myśli. To tylko znajomość. Nawet nie przyjaźń. Absolutnie nie zauroczenie.

Zastanawiała się, czy jeszcze się kiedyś spotkają. Bo niby jak? Oczywiście Sebastian przyjaźnił się z Klarą i Michaeliem, ale przecież miał swoje życie. Balbina poznała nawet jego żonę, która pracowała w tym samym szpitalu. Jednak Majka rozmawiała z nią tylko o zdrowiu. Nie miała jej nic do zarzucenia, była bardzo profesjonalna, delikatna, ale jakby... oschła? Zupełnie inna niż jej mąż. I nie miały zbyt wielu tematów do rozmów.

O dziwo, Sebastian stał się częstym gościem w domu Klary i Michaela. Zjawiał się, gdy tylko mógł. Najpierw pod pretekstem fizjoterapii. Ćwiczył z Balbiną, pomagał jej zmniejszyć obrzęki, które powstały po mastektomii, masował ją. Potem trwał przy niej podczas trudnych cykli chemii. Zaprzyjaźnili się i wzajemnie byli dla siebie wsparciem, rozmawiali prawie o wszystkim. Prawie... Sebastian niewiele mówił o domu i żonie. Chętnie wspominał dzieci, ale o Majce i ich wzajemnych relacjach nie wiedziała prawie nic. Wielokrotnie się zastanawiała, czy byli szczęśliwym małżeństwem. Chyba nie, bo przecież spędzał z Balbiną tyle czasu. Niemalże każdą wolną chwilę.

Nie znała się na relacjach damsko-męskich, od wielu lat z nikim nie była, ale czuła, że ich znajomość już dawno wyszła poza formalne stosunki związane tylko ze szpitalem czy opieką zdrowotną, choć w tym zakresie dbał o nią tak, że nigdzie nie miałyby lepiej. Było jednak coś jeszcze, czego nie umiała na razie nazwać.

- Wygląda to już pięknie – powiedział, patrząc kiedyś na bliznę.
- Nie spodziewałam się takich komplementów. – Najwyraźniej zawstydzona Balbina uśmiechnęła się nieśmiało. – Jaki czas w życiu, takie komplementy. – Stała przed nim rozebrana do połowy.
- Spodziewaj się ich więcej. – Może jej się wydawało, ale chyba wpatrywał się w nią roziskrzonym z emocji wzrokiem.
- Od ciebie? – zapytała cicho.

Podeszła do krzesła, by wziąć wiszącą tam bluzkę. Pierwszy raz poczuła się niezręcznie, stojąc przed nim półnaga. Miała wrażenie, że patrzy na nią w nieco inny sposób niż zazwyczaj. I miała rację.

Podszedł do niej, odwiesił z powrotem na krzesło bluzkę i spojrzał Balbinie w oczy. Pogładził ją po policzku i mocno ją przytulił. Potem szukali wzajemnie swoich ust, by wreszcie połączyć się w pocałunku. I wtedy... usłyszeli dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Ktoś wracał do domu. Odskoczyli od siebie gwałtownie. Oboje bezskutecznie próbowali wyrównać przyspieszone oddechy.

– Balbinko?! – zawołała Klara.

– Tak, jestem! Jest u mnie Sebastian, zaraz kończymy. – Spojrzała na niego uważnie.

– Nawet nie zaczęliśmy – wyszeptał. – Z jednej strony cholernie tego żałuję, a z drugiej może tak miało być?

Balbina nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Dla niej nie było lepiej. Pragnęła go każdym centymetrem swojego ciała. Nie myślała wtedy o jego żonie, o jakichkolwiek konsekwencjach. Egoistycznie chciała, by po prostu był jak najbliżej. I już nigdy się nie oddalał.

Sebastian nie przychodził do niej przez kilka kolejnych dni. Nie wiedziała, co się stało. Zdawała sobie sprawę, że sytuacja, która miała miejsce pomiędzy nimi, zdarzyła się pod wpływem chwili. Ot, dwoje zagubionych ludzi po prostu wpadło sobie w ramiona. Tak bywa. Nawet zaczęła się przyzwyczajać do myśli, że nigdy go już nie spotka.

Zjawił się po tygodniu. Klary i Michaela nie było w domu, wyjechali na weekend.

– Nie spodziewałam się ciebie – powiedziała, gdy ujrzała go w progu.

– Ja też się nie spodziewałem, że tutaj przyjdę. – Nie patrzył jej w oczy. – Ale musiałem.

– Daj spokój, jesteśmy dorośli. Chwila słabości. Było, minęło.

– Nie... – Pokręcił głową. – Najgorsze jest to, że to nie była chwila słabości. A jeżeli była to słabość, to nie chwilowa. Nadal trwa... Nie umiem przestać o tobie myśleć. I o jakiej my słabości mówimy? Ja przy tobie mógłbym góry przenosić...

Balbina czuła dokładnie to samo i zupełnie nie była na to gotowa. Gdzie te wszystkie rady babci, która mówiła, że zawsze ma wyglądać pięknie, malować usta przed wyjściem z domu, w razie gdyby spotkała mężczyznę, w którym się zakocha? I kiedy go spotkała? Kiedy czuła się najbardziej brzydka, nieatrakcyjna, mało elokwentna, zmęczona i słaba. W najgorszym momencie swojego życia!

Nie mogła mu tego jednak powiedzieć. Czy powinna go wodzić na pokuszenie? Przecież miał żonę. Tyle się nasłuchiwała, że nie można budować szczęścia na cudzym nieszczęściu. Nie chciała nikogo skrzywdzić, ale stało się!

– Nie wiem, co mam ci teraz powiedzieć. Mógłbym ci mówić, że moje małżeństwo jest do dupy, że już dawno się posypało, i tak jest faktycznie, ale co z tego? Ilu facetów tak twierdzi? Wszyscy, którzy mają ochotę na skok w bok. Czy ja mam taką ochotę? Mam. I może gdyby to miał być tylko skok w bok, byłoby mi łatwiej, ale to jest coś więcej... Czy jakiegokolwiek słowa mogą więc sprawić, że będzie prościej?

– Nie. – Balbina pokręciła głową.

– No właśnie – westchnął. – Nie wiem, co mam robić.

– Zawsze są co najmniej dwa wyjścia.

– Jakie?

– Możemy być razem, albo nie.

– Łatwo mówić....

– Na pierwszy rzut oka wszystko właściwie wydaje się proste.

– Mam żonę.

– Dlatego pierwsza opcja jest trudniejsza – stwierdziła Balbina spokojnie.

Sebastian usiadł obok niej i ukrył twarz w dłoniach.

– Nie wiem, co robić. A ty wiesz? – zapytał.

– Ja nie mam męża ani żony, więc decyzja należy do ciebie.

– Nie planowałem tego... Odkąd wzięliśmy ślub, nie spojrzałem nawet na inną kobietę. Majka nigdy nie była zazdrosna, ale też nigdy nie miała ku temu powodów.

– Sebastian, nie chcę, byś mi się żalił, spowiadał z całego swojego życia. Przynajmniej nie teraz. To naprawdę nie ma sensu. Nic się przecież nie stało, to był tylko jeden pocałunek i myślę...

Nie zdążyła dokończyć, bo Sebastian pocałował ją ponownie. Nie mogła mu się oprzeć. Tym razem nikt nie zadzwonił, nikt nie otworzył drzwi. Kochali się namiętnie i przez chwilę zapomnieli o całym świecie. O tym,

kto był obok i komu przyrzekali wierność i miłość. To już nie był tylko jeden pocałunek. To była noc pełna czułości i namiętności. Pragnęli oboje, by nigdy się nie skończyła.

Potem Sebastian znowu zamilkł. Balbina próbowała się z nim skontaktować, ale bezskutecznie. Do szpitala już nie musiała chodzić. Czekala ją tylko jedna wizyta, w zasadzie po to, by odebrać jakieś papiery dla doktora Maryńskiego, który miał przejąć nad nią opiekę, gdy wróci do Polski. Oddalała tę wizytę w czasie. Łudziła się, że Sebastian przyjdzie, zadzwoni, da jakikolwiek znak życia.

I faktycznie w końcu się zjawił. Przez te kilka dni rozłąki dokładnie obmyśliła sobie, co mu powie. Że nie chce być zabawką, że czuje się jak jo-jo w jego rękach, raz ją do siebie przyciąga, by zaraz odepchnąć jak najdalej. Niestety, plany planami, a rzeczywistość była zupełnie inna. Sytuacja się powtórzyła – rozmowa, błysk w oku, jedno spojrzenie, a potem seks.

– A gdybym przeprowadził się do Polski? – zapytał, gdy po wszystkim leżeli przytuleni do siebie.

– Pewnie byłoby pięknie... – powiedziała niepewnie Balbina.

Czuła, że znowu ją przyciągał do siebie, sprawiał, że zaczynała wierzyć w nierealną, cudną przyszłość, a potem spadnie na twardą ziemię. I będzie bolało. A ona już nie chciała, by bolało. Niestety nie umiała powiedzieć „stop”.

– Gdzie ty właściwie mieszkasz?

– W Małej Przytulnej. – Uśmiechnęła się.

– Piękna nazwa. Faktycznie jest mała i przytulna?

– Tak, wszyscy się tam znają.

– To gdybym przyjechał, nie zostałbym niezauważony? – Sebastian znowu swoimi słowami zrobił krok w stronę spełnienia ich marzeń. Tych nierealnych marzeń.

– Skądże. – Roześmiała się. – Już pierwszego dnia byłbyś obgadywany przez pół miasta. W szczególności przez Halinkę i Malwinę.

– Brzmi emocjonująco. Chyba jestem dzielny i dam radę. Mogę być obgadywany przez kogokolwiek, jeśli tylko miałbym szansę być blisko ciebie... Jest tam las?

– Jest. Naokoło miasteczka. Jest las i lodowaty strumień.

– A grzyby?

– Są. Kurki, prawdziwki, kanie i opieńki. Maślaków rośnie tyle, że już nawet ich nikt nie zbiera. Ja najbardziej Kocham rydze. Takie tylko podsmażone na masełku.

– Jak są grzyby, to naprawdę brzmi, jakbyś opowiadała o raju... Kiedyś tam przyjadę...

Ta rozmowa pozostała niedokończona. Sebastian wyszedł nad ranem i znowu zniknął na jakiś czas. Potem znowu wrócił i ponownie próbował z nią snuć myśli o przyszłości. Balbina miała już dość tej huśtawki emocjonalnej.

– Ty sam nie wiesz, czego chcesz. Nie chcę, byś u mnie szukał wyłącznie pocieszenia. Albo inaczej, chcę o tym wiedzieć. Wtedy może mi się uda nie zaangażować. Będę cię po prostu traktowała jak przerwę w moim życiorysie. Przyznaję, całkiem miłą przerwę. Tylko wtedy nie gadaj mi o przyszłości, o wspólnym zbieraniu grzybów czy spacerach po lesie.

– Balbinko...

– Sebastian, ja naprawdę mam tego dość. Mówisz, że twoje małżeństwo jest do niczego, to zrób coś z tym. Albo w jedną, albo w drugą stronę. Albo przestajesz się ze mną spotykać, albo jestem tylko twoją odskocznią od codzienności, albo chcesz ze mną być. Ale wtedy rozstajesz się z żoną, z wszelkimi tego konsekwencjami.

– Nie chcę jej zranić... Nie umiem jej zranić.

I to przeważało.

– Wiesz co, każde spojrzenie na mnie, każda rozmowa czy skradziony pocałunek mogą ją zranić... A poza tym pomyśl też o mnie. Nie mogę trwać w takim zawieszeniu... Idź do domu i zapomnij o mnie. Nie kontaktuj się ze mną, wykasuj mój numer z telefonu. Zapomnij... Wracaj, naprawiaj swój świat. A nas potraktuj faktycznie jako chwilową przerwę w życiorysie.

– Przepraszam... Bardzo cię przepraszam.

Wyszedł wtedy od niej od razu. Balbina przepłakała pół nocy. Nigdy w życiu nie chciała być tą drugą, ale teraz musiała się liczyć ze wszystkimi następstwami. Sebastian zachował się jak dzieciak. Ale czego mogła oczekiwać? Że nagle dla niej, kobiety, która nawet nie czuła się w pełni kobietą, rzuci wszystko i wyprowadzi się z nią na koniec świata? Choćby na końcu tego świata miały rosnąć najbardziej dorodne borowiki? Mrzonki. Dała się nabrać...

Następnego dnia Balbina odebrała w klinice wszystkie dokumenty. Kiedy wychodziła, chciała się jeszcze pożegnać z pielęgniarkami. Zajrzała do dyżurki i zauważyła Majkę całującą się z jakimś mężczyzną. Zdecydowanie nie był to jej mąż...

Wybiegła ze szpitala i drżącymi dłońmi wyciągnęła telefon z torebki. Zapomniała o całej złości na Sebastiana. Chciała mu powiedzieć, że będąc z nią, nie zrani żony, że Majka kogoś ma. Nie odbierał. W końcu wysłał jej SMS:

Masz rację, nie powinniśmy się kontaktować. Nie dzwoń do mnie. To nie wyjdzie. Zapomnijmy o wszystkim. A to, co się stało, potraktujmy jako przerwę w życiorysie. Będę ratował moje małżeństwo bez względu na wszystko.

Balbina była wściekła. Wciąż miała przed oczami jego słowa: „Będę ratował moje małżeństwo bez względu na wszystko”. Proszę bardzo! Jak chce ratować, niech ratuje!

Czas leczy rany. I te ciała, i te duszy. Te na ciele już się prawie zagoiły. Blizna była jeszcze czerwona, ale Balbina zdawała sobie sprawę, że wreszcie wyblaknie. Nie wiedziała, jak szybko wyblaknie ta blizna na duszy. Bała się, że to potrwa znacznie dłużej.

– Jeżeli Sebastian będzie chciał się ze mną kontaktować, absolutnie nie dawaj mu mojego numeru telefonu – powiedziała tego samego dnia Klarze.

– Ale...

– Nie pytaj o nic – poprosiła. – Obiecasz mi to?

– No dobrze, skoro tego sobie życzysz... – Klara kompletnie nic nie rozumiała.

– I nigdy nic mi o nim nie mów – powiedziała stanowczo. – Nigdy.

Klara była zaskoczona jej zawziętością. Balbina nie należała raczej do osób stanowczych.

Niestety, siostra słowa dotrzymała. Nie dała nigdy Sebastianowi numeru Balbiny ani jej adresu. Kilka razy podczas rozmów telefonicznych z Balbiną czy spotkań rodzinnych próbowała zagadnąć na jego temat.

– Muszę ci coś powiedzieć... – zaczynała. – Sebastian...

– Klara, proszę cię. Obiecałaś mi to. Nic o nim... Nigdy...

Sebastian: *Kiedy wyjechałaś, nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Od początku czułem, że to zły wybór. Próbowałem naprawiać nasze małżeństwo, ale zupełnie to nie wychodziło. Czułem się jak na rollercoasterze. Raz było bardzo dobrze, ale zaraz potem lecieliśmy w dół. I miałem wrażenie, że oboje nie mamy zapiętych pasów. Tak nie można było dalej żyć... Ona się z kimś spotykała. Potem już nawet się z tym nie kryła. Jak się później okazało, to trwało od dawna. Nie wnikałem, ale podejrzewam, że znała go już, zanim tutaj przyjechała.*

Balbina: *Doktor Hoffman?*

Sebastian: *Tak. Skąd wiesz?*

Balbina: *Widziałam ich razem. Dlatego próbowałam się wtedy z Tobą skontaktować. Chciałam Ci o tym powiedzieć. Chciałam powiedzieć, że możemy być razem, że tylko ja od siebie uwolnisz...*

W tym momencie coś się stało z ekranem i pojawiło się na nim zdjęcie Sebastiana oraz zielona słuchawka telefonu. Balbina, nie namyślając się, nacisnęła ją. W tym momencie zobaczyła człowieka, za którym tęskniła od tylu lat...

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odparła zmieszana Balbina i odruchowo poprawiła włosy. – Nie miałam pojęcia, że to tak działa, przygotowałam się jakoś...

– Nie rozmawiałaś tak nigdy?

– Nie. – Pokręciła głową.

Dziwnie było go zobaczyć po tylu latach.

– Zawsze musi być pierwszy raz. – Uśmiechnął się. – Nie zmieniłaś się zbyt.

– Przestań, nie kokietuj. Tyle czasu minęło...

– Fakt, sporo... Jestem sam już od piętnastu lat. Próbowałem się z tobą skontaktować, ale Klara była nieprzejednana.

– Prosiłam ją o to. Nasze rozstanie wiele mnie kosztowało...

– Niestety... – Zamyślił się. – Tyle zmarnowanych lat. Brak umiejętności podejmowania szybkich decyzji zarówno w życiu, jak i w biznesie jest jedną z największych wad człowieka.

– Im człowiek starszy, tym ma mniej czasu. Również na dokonywanie wyborów.

– Często zastanawiałem się nad tym, ile za mną zmarnowanych lat. Nieudane małżeństwo, które kilka lat dogorywało... – powiedział cicho. –

Chyba na starość jestem zwolennikiem szybkiej śmierci, a nie powolnej agonii. Bolałoby mocniej, intensywniej, ale szybciej by przeszło. I człowiek wiedziałby, na czym stoi.

– Teraz żałuję, że poprosiłam Klarę o to... Może wszystko by się inaczej ułożyło.

– Nie cofniesz czasu i nie ma co się zastanawiać, co by było gdyby.

– Racja. Jest terażniejszość i przeszłość.

– I od nas zależy to, jak tę przyszłość spędzimy. Balbinko...

– Tak?

– Co robisz w święta?

– W święta? – Zaskoczyło ją to pytanie.

– Tak. Bo ja nie chcę już marnować czasu. I chciałbym cię o coś zapytać.

– Tak? – Balbina z emocji poczuła zawrót głowy.

– Czy mógłbym cię odwiedzić?

Balbinie zrobiło się ciepło na sercu. Miała wrażenie, że w Małej Przytulnej stało się jeszcze bardziej przytulnie.

– Oczywiście, przyjeżdżaj – powiedziała niepewnie. – Święta w Małej Przytulnej są cudne. Jesteśmy tutaj wszyscy przyjaciółmi. I mimo różnych problemów naprawdę zawsze stajemy za sobą murem. Najbliższe mi są Halina i Malwina. Kiedyś ci o nich mówiłam. Jest też Jadwiga i jej syn, student medycyny. Świetny chłopak. W domu na rozstaju dróg mieszkają Laura, Adrian i Gabrysia. Cudowne dziecko. Polubisz ją z pewnością. Poza tym są Janek, który chyba właśnie się zakochał, Wiktor, Marta... – zaczęła wymieniać. – Jest świerk, który niezależnie od pory roku iskrzy się świątecznymi lampkami, i dwoje obcokrajowców przeklinających w języku Balzaca. To właśnie z Pierre'em jest Janek...

– Ta twoja Mała Przytulna przestaje już być taka mała.

– Ale wciąż jest przytulna. Przyjeźdź i zobacz sam, czy jest tutaj dla ciebie miejsce. Może ci się spodoba.

– I wtedy zostanę?

– Jeśli tylko zechcesz.

– Chciałbym jeszcze coś powiedzieć, o coś zapytać, ale poczekam jeszcze chwilę.

– Byle nie za długo.

– Oboje za długo już czekaliśmy.

22. Ksawery

W Austrii Święty Mikołaj ma brata! I to bardzo, bardzo groźnego! Krampus wyglądem przypomina demona. Ma rogi jak koza i bez przerwy straszy dzieci różgą. Noc Krampusa przypada w Austrii na 5 grudnia. Ulice miast są wtedy pełne osób przebranych za tego straszego stwora.

Ksawery był dokładnie tego samego zdania. Ileż można czekać? Nie było dnia, by nie wypatrywał czerwonego samochodu mknącego ulicami Małej Przytulnej. No przecież tak się nie robi! Przyjechała, zawróciła mu w głowie i wybyła na jakiś staż czy cokolwiek innego. Są przecież pewne granice! Tak im się cudownie rozmawiało na ślubie Laury i Adriana. Ksawery nigdy nie myślał o małżeństwie, a po tamtej nocy stwierdził, że jest skłonny wziąć to jednak pod uwagę. I co? I nic. Samotne rozważania na temat ożenku z pewnością nie miały sensu. A w zasadzie były zupełnie bezprzedmiotowe.

Ksawery nie lubił dzielić włosa na czworo. I Dominika też mu się wydawała w tych sprawach bardzo ogarnięta. Rozmawiali tamtego wieczoru bardzo merytorycznie, w pewnym momencie nawet zaczął się zastanawiać, czy nie wziąć udziału w jakimś sympozjum, konferencji czy czymś podobnym, bo spojrzenie Dominiki, pełne uznania dla jego wiedzy, było czymś nadzwyczajnym. Chyba nikt na niego tak nigdy nie patrzył.

Podczas tej zdecydowanie zbyt krótkiej – bo mogłaby trwać całe życie – wymiany zdań odkrył, co tak naprawdę go kręci w kobietach. Nie szerokie biodra, które zauroczyły go u Renaty. Nie krągłe piersi, ogromne oczy czy bujne loki... Ksawerego najbardziej kręcił intelekt. I kiedy kobieta była mądrzejsza od niego, nieznacznie mądrzejsza, uściślijmy, wpadał jak śliwka w kompot.

Pani doktor, która mu zniknęła bez śladu, była od niego mądrzejsza. Poza tą mądrością miała wszystkie przymioty, o których myślał kiedyś, że w kobietach są najważniejsze. Mówimy, oczywiście, o biodrach, biuście, oczach i falujących na wietrze włosach. Ale ten intelekt! Nic dziwnego, że wyjechała na staż, sympozjum, cykl konferencji czy cholera wie gdzie.

Ważne, że istniało prawdopodobieństwo, iż wróci. I to szybko. I będzie mógł z jej intelektu korzystać. I z innych przymiotów przy okazji również.

„Szybko” było pojęciem względnym i Ksawery zdawał sobie sprawę, że dla każdego znaczy co innego. Jednak postanowił uzbroić się w cierpliwość, czekać i robić swoje. Mieszał mikstury, wydawał leki, doradzał i odradzał różne zielne mieszanki, które z przyzwyczajenia mieszkańcy Małej Przytulnej chcieli na sobie wypróbować.

– Nie, Halinko. Jeżeli zrobisz skręta z pokrzywy, ani nie będzie smakował jak papieros, ani nie będzie działał moczopędnie.

– A kozłek?

– Kozłek lekarski również nie.

– Bo ja mam gazy – wyszeptwała.

– Każdy ma.

Halina rozejrzała się niepewnie. Na szczęście w aptece była tylko Gabrysia, którą mama wysłała po witaminy dla siebie.

– Naprawdę? – zdziwiła się staruszka. – I to zupełnie normalne?

– Pewnie – odparł Ksawery. – W jelitach znajduje się zwykle około szklanki gazów i jest to sytuacja całkowicie normalna pod względem fizjologicznym. Gazy do jelit są dostarczane wraz z powietrzem albo produkowane przez florę bakteryjną, a po przejściu przez cały przewód pokarmowy są z niego wydalane nawet do dwudziestu pięciu razy w ciągu doby.

– Panie Ksawery, chce mi pan powiedzieć, że każdy to robi? – do rozmowy włączyła się Gabrysia.

– Każdy.

Dziewczynka nie mogła uwierzyć.

– I nawet król Karol?

– Nawet on.

– I ta księżniczka od księcia Harry’ego też? Megan?

– Tak.

– I papież?

– Gabrysiu! – upomniała ją Halina.

– Papież nie? – westchnęła zawiedziona dziewczynka.

Ksawery bezradnie zerkał to na Gabrysię, to na Halinkę. Nie był gotowy na taką dyskusję, wykraczała poza jego normy światopoglądowe.

– Pani Halinko, ale niby dlaczego papież nie? – zapytał.

Spojrzała na niego wyniośle, a on poczuł się tak, jakby wrócił do podstawówki i znowu miał pięć lat.

– A trzeba było mi tego kozłka dać. Nie byłoby takiej czczej dyskusji – powiedziała wyniośle Halina.

– Ona nie była czcza – uznała Gabrysia. – Zrozumiałam, że wszyscy jesteście tacy sami! – dodała z radością. – I pani, i ja, i nawet król!

– Tacy sami? – Bibliotekarka się wyprostowała, jakby co najmniej ktoś jej nałożył na głowę koronę. – Ja taka sama jak królowa?

– Oczywiście. Taka samiuteńka, pani Halinko. Cieszy się pani?

Ksawery odetchnął z ulgą. To dziecko z pewnością daleko zajdzie. Zastanawiał się tylko, w którym kierunku pójdzie. Bo jak na razie miało tak wszechstronne zainteresowania, że nie nadążał. A płynne przeskakiwanie od tematu nadmiernych gazów pani Halinki, które chciała ratować skrętem z kozłka lekarskiego, do drzewa genealogicznego monarchii brytyjskiej niemalże go przerosło.

Wydał Halince dokładne zalecenia co do picia ziół, kilka razy podkreślił, że „picia”, nie „palenia”, a Gabrysia dostała potrzebne suplementy. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta i czas już zamykać aptekę. Na dworze było już ciemno. Ksawery liczył, że do Gwiazdki jeszcze tylko trzy tygodnie, potem już Nowy Rok i zaraz znowu lato. A on coraz starszy i jedyną jego życiową przyjaciółką jest koza.

Westchnął. Marnie to jego życie się zapowiadało. Też chciałby mieć takie rezolutne dzieci, z którymi mógłby założyć hodowlę pajaków albo uprawiać rośliny do zielnika. Chciałby mieć kogoś, kto z nim porozmawia i powspiera go, czasem przytuli, a czasem da kopniaka. I mieć kogoś takiego, kto nie zeżre wszystkiego, co stoi na jego drodze. Jak jego koza.

Kiedy tak myślał o tym wszystkim, nagle drzwi do apteki się otworzyły i w progu stanął nie kto inny jak Dominika.

– Cześć – powiedziała wesoło. – Właśnie wróciłam. Nie kupiłam chleba, myślałam, że restauracja będzie otwarta, i jestem strasznie głodna. Może u ciebie znajdzie się coś do jedzenia?

– Tutaj nie bardzo, ale w domu czeka na ciebie pełna lodówka. Już zamykam. – Uśmiechnął się. – Miałem właśnie wychodzić do domu. Zapraszam.

Ksawery obiecał sobie w duchu, że ją nakarmi, choćby musiał wyruszyć na polowanie na grubego zwierza czy własnoręcznie młócić zboże na chleb, a potem osobiście go upiec. Okazało się, że wystarczyło jednak przygotować kolację. Patrzył, jak Dominika jadła z apetytem, opowiadając mu o tym, o czym kochał słuchać najbardziej – o rozmaitych przypadłościach chorobowych i sposobach na ich wyeliminowanie. Co chwilę dokładał jej sera czy szynki i zastanawiał się, gdzie jej się to całe jedzenie mieści. Może właśnie w krągłych biodrach? Albo w obfitych piersiach? Może w dużych oczach albo włosach, które falowały na wietrze? Albo... w intelekcie?

Uśmiechnął się do siebie. Dominika miała jednak sporo wspólnego z jego dotychczasową towarzyszką życia. Pochłaniała wszystko, co napotkała na stole, i to w ilościach dość sporych. Podobnie jak jego koza.

23. Jeaninne

Do Japonii na święta? Nie!

Japonia ma niewiele wspólnego z chrześcijaństwem, zatem Japończycy nie znają również tradycji świątecznych. Swoją wiedzę na ten temat czerpią z oglądanych filmów. W związku z tym oraz z panującą u nich komercją zamiast spędzać świąteczny czas w domu z rodziną, często wybierają się do jednej z amerykańskich sieci fast-food – KFC. Co powiecie na taką Wigilię? Chyba wolę już Krampusa...

Gdyby Jeaninne знаła polskie powiedzenia, z pewnością za jakiś czas uznałaby, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Prawdopodobnie w języku francuskim istniał jego odpowiednik, ale w tamtej chwili nikt tym sobie nie zaprzętał głowy. Natomiast pół miasteczka zaprzętało sobie głowę Jeaninne, która to obwieściła światu, że boli ją gardło. Nigdy nic ją nie bolało, zatem jakikolwiek niepokojący sygnał tego typu powodował, że natychmiast chciała położyć się do szpitala, by ją uzdrowili, bo widmo śmierci ją wręcz paraliżowało. Choćby z powodu bólu gardła.

Laura i Adrian próbowali jej wytłumaczyć, że to tak nie działa. Nawet Pierre starał się ją przekonać, choć Jan mu mówił, że chodzi do doktora Maryńskiego co tydzień i w zasadzie sobie chwali.

– A tam, chwalisz sobie. – Malwina, która była świadkiem zaistniałego dramatu, machnęła ręką.

Przyniosła Laurze kocyk, który zrobiła na szydełku dla przyszłego mieszkańca miasteczka. Kocyk leżał zawinięty w szary papier i nikt nie miał ani czasu, ani ochoty się nim zainteresować.

– Chwałę – powtórzył Janek.

– A czujesz się chociaż lepiej po tych wizytach? – zapytała staruszka.

– Nie czuję się gorzej, a to już połowa sukcesu!

Malwina westchnęła. Pierre właśnie tłumaczył Jeaninne, że w sąsiednim miasteczku jest cudowny mężczyzna, doktor Maryński, który z pewnością ją przyjmie i jej życie stanie się piękniejsze. Jak to się działo u jego

przyjaciela, Jana. Jeaninne od razu kategorycznie zażądała zawiezienia się do doktora Maryńskiego.

– Najpierw zadzwonimy – powiedziała Laura.

Znała doktora nie od dziś i wiedziała, że pacjentów wyłącznie przeziębionych nie wyrzuca przez okno gabinetu tylko dlatego, by po chwili nie przyszli do niego z bólem innych części ciała, spowodowanym upadkiem z trzeciego piętra.

Zgodnie z przewidywaniami doktor Maryński powiedział, że w żadnym wypadku nie chce widzieć jakiejś rozhisteryzowanej kobiety z bolącym gardłem. Zalecił płukanie wodą z solą, herbatę z cytryną i ciepłe łóżko. Zanim Laura go pożegnała, już się rozłączył. I tak spotkało ją szczęście. Po pierwsze takie, że pan doktor w ogóle raczył odebrać, a po drugie, że rozmawiał z nią dłużej niż minutę i udzielił kilku wskazówek, tracąc swój cenny czas.

Jeaninne w ogóle nie chciała o tym słyszeć, że miałyby zostać w domu i nie jechać do lekarza. Wymieniła po francusku jakieś piętnaście chorób, których objawem mogło być bolące gardło, i kazała się zawieźć do sąsiedniego miasteczka. Laura westchnęła. Nie umiała odmawiać, w szczególności osobom, które kochała, a Jeaninne poza Gabrysią i Adrianem była chyba dla niej najważniejsza na świecie. Francuzka założyła najbardziej kolorową sukienkę, jaką miała, na głowie zawinęła turban w kolorze wściekłej pomarańczy, wsiadły do samochodu Laury i wyruszyły do sąsiedniego miasteczka.

Jeszcze w czasie drogi Laura próbowała przekonać przyjaciółkę, by zmieniła zdanie, bo doprawdy wizyta u pana doktora nie jest najlepszym pomysłem, wręcz może się źle skończyć, ale ona się uparła. Wysiadła z samochodu, trzasnęła drzwiami i spojrzała w okno kamienicy na trzecim piętrze, które wskazała jej Laura, łudząc się, że może ta wysokość zdoła odwieść Jeaninne od wizyty u Maryńskiego. Jednak ona tylko westchnęła i puściła wiązanek, której nie powstydzilby się żaden francuski raper. Podkasała sukienkę ponad kolana i weszła do klatki.

Sapiąc, wdrapała się z trudem na trzecie piętro. Nie czekając na zaproszenie, z impetem otworzyła drzwi gabinetu. Na szczęście nikogo nie było w środku, bo sytuacja stałaby się niezręczna. Tymczasem Jeaninne

wzięła głęboki oddech i zaczęła krzyczeć na doktora Maryńskiego. Szybko i impulsywnie wyzywała go po francusku.

Laura asekuracyjnie została za drzwiami. Najchętniej założyłaby na uszy słuchawki (byleby nie z francuskim rapem). Nie zrobiła tego jednak, gdyż czuła się w obowiązku być gotowa interweniować, gdy zrobi się jeszcze bardziej tragicznie, aczkolwiek wydawało się to już niemożliwe. Gorzej być nie mogło, bo sytuacja w gabinecie najwyraźniej wymknęła się spod kontroli. Przez zamknięte drzwi dobiegał wrzask przyjaciółki. Laura rozumiała co drugie słowo, gdyż właśnie co drugie słowo Jeaninne używała tych uznawanych za zdecydowanie nieobyczajne, a te Laura z dziwną łatwością od pewnego czasu przyswajała.

Ukryła twarz w dłoniach i chciała umrzeć. Było jej wstyd za Jeaninne. Znała doktora Maryńskiego od dawna, i to od najgorszej strony, i przeczuwała, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Miał rację, gdy wcześniej rozmawiała z nim przez telefon – ból gardła Jeaninne powinna leczyć płukankami wody z solą, a gorączkę zbijać zimnymi okładami. Tak byłoby zdecydowanie zdrowiej.

Nie spodziewała się jednak tego, co nastąpi później. Wszak wiemy już, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło... Jeaninne była krzykliwą, ale nieziemsko uroczą kobietą, a jej seksapil, na co dzień ukryty pod kolorowymi sukienkami i zawinięty w ogromny turban, sięgał z pewnością Paryża, o ile nie dalej, a doktor Maryński był przecież zwyczajnym mężczyzną. Co również go niezmiernie zaskoczyło, bo zupełnie się tego w swoim życiu nie spodziewał.

24. Gabrysia

W Polsce przed wieczerzą wigilijną wszyscy łamią się opłatkiem albo chlebem. W Hiszpanii natomiast zamiast opłatka ludzie dzielą się nugatem, znanym jako turrón. Uformowany jest w kostkę i niekiedy owinięty białym waflem, przypominającym opłatek.

– Powiem ci, Kaziku, że dzieje się – westchnęła następnego dnia Gabrysia, gdy przekroczyła próg punktu pocztowego. – O matko, ty fotele tutaj przyniosłeś! Takie wygodne! – Usadowiła się na jednym z nich. – To specjalnie dla mnie? By mi się miło siedziało? A ten drugi dla kogo? Dla ciebie? Cudownie! Jesteś, Kaziku, najlepszy! Stolik by się przydał, można by na nim postawić herbatkę i ciasteczko.

Mężczyzna tym razem na nią spojrzał i na jego ustach pojawił się jakby grymas. Dziewczynka zinterpretowała to jako uśmiech i sama też się wyszczerzyła.

– No to ja ci teraz wszystko opowiem. Ze szczegółami. Kaziku, ja zdaję sobie sprawę z tego, że powinnam milczeć, bo przecież głównie w tym celu tu przychodzę, ale cóż zrobić, jak ja mam ci tyle do opowiedzenia. – Podeszła do półki, na której stały długopisy i policzyła je jeszcze raz. – O matko! Ktoś kupił długopis! Jestem ciekawa kto! Oczywiście ty mi tego, Kaziku, nie powiesz, bo nie dość, że zwykle milczysz, to pewnie tutaj też obowiązuje jakaś tajemnica pocztowa. Albo tajemnica długopisowa czy jakaś inna i po prostu nie możesz mi zdradzić, kto go kupił. Będę mogła sobie leżeć dzisiaj wieczorem i zastanawiać się, kto to zrobił. Może ktoś, kto pisze powieść? Albo ktoś, kto napisze nim list miłosny... Ale ja nie o tym, Kaziku. Do tego kiedyś wrócimy i może mi wtedy jednak zdradzisz ten sekret, kto go kupił. – Odeszła od półki i wróciła na fotel, podłożywszy sobie pod pupę poduszkę, jakby mościła sobie gniazdko. – No to zacniemy od najbardziej interesującego mnie, ale pewnie ciebie również tematu. Otóż Jeaninne zaczęło boleć gardło. Dominiki nie było, chociaż ktoś mówił, że widział jej samochód przed apteką, ale może to po prostu stał jakiś podobny. W każdym razie Jeaninne jest w gorącej wodzie kąpana, jak to mówi moja mama, i chciała iść do lekarza jak najszybciej, Kaziku. Zresztą czy to nie jest

ciekawe? Mówi się, że ktoś jest w gorącej wodzie kąpany, a nie mówi się, że w zimnej. Przecież z zimnej też się szybko wybiega.

Wstała, by spojrzeć, czy Kazimierz zareagował, ale nadal siedział bez ruchu. Gabrysia zatem usiadła znowu. Na kolanach położyła sobie poduszkę i przytuliła ją niczym maskotkę.

– Moja mama kąpie się w zimnej wodzie. Znaczący kąpała się w lodowatym strumieniu, kiedy pani Renata mieszkała w Małej Przytulnej, teraz robi to trochę rzadziej. W zasadzie wcale, bo brama do zielarni zamknięta, a tam jest ten strumyk. No i moja mama mówiła, że Jeaninne to gardło boli, bo właśnie się nie kąpie w zimnej. Odkąd moja mama morsuje, ani razu nie była zaziębiona! Nic a nic! – Zajrzała za ladę do Kazika, ale ten nadal nie sprawiał wrażenia zainteresowanego jej opowieścią. Jego mina pozostawała niewzruszona. – Dominiki nie było, chociaż, jak wspominałam, podobno ktoś widział jej samochód, więc może się po prostu ukrywała, a Janek, który kocha chodzić do lekarza, powiedział, że doktor Maryński jest najlepszy. Z kolei Pierre, który chyba kocha Janka i mu święcie wierzy, przekazał to Jeaninne, a ona z racji tego, że jest w gorącej wodzie kąpana, czyli chce mieć wszystko natychmiast, powiedziała, że musi natychmiast tam jechać. Ja wiem, że to jest skomplikowane, ale nadążasz, prawda, Kaziku?

Gabrysia wstała z fotela i próbowała wyczytać z wyrazu twarzy pana Kazimierza jego emocje, ale jak się można było spodziewać, nic nie wyczytała. Usiadła zatem z powrotem.

– Oczywiście mama próbowała ją przekonać, że nie musi jechać do lekarza, ale nie wyszło. Ładnie się on nazywa, prawda? Maryński. Jakby dodać „z”, byłby Marzyński. Mama mówi, że on jest Maryński od nocnej mary. Powtarza czasem, że nie życzyłaby nikomu, by mu się przyśnił doktor. Chciałby pan, żeby panu się on przyśnił? Ach, pan pewnie wcale nie wie, jak on wygląda. Muszę panu zademonstrować.

Wstała i stanęła przed Kazikiem, potargała włosy, splotła ręce na piersiach, stanęła w rozkroku, zgarbiła się i zrobiła nieprzyjemną minę.

– Mniej więcej tak. Nie obraż się, Kaziku, ale on jest trochę podobny do ciebie. Szczególnie z wyrazu twarzy. Musielibyście się poznać, z pewnością byście się dogadali. – Zamilkła na chwilę. – Chociaż to jest niewłaściwe określenie. Dogadać byście się nie dogadali, ale moglibyście spędzić miło czas. W milczeniu. – Uśmiechnęła się. – Naprawdę jestem ci wdzięczna za ten fotel. Nie wiem, po co ten drugi, ale może dla ciebie, jak już się lepiej poznamy. Pomyślę, czy sobie nie przynieść tutaj kocyka, bo zimno czasem

z dworu leci, a jak już ustaliliśmy, nie grzejesz zanadto. No ale wracając do tematu Jeaninne... Mama nie mówiła jej, że ten gabinet jest na trzecim piętrze. Jeaninne nie należy do szczupłych, jest mięciutka jak kołderka, ale, jak twierdzi, kocha każdy centymetr swojego ciała. A uwierz mi, Kaziku, że ona ma naprawdę dużo do kochania. Naprawdę musi to serce mieć pojemne. I kiedy ona weszła na te schody prowadzące do gabinetu, zasapała się przeokropnie, ale jak już dotknęła klamki i otworzyła drzwi, natychmiast odzyskała siły. I zaczęła po francusku tego lekarza wyzywać.

Kazimierz drgnął, ale Gabrysia tego nie zauważyła. A szkoda, bo zapewne bardzo ucieszyłoby ją zainteresowanie mężczyzny.

– Mama trochę zna francuski, niezbyt dobrze, ale tak się składa, że prawie wszystkie brzydkie wyrazy kojarzy. Nie wiem, czy powinna się do tego przyznawać swojemu dziecku, ale się przyznała. I Jeannine użyła tych wszystkich brzydkich wyrazów, które kojarzy moja mama. Krzyczała na tego lekarza dobre pięć minut, a on nic, stał jak słup soli. Mniej więcej jak pan. Prawda, że mogę tak mówić? Jestem pewna, że pan się nie obraża. A przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Halinka to by się obraziła, z nią muszę być ostrożna. No i w każdym razie Jeaninne mówiła i mówiła, i w końcu chyba się już zmęczyła tym mówieniem. Mama twierdzi, że ona po prostu go wyzywała, konkretnie krzyczała, że to niedorzeczne, iż stara gruba baba... to Jeaninne o sobie powiedziała, nie moja mama... musi się wspinać na trzecie piętro. Lekarze powinni przyjmować na parterze, a nie gdzieś na szczycie. Mówiła, że szczyty ona zdobywała, gdy była młoda i piękna, a teraz jej tylko piękność pozostała i do zdobywania żadnych szczytów się nie nadaje. – Gabrysia się zamyśliła. – Chyba miała rację.

Wyjęła telefon z plecaka i przez chwilę czegoś szukała.

– Musiałam sprawdzić, jakie są góry we Francji – powiedziała po chwili.
– Alpy i Pireneje. I Mount Blanc. Myślisz, że o te szczyty chodziło Jeaninne? Ja nie jestem do końca przekonana, bo to chyba dla doświadczonych turystów. Ale kto wie, może ona kiedyś była alpinistką.

Kazimierz podniósł wzrok i spojrzał na Gabrysię.

– Ha, widzisz, też w to powątpiewasz. Ja też jej sobie nie wyobrażam na ekstremalnym górskim szlaku. No ale najważniejsze! Gdy ona skończyła mówić, doktor Maryński spokojnie i cicho odpowiedział jej pięknym francuskim! Ja nie wiem, skąd on go zna, ale Jeaninne była wielce zaskoczona. I chyba nawet zawstydzona swoim wybuchem, bo przecież łatwiej jest mówić do kogoś brzydkie wyrazy, gdy się myśli, że ten ktoś nie

rozumie. I wiesz, jaki był koniec tej historii? Doktor Maryński wypisał jej receptę na to bolące gardło, a ona rzuciła się na niego i go wycalowała. No powiem ci, Kaziku, że go chyba nigdy nikt tak nie wycalował. Ja myślę, że to było trochę nieodpowiedzialne, bo czytałam w jednej z książek Tomka, że zarazki przenoszone są drogą kropelkową. Krótko mówiąc, Jeaninne mogła na niego przy tym ściskaniu napluć. Ale tego nie jestem pewna, bo potem mama już nie miała z nim kontaktu. Nie wiemy zatem, czy zachorował, czy nie. I pewnie się nie dowiemy, bo on z nikim nigdy nie rozmawia. Dokładnie jak pan.

25. Doktor Maryński

We Francji w święta zwykle po daniach głównych na stoły trafiają ciasta i desery. Zgodnie z tradycją ma ich być aż trzynaście! Jednym z tradycyjnych ciast jest Bûche de Noël. Jest to rolada wypełniona śmietankowym kremem o smaku kawowym lub czekoladowym.

Ciasto to swoim wyglądem i dekoracją przypomina konar, symbolizuje drewno, którym dawniej palono w kominkach, by dawało ciepło i bezpieczeństwo domownikom.

To, że doktor Paweł Maryński był zaskoczony, to doprawdy było mało powiedziane. Chyba jeszcze nikt nigdy w ten sposób nie odzywał się do niego, jak ta wielce oryginalna kobieta, która przekroczyła próg jego gabinetu. Był przyzwyczajony do tego, iż każdy traktował go z należyty szacunkiem, a uściślając – czuł przed nim respekt i się go bał. Nawet mu to odpowiadało, gdyż nikt mu wtedy nie zawracał zbytecznie głowy i miał święty spokój. I tutaj zupełnie niespodziewanie wkracza do jego gabinetu czarnoskóra piękność, odziana w kolorowe szaty, na dodatek w ogromnym turbanie w kolorze dojrzałej pomarańczy i mówi mu, co o nim myśli, na dodatek w jego ukochanym języku. Języku, którego już dawno nie słyszał, no chyba że na płytach, które puszczał sobie namiętnie w domowym zaciszu, czy w telewizji kablowej, gdzie miał abonament na program nadający wiadomości po francusku. Ale to nie było to samo! Tym razem słuchał żywego języka. Takiego, za którym tęsknił. Z jego wszystkimi niedoskonałościami i... przekleństwami. O, tych w wypowiedzi damy było całkiem sporo!

Tamtego dnia już się zbierał do domu. We wtorki kończył zawsze wcześniej, bo spotykał się ze swoim przyjacielem na cygara, whisky i wspólne milczenie. Raz u niego w domu, raz u przyjaciela. Tego dnia miała być jego kolej. I dlatego, gdy usłyszał kroki na schodach, był wielce niezadowolony, że ktoś zakłóca jego rytuały. Przez chwilę się nawet zastanawiał, czy nie zamknąć się od środka i udawać, że go już nie ma w gabinecie, ale wiedział, że pacjenci potrafili być niezmiernie cierpliwi

i czekać na korytarzu bardzo długo. Zatem musiałyby w robocie posiedzieć jeszcze kilka chwil.

Nie zdążył zakończyć myśli, a do jego gabinetu wtargnęła ta przedziwna niewiasta i zaczęła na niego krzyczeć. Nie umiał nawet być zły. Z przyjemnością chłonał każde słowo wydostające się z jej ust. Aż w końcu kobieta zamilkła.

– Jak ma pani na imię? – zapytał spokojnie swoją nienaganną francuszczyzną.

– Jea... Jeaninne – odpowiedziała najwyraźniej ogromnie zaskoczona. Nieczęsto zapominała języka w gębie, ale to właśnie był jeden z tych nielicznych momentów.

– Jeaninne, już wiem, że jest pani ogromnie niezadowolona z umiejscowienia mojego gabinetu, ale czy coś jeszcze mogę dla pani zrobić? – zapytał grzecznie.

– Boli mnie gardło. A mnie nigdy nic nie boli. Nigdy! I nigdy nie chodzę do lekarza, bo nie mam powodu. Ja to w ogóle nie lubię lekarzom dupy zawracać. Ale Laura jest w ciąży i muszę być zdrowa. Nie chcę jej zarazić.

Pan doktor Maryński oniemiał. Jeszcze nie miał pacjenta, który na wstępie podkreślał, że nie lubi do niego przychodzić. No proszę. I nigdy nie miał pacjenta, który otwarcie mówił, że lekarzom nie powinno się zawracać głowy błahostkami. Podobało mu się to. I bardzo się z tym zgadzał. Podobała mu się również charakterna pacjentka mówiąca w języku jego ukochanego Aznavoura.

– Zna pani Aznavoura? – zapytał zupełnie bez związku.

Jeaninne zamarła ponownie, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

– Znam. I śpiewam – dodała zachrypłym głosem. – Aczkolwiek teraz nie jestem w stanie nawet zanucić. Jak mnie pan wyleczy, to mogę panu zaśpiewać.

– A według pani Wenecja jest smutna? – Maryński nie miał pojęcia, dlaczego ją pyta o takie rzeczy. To było zupełnie nie w jego stylu. I, prawdę mówiąc, zupełnie bez sensu.

– Pewnie. – Wzruszyła ramionami. – Jak miłość umiera, to nawet Mała Przytulna jest smutna.

Pan doktor Maryński spojrzał z uwagą na pacjentkę.

– Dokładnie tak samo teraz myślę – powiedział cicho. – A jak miłość się rodzi?

– Jak się miłość rodzi, to wszyscy się uśmiechają. A najbardziej ci zakochani. Uśmiechają się do przypadkowo napotkanych na ulicy ludzi i zarażają swoim szczęściem.

Doktor Maryński pokiwał głową.

– Tak, ma pani rację. Już tego nie pamiętam, ale faktycznie tak jest. Dawno nie byłem zakochany.

– To widać – powiedziała wprost Jeaninne.

– Widać? – zdziwił się Maryński.

– Pewnie. Nie ma nawet śladu blasku w pana oczach.

Mężczyzna się zmieszał. Postanowił przestać bredzić o zakochaniu i smutnej Wenecji i zabrać się do roboty.

– Proszę szeroko otworzyć usta – polecił, wyciągając w jej stronę szpatułkę. – Angina – zawyrokował. – Faktycznie musi panią boleć gardło.

– A widzi pan! – ucieszyła się Francuzka. – Mówiłam, że boli jak cholera. Na próżno nie przyszłam.

– Wypiszę pani receptę. – Usiadł przy ogromnym dębowym biurku i zaczął coś notować.

Po chwili wstał i podał kartkę Jeaninne. Ta, nie namyślając się zbyt wiele, podziękowała i pocałowała go w oba policzki po dwa razy. Maryński nie zdążył nawet zareagować. Kobieta skierowała swoje kroki w stronę drzwi, ale zanim nacisnęła klamkę, odwróciła się i powiedziała:

– Ma pan fatalnie dobrane perfumy. Zapraszam do Małej Przytulnej, do perfumerii na rozstaju dróg. Tylko za jakiś czas, gdy już będę zdrowa. Przygotuję dla pana coś specjalnego.

Doktor Maryński znów był zdumiony. Jeszcze nikt nigdy go nie skrytykował. Źle dobrane perfumy, też coś! W ogóle ich nie używał, skrapiał się wodą kolońską i to mu wystarczało.

To zdecydowanie był dziwny dzień.

Do Małej Przytulnej się nie zapuszczał, chociaż miał stamtąd kilkoro pacjentów. Na przykład Janka. Musi go zapytać o tę piękną czarnoskórą damę. Pewnie będzie wiedział coś więcej.

Wieczorem przyszedł do niego przyjaciel. Obaj przyzwyczaili się do tych wspólnych męskich wieczorów.

– Nie ciągnie cię czasem do ludzi? – zapytał jego gość. – Żeby gdzieś wyjść...

– Do dzisiaj nie. Ludzi mam aż nadto. Ale też do tej pory nie spotkałem nikogo na tyle interesującego, by mnie do niego ciągnęło.

– Wybredny jesteś. Ja też. Nie lubię chyba ludzi. Przynajmniej nie wszystkich.

– Witaj w klubie.

– Ale też nie chcę być sam. Fajnie jest mieć kogoś, z kim się można choćby posprzeczać. Albo razem pomilczeć. – Zamyślił się. – Albo samemu pomilczeć, gdy ktoś gada strasznie dużo i opowiada ci o czymś tak, że natychmiast chciałbyś być częścią tego świata.

– Starzejemy się?

– Nie wiem, chyba tak – westchnął Maryński.

– Czy my gdzieś popełniliśmy błąd, że nie mamy rodzin? My z Janką nawet nigdy nie chcieliśmy dzieci. I powiem ci, że teraz tego bardzo żałuję. Może już za starzy byliśmy, a może jacyś tacy... leniwi?

– A co, szukasz kogoś, kto ci na stare lata poda szklanekę wody?

– E tam, znajdę sobie jakiś miły pensjonacik, w którym zamieszkam.

– Pamiętaj o mnie. Możemy wynająć sobie jakiś przytulny pokoik. Obaj nie jesteśmy zbyt rozmowni, więc nie będziemy sobie zawracać głowy.

– A nie chrapiesz przypadkiem?

– Tego nie wiem, ostatnio śpię sam, więc jeszcze nikt mi tego nie powiedział – ze śmiechem stwierdził pan doktor.

Przyjaźń doktora Maryńskiego z Kazimierzem Polańskim trwała od lat. Od czasów francuskich, czyli *belle époque*, jak obaj nazywali ten okres. Dlatego też gdy Kazik zaczął myśleć o powrocie do Polski, Maryński ściągnął go do siebie, w okolice Małej Przytulnej. Kazik posiedział kilka lat w swojej samotni, głównie czytając, spacerując i rozmyślając o życiu, a potem to rozmyślanie w ciszy nawet mu się znudziło. Ku swojemu zaskoczeniu chciał również czuć się potrzebny. Komukolwiek. Miał już swoje lata, więc były marne widoki ku temu, by dostał jakąś fajną posadę. Akurat otwierano punkt pocztowy w Małej Przytulnej, więc zgłosił swoją gotowość do pracy. Było to jedyne podanie przyjęte na to stanowisko, więc nic dziwnego, że dostał tę robotę.

Lubił ją. Myślał, iż dlatego, że nikt mu zbyt często nie zwracał głowy. Jednak gdy zaczęła do niego przychodzić ta dziewczynka, wszystko się zmieniło. Oczywiście, gdy pierwszy raz otworzyły się drzwi i ją zobaczył, skrzywił się. Nie chciał, by ktokolwiek mu przeszkadzał, ale skoro oświadczyła, że przychodzi pomilczeć, stwierdził, że jakoś zniesie jej obecność. Nie milczała, ale, o dziwo, również ją znosił. A potem nawet zainteresował się wszystkim, o czym mówiła. I o kim. Była pewnego rodzaju oknem na świat, przez które bardzo lubił wyglądać.

Do tego stopnia się zainteresował jej opowieściami, że poszedł do tej restauracji, łudząc się, że zobaczy kogoś z bohaterów wspomnianych przez to dziecko na własne oczy. I zobaczył. Kiedy ta kobieta usiadła obok niego, z tą swoją miną i śmierdzącym serem oraz śledziami, od razu wiedział, że to Halinka. I nawet się ucieszył, że zjadł jej to ciastko. W przeciwnym wypadku pewnie usiadłaby w zupełnie innym miejscu i by jej wcale nie poznał. Wkurzyła go tylko tym, że powiedziała, kto zabił kominiarza. Od razu odłożył tę książkę. Przestał czytać w połowie.

– Lubisz, gdy ktoś cię wkurza? – zapytał Maryńskiego.

– Gdybyś zapytał mnie wczoraj, powiedziałbym ci, że w żadnym wypadku... Ale dzisiaj...

– Stało się coś?

– Przyszła do mnie pewna dojrzała francuska dama i zaczęła na mnie wrzeszczeć.

– Francuska dama? Czyżby goście stacjonujący w perfumerii w Małej Przytulnej?

– Tak. Znasz ich? – zdziwił się doktor.

– Znam to za dużo powiedziane. Czasem wysłuchuję, jak krzyczą na siebie, chodząc ulicami miasteczka. Krzyczą i kłócą się po francusku. No powiem ci, że słownictwo mają... hm... – Zamilkł, szukając odpowiedniego słowa. – ...bogate.

– O właśnie – zgodził się Maryński. – I tym bogatym słownictwem właśnie zaczęła mnie wyzywać, irytując się, że mam gabinet na trzecim piętrze.

– *Sacrebleu!* – krzyknął Kazimierz. – I co ty na to, gdy zaczęła cię wyzywać?

– Byłem zaskoczony. Najpierw jak durny się zastanawiałem, dlaczego ja ją w ogóle rozumiem. Powiem ci, że ten język jest dla mnie tak naturalny jak oddech... Ale tym bardziej nie spodziewałem się tego, że ktoś u nas w miasteczku mówi po francusku. I to językiem ulicy. Takim zwyczajnym, do jakiego byliśmy przyzwyczajeni w Paryżu... Słuchałem jak oniemiały, wręcz chłonałem jej słowa. Nawet mi się to spodobało. Powiedziała wszystko, ja wypisałem receptę, a jeszcze wcześniej rozmawialiśmy o tym, że Wenecja bez miłości jest smutna.

– Czyżby francuska dama zgodziła się z tobą?

– Generalnie tak. A potem powiedziała, że powinienem mieć inne perfumy.

– Inne perfumy? A jakie ty teraz masz?

– Wodę kolońską z supermarketu. Pierwszą lepszą.

– No to może i w tym miała rację. – Kazimierz się roześmiał. – Ona podobno znakomicie doбира perfumy. Gabrysia mi mówiła.

– Jaka znowu Gabrysia?

– No powiem ci, że nie wiem, jak to się stało, ale też jestem zaskoczony moim rozpasaniem towarzyskim.

– Zdecydowanie się rozpasales towarzysko – zgodził się pan doktor. – Oprócz Gabrysi jeszcze ktoś ośmiela się zakłócać twój spokój?

– Oprócz Gabrysi jeszcze do niedawna na pocztę nikt nie przychodził – powiedział cicho Kazimierz.

– Do niedawna?

– Tak. Bo ostatnio kilka razy przyszedł taki chłopiec, Antoś. I dlatego uznałem, że trzeba postawić tam dwa fotele. Naprawdę mam nadzieję, że oni kiedyś się u mnie spotkają.

– I będziecie mogli milczeć już we trójkę? – Doktor się roześmiał.

– Tak. Chociaż jemu chyba bardziej potrzebna jest rozmowa. Nie ze mną, bo ja rozmawiać nie umiem, tym bardziej z dziećmi. Z Gabrysią.

26. Pan Gburowaty vel Kazimierz

Święta Bożego Narodzenia w Wenezueli rozpoczynają się już 23 grudnia – w dniu zwanym Świętem Pasterzy. Wenezuelczycy przebierają się w tradycyjne stroje, tańczą i szukają małego Jezusa w szopkach, którymi często stają się ich domy. Kiedy my nasuwamy mocniej czapki na uszy i owijamy się szalikami, w Wenezueli bardzo popularne jest urządzenie świątecznego przyjęcia dla rodziny i przyjaciół na plaży. Można się tylko zastanowić, w jakim stroju na tę plażę przychodzi Mikołaj...

Kazimierz Polański nie planował zawierania nowych przyjaźni. Ba, nie planował nawet zawierania nowych znajomości, ale najwyraźniej los przewidział dla niego zupełnie inną przyszłość. Najpierw w jego życiu pojawiła się Gabrysia i ku swojemu zaskoczeniu z niecierpliwością wyczekiwał, kiedy dziewczynka przyjdzie do niego i opowie mu wszystkie plotki krążące w miasteczku, a potem, zupełnie niespodziewanie, któregoś dnia próg poczty przekroczył pewien chłopiec...

Był w wieku Gabrysi, może nieco starszy. Polański nie miał zbyt wiele do czynienia z dziećmi, więc trudno było mu oszacować. Chłopiec otworzył powoli drzwi, najwyraźniej chcąc zrobić to bezszelestnie, i niepewnie wszedł do środka. Sprawiał wrażenie, jakby się czegoś obawiał. Rozejrzał się wokół, ale nikogo nie zauważył. Kazik ukrył się jeszcze bardziej za pocztową ladą i regałami. Miał wrażenie, że chłopiec odetchnął z ulgą.

Rozpiął kurtkę i zdjął czapkę. Oczom Kazimierza ukazała się piękna ruda czupryna. Chłopiec przecesał swoje loki palcami i usiadł na krześle, na którym zwykle siadywała Gabrysia. Otworzył plecak i wyjął z niego książkę. Czytał ją, wydawałoby się z zainteresowaniem, nawet robił jakieś notatki. Potem najwyraźniej wypisał mu się długopis. Próbował go rozpisnąć, ale bezskutecznie. Wstał z krzesła, podszedł do półki, gdzie jeszcze niedawno Gabrysia tak skrupulatnie układała wszystkie notesy i liczyła długopisy. Sięgnął po jeden z nich. Sprawdził przyklejoną na pomarańczowej karteczce cenę. Wrócił na swoje miejsce, z plecaka wyciągnął portmonetkę i odliczoną kwotę położył na blacie, tuż obok

okienka pocztowego. Wciąż nie zauważył Kazika, który siedział w zupełnym mroku, w rogu pomieszczenia, ukryty za szafą z przesyłkami. Jedna z bibliotekarek, Malwina, najwyraźniej zamawiała już prezenty na święta dla połowy miasteczka, zatem niemalże wszystkie półki były zajęte.

Chłopiec siedział na poczcie przez kilka godzin. Kazimierzowi już zaczęło się nudzić tam w kącie, niemalże bez ruchu, ale nie dał znać o swojej obecności. Dzieciak najpierw czytał jakąś powieść, później robił zadania z matematyki, a następnie znowu wyciągnął książkę i sporządzał jakieś notatki. Na końcu założył słuchawki i oglądał coś, patrząc w ekran swojego telefonu, często przesuwając po nim palcem. Kazimierz nie miał pojęcia, co on wtedy robił.

W pewnej chwili chłopiec spojrział na zegarek, założył kurtkę, na głowę wsunął czapkę, omotał się dokładnie szalikiem i wybiegł na dwór. Mężczyzna przez chwilę się zastanawiał, czy powinien w jakiś sposób zareagować, coś powiedzieć, o coś zapytać, ale uznał, że nie będzie tego robił. Pewnie sytuacja się nie powtórzy.

Nie miał racji. Powtórzyła się. Chłopiec przyszedł do niego dwa dni później. I wszystko wyglądało mniej więcej tak samo. Usiadł na krześle i zajął się swoimi sprawami. Kazimierz nadal nie zareagował.

Za trzecim razem jednak, kiedy znowu zobaczył piękną rudą czuprynę przekraczającą próg poczty, postanowił dać znać, że jednak tutaj jest. Począł, aż chłopiec się rozgości i zanurzy w lekturze, po czym wstał i do niego podszedł. Dopiero wtedy dzieciak zauważył, że nie jest sam.

– Ja... Ja... – zaczął się jąkać. – Ja zaraz pójdę – powiedział, szukając czapki, która spadła mu na podłogę.

Kazik spojrział na niego i pokręcił głową.

– Spokojnie... Możesz tu siedzieć. Przyszedłem tylko zapytać, czy chcesz herbatę.

– Nie, dziękuję. – Chłopiec niepewnie pokręcił głową.

– Jestem Kazimierz. A ty jak masz na imię? – zapytał mężczyzna jeszcze do niedawna uważany za największego gbura (oprócz doktora Maryńskiego) w promieniu stu kilometrów.

– Ja... Ja... – jąkał się chłopak. – Ja jestem Antek. Dziękuję za herbatę. Ma pan może wodę?

Kazimierz pokiwał głową. Po chwili przyniósł chłopcu szklanekę wody i wrócił na zaplecze. Chłopak na początku niepewnie spoglądał w jego stronę, ale chyba się uspokoił, bo po chwili ponownie zatopił się w lekturze.

Tuż po czternastej spojrzął na zegarek. Zerwał się z miejsca, szybko się ubrał i wybiegł z poczty. Nie minęła minuta, jak wrócił. Stał tuż przed okienkiem, za którym siedział Kazimierz.

– Panie Kazimierzu... – powiedział cicho. – Ja bardzo pana proszę... moja mama nie może się dowiedzieć, że ja tu przychodzę.

Kazimierz milczał swoim zwyczajem.

– Bardzo proszę... – powtórzył chłopiec.

Spojrzał jeszcze raz na zegarek, który w ogóle nie przypominał zegarka, a statek kosmiczny, powiedział „do widzenia” i wybiegł.

Kazimierz zauważył pewną prawidłowość. Antek przychodził zawsze we wtorki i czwartki. We wtorki tuż po dwunastej i siedział do czternastej, a we czwartki był już około dziesiątej. Nawet się już przyzwyczaił do tych odwiedzin. Czuł tylko, że fajnie by było, gdyby Gabrysia i Antek się spotkali. Pewnie znaleźliby wspólny język. Z nim mogli przecież tylko milczeć.

– Dzień dobry – powiedział Antek, gdy przyszedł któregoś dnia. – Ojej! Fotele pan kupił! – Ucieszył się. – Jeszcze tylko brakuje stolika pomiędzy tymi fotelami, można by grać w szachy.

Kazimierz spojrzął na niego z zainteresowaniem. Grał przecież w szachy, i to całkiem niezłe. Maryński nie dawał już się namówić na partyjkę, bo nieustająco przegrywał, więc brakowało mu partnera do rozgrywek. Nie sądził, by ten chłopiec mógł dorównać Maryńskiemu, ale zawsze można było zabić nudę.

– Grasz w szachy? – zapytał.

– Gram – odpowiedział Antek.

Tego dnia, kiedy Polański przyniósł z domu stolik – dla Gabrysi na herbatkę, a dla Antka do gry w szachy – drzwi punktu pocztowego się otworzyły i wkroczyła do niego kobieta. Już od samego progu poczuł zapach perfum i usłyszał stukanie szpilek. W przeciwieństwie do swojego przyjaciela, doktora Maryńskiego, który kochał kobiece stopy obute w szpilki, on zupełnie nie rozumiał, czemu kobiety z własnej woli sobie to robią. Stukanie umilkło, gdy nieznajoma podeszła do okienka. Dopiero

wtedy podniósł wzrok i zauważył, że obok niej stał Antek i patrzył błagalnie na Kazika.

– Dzień dobry. Chcę odebrać przesyłkę. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego listonosz mi jej nie przyniósł, cały dzień jestem w domu. Awiza nawet nie zostawił, tylko dowiedziałam się, że już czeka na mnie na poczcie, z maila, który wysłał mi sprzedawca.

– Tu listonosz nie chodzi zbyt często – powiedział Kazimierz.

– No właśnie zauważyłam – westchnęła. – W przypadku tej przesyłki to bardzo ważne, by szybko do nas dotarła, prawda, Antoni?

Antek niepewnie skinął głową, nie spuszczać wzroku z Kazimierza.

– Przeprowadziliśmy się tutaj całkiem niedawno, niestety musieliśmy zrezygnować z poprzedniej szkoły na rzecz jakiejś... jakiejś innej. Dużo gorszej. Nie ma francuskiego, nie ma niemieckiego, nie ma rozszerzonego polskiego. Powiem panu, mizernie. – Z niesmakiem pokręciła głową. – Ale my wszystko nadrobimy, uzupełnimy. Prawda, Antoni?

Antek pokiwał głową, zupełnie nie patrząc na matkę.

– Na szczęście ucieszyłam się, bo historia stoi dość wysoko. Antoni będzie prawnikiem, gdy dorośnie, więc historia przyda mu się jak najbardziej.

Kazimierz wyraźnie zauważył, jak chłopiec zeszywniał. Dałby sobie rękę uciąć, albo nawet obie, że historię Antoni miał właśnie we wtorki i we czwartki, kiedy to spędzał czas u niego.

– Z historią mamy pewne problemy, ale... Nadrobimy, prawda, Antoni? – powiedziała kobieta, patrząc w komórkę. – Chwileczkę...

Odeszła od okienka i rozmawiała przez telefon ściszym głosem. Antek w dalszym ciągu pytająco patrzył na Kazimierza. Ten pokiwał głową. Chłopiec odetchnął z ulgą i spojrzał na matkę, kątem oka dostrzegając stół, na którym stały stare szachy Kazimierza. Popatrzył na mężczyznę, a jego twarz rozpromienił uśmiech.

– W tej przesyłce są książki do historii, dodatkowe – powiedziała mama Antoniego, gdy skończyła rozmowę. – Uznałam, że powinien się więcej uczyć. Historię Tudorów spróbujemy przyswoić po angielsku. Pani Czerepko nie zna angielskiego, ale tutaj akurat ja ci pomogę. Albo może znajdziemy kogoś online. No cóż, będę wiedziała, że mam przychodzić sama, gdy coś zamówię. Albo przyślę Antoniego. Czy w drodze wyjątku wyda mu pan przesyłkę?

– Do odbioru przesyłki musi być osoba pełnoletnia.

– Wiem, jestem prawnikiem. – Uśmiechnęła się słodko i nawet sympatycznie. – Znam zasady, ale... wie pan, czasami można przepisy zinterpretować zupełnie inaczej. Albo nie dojrzeć daty urodzenia na dowodzie... Prawo nie jest tak jednoznaczne, jakby się wszystkim wydawało. Chodź, Antoni, czeka cię dzisiaj jeszcze sporo pracy.

Kiedy drzwi się zamknęły za tą dwójką, Kazimierz westchnął. Antoś najwyraźniej nie miał lekko w domu. Przychodził do niego, bo przed czymś uciekał. Przed matką też, ale przed panią Czerepko w szczególności.

Miał rację. Antek przyszedł do niego w kolejny wtorek, najwyraźniej w czasie lekcji historii.

– Dziękuję panu, że pan nie powiedział mojej mamie, że zwiewam z lekcji – westchnął. – Nienawidzę pani Czerepko. Nienawidzę historii. Jest nudna jak flaki z olejem.

Kazimierz spojrzał wnikliwie na chłopca. Też w szkole nie przepadał za historią, wolał inne przedmioty, dopiero potem zaczęła go interesować, ale żeby zaraz nudna jak flaki z olejem?

– Boję się jej. Tej nauczycielki. Nie mogę oddychać, jak ona na mnie patrzy i do mnie mówi. I stwierdziłem, że lepiej jakbym oddychał, bo bez oddechu można umrzeć. Więc uciekam. Kiedy ona coś do mnie mówi, ja tak jakoś się zatykam. I raz tak już miałem, wtedy zaczęła na mnie krzyczeć, że mam przestać udawać. Wtedy wybiegłem do łazienki, umyłem twarz i chyba przeżyłem tylko dlatego, że przypomniałem sobie partię szachową Capablanca–Mattison z Karlsbadu z 1929 roku. To dość krótka partia. Kończy się poddaniem Mattisona. Ale odtworzyłem ją całą w pamięci i od razu było mi lepiej.

Kazimierz nie miał pojęcia, co ma powiedzieć na to wszystko, więc nie powiedział nic. Przerabiał swego czasu większość partii Capablanki, ale był zdumiony, że ten chłopiec również je znał. Wtedy pierwszy raz pomyślał, że nie będzie lekko. Skinął na niego głową i wskazał fotele i rozłożone szachy. Nie spodziewał się zbyt wiele po grze, aczkolwiek zapaliła mu się w głowie lampka ostrzegawcza, którą od razu zlekceważył. Chciał po prostu zrobić chłopakowi przyjemność. Wziął do lewej dłoni biały pionek, a do prawej czarny i ukrył dłonie za plecami. Chwilę przekładał pionki z jednej ręki do drugiej, po czym wystawił dłonie przed siebie.

Antek wylosował czarne. Kazimierz zaczynał. Postawił pionka na E4. Antek, nie zastanawiając się, odpowiedział pionkiem na C6. Obrona Caro-Kann czy przypadek? Kazimierz wyjątkowo nie lubił tego ustawienia.

Po kilku ruchach zauważył, że nie będzie tak łatwo, jak przypuszczał. Po dość wyrównanej rozgrywce, trwającej dobrą godzinę, uznał, że najlepszym wyjściem będzie remis.

– Proponuję remis. – Ciężko westchnął, spoglądając chłopakowi w oczy. Był pewien wygranej i dzieciak go ogromnie zaskoczył.

Antek siedział nad szachownicą i dłuższą chwilę myślał.

– Dobrze. Pan umie grać w szachy – powiedział z niemałym zaskoczeniem, ale też podziwem.

– Umie – przyznał Kazimierz. – Ale dawno już nie miałem równego sobie przeciwnika.

Potem zegrali jeszcze raz. Kazimierz wygrał, ale nie było lekko. Chłopak robił czasem głupoty, podstawiał figury, ale ewidentnie radził sobie bardzo dobrze.

– Kto cię tak nauczył grać? – zapytał Kazik.

– W poprzedniej szkole było kółko szachowe. I grałem. Potem w turniejach. Zdobyłem trzecią kategorię i potem się tu przenieśliśmy – westchnął Antek.

– I nie uczysz się już?

Pokręcił głową.

– Miałem lekcje online, ale teraz mama nie pozwala.

– Bo?

– Bo mam zostać prawnikiem. Uczyć się polskiego, historii i innych rzeczy niezbędnych do tego, by dostać się na prawo. Szachy są zbędne i wymagają dużo czasu. Mama mówi, że ja ciągle siedzę w telefonie, że życie marnuję. A ja po prostu gram tam, bo nie mam z kim. – Spojrzał na Kazimierza uważnie. – Nie miałem... – dodał cicho, patrząc na niego wyczekująco.

– Jak będziesz do mnie przychodził, będziemy grać.

Chłopiec skinął głową. W jego oczach Kazimierz zobaczył radosne ogniki.

– W przyszłym tygodniu we czwartek nie mogę. Mam sprawdzian – westchnął. – Chociaż w sumie nie ma znaczenia, czy na niego pójdę. I tak dostanę jedynekę.

– Z czego?

– Historia. Zimna wojna.

– *Szachy to wojna. Ich celem jest zniszczenie umysłu przeciwnika.*

Chłopiec spojrział na Kazimierza, nic nie rozumiejąc.

– To nie ja powiedziałem. To Bobby Fischer. – Zerknął na zegarek. – Znasz?

– Pewnie – powiedział Antek.

– Dobra, chyba już nikt tutaj nie przyjdzie. – Wstał z fotela. – Poczekaj chwilę.

Zniknął na kilka minut na zapleczu. Wrócił, trzymając niewielką zapisaną kartkę. Schował ją do kieszeni.

– Chodź, gdzieś pójdziemy.

Antek założył kurtkę i czapkę, Kazimierz również zarzucił na siebie płaszcz i wyszli razem z punktu pocztowego. Po chwili mężczyzna się cofnął, jakby sobie o czymś przypomniał.

– Poczekaj chwilę.

Nie minęła minuta, jak wrócił, trzymając torbę z jakimiś paczkami.

– Pomogę panu – zaproponował Antek.

Mężczyzna skinął głową i wręczył pakunek chłopcu.

– Chodź w tamtą stronę. – Wskazał górę ulicy.

27. Malwina

Święty Mikołaj był biskupem Miry Licyjskiej (dzisiejsza Turcja). Żył na przełomie III i IV wieku n.e. Jego rodzice długo nie mogli mieć dzieci i w końcu zdarzył się cud – narodził się ich wyczekiwany syn.

Mikołaj był jedynakiem i odziedziczył po rodzicach znaczny majątek. Postanowił pomagać potrzebującym i rozdawał swoje dobra, dzięki czemu zdobył sławę. Zmarł 6 grudnia. Na pamiątkę tego dnia obecnie obchodzone są mikołajki.

Malwina pełniła samotny dyżur w bibliotece. Wtorkowe popołudnia należały do jej ulubionych. Była sama i mogła w spokoju zajmować się zamawianiem książek. Ten dzień był szczególnie, bo dostała dość dużą dotację i gdy tylko pozostałe „dziewczęta” poszły do domu, usiadła przed komputerem i przeglądała nowości wydawnicze. Zamawiała głównie to, o co pytali czytelnicy. Czuła się jak dobra wróżka, bo spełniała ich marzenia. Często przy wyborze kierowała się również własnym gustem literackim i modą.

W bibliotece były już wszystkie potrzebne lektury szkolne, więc nie musiała ich kupować. Na szczęście, bo w tej kwestii miała wyrobione zdanie. Uważała, że lektury są źle dobrane i przyczyniają się do tego, jak kiepsko wygląda czytelnictwo wśród młodzieży. Gdyby dzieciakom podsunąć powieści, które je zainteresują, natychmiast by się zakochały w książkach. A tak, męczą się nad tymi wszystkimi smętami. Wzdrygnęła się. Trauma po niektórych lekturach trwała u Malwinki do dziś. Halinka miała do nich inne podejście, ale ona zdecydowanie kochała się umartwiać. Tymczasem Malwina na stare lata odkryła, iż jest hedonistką i lubiła wyłącznie cieszyć się życiem.

We wtorki po południu do biblioteki przychodziło niewiele osób, szczególnie tuż przed zamknięciem. Dlatego też zdziwiła się, gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi i po chwili w wypożyczalni pojawili się mężczyzna i chłopiec. Tego starszego poznała od razu. Pracował na poczcie. Odbierała od niego często przesyłki, więc go kojarzyła. Nigdy nic nie mówił. Ostatnio widziały go też w restauracji, gdzie zajął ich stałe miejsce. Halinka się

zdenerwowała, ale przecież on mógł nie wiedzieć, że zawsze tam siadały. To Halinka zachowała się nieodpowiednio, siadając obok niego, nawet nie zapytawszy o zdanie. O śledziach i śmierdzącym serze Malwina już nawet nie chciała myśleć, bo wywoływało to w niej emocje podobne do tych pojawiających się na myśl o niektórych lekturach obowiązkowych ze szkoły podstawowej i średniej.

Chłopca nie znała. Chyba go nigdy wcześniej nie widziała. Halinka mówiła, że na końcu miasteczka ktoś się wprowadził do tego nowo wybudowanego domu. Wspominała, że jakaś bardzo zajęta biznesmenka czy prawniczka, która wciąż rozmawia przez telefon i nawet nie patrzy, gdy kogoś mija na ulicy. Nie mówiła nic, że ta kobieta wprowadziła się z rodziną.

– Dzień dobry – powiedział chłopiec.

– Dzień dobry. – Malwina uśmiechnęła się do niego ciepło.

Mężczyzna z poczty coś mruknął. Chyba miało to znaczyć „dzień dobry”. Nic nie mówiąc, wziął od chłopca torbę wypełnioną po brzegi jakimiś paczkami.

– O! Dziękuję, że się osobiście pofatygowaliście! – Bibliotekarka wyraźnie się ucieszyła. – Zamówiłam prezenty świąteczne – dodała, rumieniąc się. – Mam już prawie wszystkie.

Mężczyzna nie zareagował na jej słowa, tylko wyjął z kieszeni kartkę, rozłożył i podał ją Malwinie. Ta włożyła inne okulary i cicho zaczęła czytać listę.

– Mam chyba tylko tę jedną. Zresztą zaraz jeszcze sprawdzę.

Podeszła do komputera i zaczęła wystukiwać tytuł po tytule. Tak, niestety, z poszukiwanych przez mężczyznę książek w bibliotece była tylko jedna. Po chwili ją przyniosła.

– Chce ją pan wypożyczyć? – zapytała.

– Tak. – Skinął głową.

Mężczyzna miał miły i ciepły głos. Zupełnie nie pasował do wizji upiora, którą raczyła je Halinka od czasu ich ostatniego piątkowego wyjścia.

– Poproszę o dokument tożsamości. Muszę założyć panu konto.

Mężczyzna wyjął dowód z portfela. Malwina szybko zarejestrowała jego dane, po czym wręczyła mu kawałek plastiku przypominający kartę kredytową. Obejrzał go z każdej strony.

– To karta do biblioteki. Ale w Małej Przytulnej się wszyscy znamy, więc jak pan będzie czegokolwiek potrzebował, panie Kazimierzu, to po prostu

proszę przyjść i panu wypożyczymy. – Uśmiechnęła się. – Nawet jak pan nie weźmie ze sobą tej karty, nie będzie problemu. Przykro mi tylko, że nie mam wszystkich książek, których pan szuka.

Kazimierz skinął głową. Wziął od niej książkę i dał od razu chłopcu.

– Poczytaj. Szczególnie o meczu stulecia. Fisher kontra Spasski z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku.

Chłopiec spojrział na niego, najwyraźniej nic nie rozumiejąc. Malwina również nie miała pojęcia, o co chodzi.

– Zimna wojna to też szachy – dodał mężczyzna cicho. – Poczytaj i możesz spokojnie iść na tę historię.

– Ale mam czytać o szachach? – zdziwił się Antek. – Nie o historii?

– Stąd się nauczysz dużo więcej. A w każdym razie na pewno cię to zainteresuje.

– Mama mi nie pozwoli... Będzie mi się kazała uczyć z podręcznika...

Kazimierz spojrział na Malwinę. Kobieta w jego oczach zobaczyła niemą prośbę.

– Ja jeszcze nie zamykam, możesz sobie posiedzieć w czytelni i tutaj poczytać – zaproponowała.

W głowie jej się nie mieściło, że ktoś mógł komuś zabronić czytania książki.

Kazimierz spojrział na nią z wdzięcznością. Zdecydowanie nie był takim gburem, za jakiego uważała go Halinka. To, że jest sympatyczny, to może za dużo powiedziane, ale z pewnością miał zadatki na kogoś miłego w przyszłości. Dalekiej przyszłości.

– Do widzenia – powiedział mężczyzna. – Czekam we wtorek – zwrócił się do chłopca. – I na wtorek partia Capablanca–Nimzowitsch z Bad Kissingen z tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku. Na pamięć.

Chłopak skinął głową.

Malwina miała wrażenie, że jej dzisiejsi goście mówią jakimś szyfrem. Pan Kazimierz wyszedł z biblioteki, a chłopiec został.

– Zrobić ci herbatki? Albo napijesz się soku?

– Soku z przyjemnością. – Uśmiechnął się.

– Ja jestem Malwina, a jak ty masz na imię?

– Antoni. Przepraszam, że się wcześniej nie przedstawiłem. – Chłopak się zmieszał.

– Ja też tego nie zrobiłam. – Malwina machnęła ręką. – Więc jeden do jednego – dodała, patrząc na książkę o szachach, którą trzymał w rękach. –

Ty sobie poczytaj, a ja ci przyniosę soku. Muszę jeszcze trochę popracować, więc mamy czas.

Kiedy Malwina stawiała przed nim szklanę, nawet nie zauważył, że podeszła, tak był zaczytany. Dla niej był to najpiękniejszy widok na świecie. Tematyka książki, którą Antek czytał, kompletnie jej nie interesowała, ale wierzyła, że kogoś może zaciekawić. Nawet Anatol kiedyś mówił, że całkiem niezłe grał w szachy. Kto wie, może w końcu się zorganizuje tutaj jakiś męski klub? Tylko czy to dobry pomysł? Malwina jeszcze nie miała zdania na ten temat, chociaż czuła, że tak jak ona lubiła czasem spotykać się z „dziewczętami”, tak i Anatol odżyłby trochę, gdyby miał męskie towarzystwo. Może ten Kazimierz z poczty faktycznie nie był takim mrukiem, za jakiego miała go Halinka?

Usiadła przy biurku i odblokowała ekran. Spojrzała jeszcze raz na kartkę z listą, którą zostawił jej pan Kazimierz Polański. Zmrużyła oczy, lekko się krzywiąc. Naprawdę się nie spodziewała, że ktokolwiek mógłby być zainteresowany takimi książkami.

Popatrzyła na pozycje, które miała już w koszyku. Jeżeli dołożyłaby tę z listy od pana Polańskiego, musiałaby z czegoś zrezygnować. Westchnęła. Poczowała całą sobą, że lepszym wyborem będzie kupienie książki o szachach niż kolejnego wydumanego romansu dla nastolatek. Tym bardziej że w Małej Przytulnej nastolatek nie było zbyt wiele, a szachistów, jak się okazało, co najmniej dwóch. Z Anatolem licząc, nawet trzech. Gabrysia była nastolatką i czytała sporo, ale ona wybierała inne książki.

Malwina uznała, że napisze kolejną prośbę o dotację i z pewnością ją dostanie. To kupi wtedy coś innego. Specjalnie dla Gabrysi, cokolwiek ona będzie chciała. A jeżeli ta książka o szachach miałaby kogoś uszczęśliwić, to dla czego nie. Ten chłopiec wyglądał na takiego, który potrzebował trochę radości w życiu. Spojrzała na kartkę i zdecydowała, że kupi jeszcze jedną pozycję na bibliotekę, a kolejną za swoje. Będzie jak znalazł na prezent świąteczny.

Popatrzyła jeszcze raz na chłopca. Antek właśnie coś sprawdzał w telefonie. Chyba wyczuł na sobie jej wzrok, bo zerwał się z miejsca, przybiegł do niej i coś jej próbował pokazać. Malwina nie wiedziała, na co patrzy, tym bardziej że telefon już się zablokował i widziała tylko czarny ekran.

– Pani Malwino! Czy pani zdaje sobie sprawę, że pan Kazimierz Polański ma FIDE dwa dwieście?

Malwina nie miała pojęcia, co to znaczy, że pan Kazimierz ma dwa dwieście, ale widząc zaskoczenie na twarzy chłopaka, postanowiła również się zdziwić.

– Naprawdę? – zapytała zatem tonem niezmiernie zdumionym.

– Naprawdę! – wykrzyknął chłopak z zachwytem. – Znalazłem jasny punkt w ciemnym lesie, proszę pani. A myślałem, że nie ma na to szans!

Książki przysły we czwartek. Malwina wpisała je do zasobów bibliotecznych i poszła zanieść do punktu pocztowego. Niestety ten już był zamknięty, postanowiła więc załatwić sprawę następnego dnia. Wprawdzie nie pracowała, ale wieczorem miała spotkanie z Halinką i Balbinką w restauracji. Jak zawsze w piątkowy wieczór. Podświadomie czuła, że i tym razem spotkają tam pana Kazimierza. Schowała książki do torby, tej samej, w której we wtorek dostała zamówione prezenty gwiazdkowe, i zabrała je do domu, by nazajutrz zanieść mu do restauracji. Oczywiście tę książkę, którą kupiła w prezencie dla Antka, schowała w kartonie razem z innymi podarunkami. Zaczeka na święta. Niektóre prezenty już były zapakowane. Nie lubiła zostawiać sobie tego na ostatnią chwilę.

Kochała święta i przygotowania do nich. Starła się, by przebiegały harmonijnie, w cudownej atmosferze. Tuż po Wszystkich Świętych robiła ciasto na piernik, mimo iż sama go nie lubiła. Piekła natomiast pierniczki, które ślicznie dekorowała i obdarowywała nimi połowę miasteczka. Jakby tak się zastanowić, to wołała przygotowania od samych świąt. Bo one tak szybko mijały. To tak jak niedziela była już zapowiedzią poniedziałku...

Do niedawna święta spędzała razem z Halinką i Balbinką. Teraz będzie zupełnie inaczej... Mieszkała przecież z Anatolem, a Balbinka randkowała przez telefon – w zasadzie nie wiadomo z kim, bo jeszcze im się z tego nie zwierzyła – więc też będzie chciała z nim posiedzieć. A Janek? Przecież Janka też zawsze zapraszały. Bez niego święta nie mogły się udać, bo zawsze tak pięknie grał kolędy. A teraz... sympatyzował z tym Francuzem. Już się nawet z tym nie kryli. To zapewne będą chcieli być razem. Jak Janek, to i Jeaninne, a potem Laura, Adrian, Gabrysia... I zaraz się zrobi pół miasta! I gdzie ich wszystkich pomieścić? Jedynie w restauracji Jadwigi. A może faktycznie tym razem zrobić jedno wielkie święta? Takie z prawdziwego zdarzenia? Tak żeby byli wszyscy?

Malwina nie mogła się doczekać, kiedy się tą informacją podzieli z przyjaciółmi. To był przecież genialny pomysł!

Czasami bywa tak, że pomysły bywają genialne, ale na moment, w którym się człowiek może nimi podzielić z innymi, trzeba trochę poczekać. Tak było i tym razem. Malwinka nieco spóźniona weszła do restauracji Jadwigi. Przywitała ją nietęga mina właścicielki i staruszka już od progu wiedziała, że to nie jest dobry moment na to, by się dzielić radosnymi wieściami, że w tym roku wszyscy w miasteczku spędzą święta razem. Tym bardziej że przy stoliku w rogu sali siedzieli Halina wraz z panem Kazimierzem. Przed nią stały śledzie, przed nim dwa ciastka z kremem i bigos, który z apetytem właśnie konsumował. Po chwili Jadwiga doniosła jeszcze filiżankę.

– Proszę, czarna kawa dla pana.

– Czarna jak jego dusza – syknęła Halinka.

Mężczyzna oczywiście nie zwrócił uwagi na jej słowa, tylko wyciągnął z torby książkę. Tym razem było to jakieś stare tomiszczce z szachami na okładce.

– Pfff – prychnęła Halina.

– Tu mnie pani nie zaskoczy zakończeniem. Wszystkie je znam.

– Gwarantuję panu, że niejedno zakończenie jeszcze pana zaskoczy.

– Czego pani i sobie życzę – uprzejmie dodał Kazimierz.

Malwina westchnęła. Najbardziej na świecie nie lubiła, gdy ludzie się kłócili. Halinka i Kazimierz pozornie byli dla siebie mili, ale mimo wszystko całym ciałem odczuwała tę przykrą atmosferę wokół. Powietrze można było nożem kroić...

– Panie Kazimierzu, przyniosłam książki dla Antka – powiedziała. – Na razie tylko dwie, ale będę o nim pamiętać przy kolejnych zamówieniach.

Nie chciała patrzeć ani na Kazimierza, ani na Halinę, bo musiałaby chociaż spróbować ocenić, kto był bardziej zdziwiony tym, że Malwina podeszła do stołu i wręczyła pakunek.

– Malwino! Co to za spiskowanie? – fuknęła Halina.

– Pani Malwino, dziękuję serdecznie – jednocześnie odparł Kazimierz.

Malwina bez słowa wycofała się raczkami i usiadła przy stoliku obok okna.

– Ona się nie będzie do nas przyznawać? – zapytała szeptem Balbinę. – Będzie już zawsze z nim tam siedzieć?

– A przestań! – Balbinka machnęła ręką. – Halina o piętnastej zadzwoniła do Jadwigi, by zarezerwować ciastko. I dowiedziała się, że ten facet ją ubiegł.

– Kazimierz Polański – podpowiedziała Malwina.

Balbina spojrzała na nią pytająco.

– Zapisał się do biblioteki we wtorek.

– I czemu nic nie mówiłaś?

– A, bo byłoby gadanie...

– No racja.

– I pierwszy zamówił to ciastko?

– Tak. Najwyraźniej wpadli na ten sam pomysł z tą rezerwacją.

– A Jadwiga nie miała ich więcej? Przecież obiecała, że wystarczy dla wszystkich.

– Miała. I jak on zadzwonił, to szczerze powiedziała, że na szczęście przygotowała tyle ciastek, że wystarczy dla każdego. To on zapytał ile! I złośliwie zamówił wszystkie. Wszystkie dwa.

– Mści się za to zakończenie – westchnęła Malwinka. – To, które mu zdradziła Halinka.

– Albo ma trudny charakter.

– Trudny charakter to ma nasza Halinka. On jest miły. Rozmawiałam z nim chwilę, gdy był w bibliotece. Z takim chłopcem...

– Z jakim znowu chłopcem?

– To chyba syn tej biznesmenki, która wprowadziła się do nas ostatnio.

– Nie wiedziałam, że ona ma syna.

– Ja też nie.

– Ale wracając do tematu... – dodała cicho Balbinka, zerkając, czy Halinka nie podsłuchuje. – Ja myślę, że trafił swój na swego. Oni są siebie warci. Bo Halinka zapytała, na którą pan Kazimierz zamówił te ciastka. My się zawsze spotykamy o osiemnastej, a on zamówił je na siedemnastą. I co zrobiła Halinka?

– Przyszła już o szesnastej? – Malwina parsknęła śmiechem.

– Tak! Sterczała przy tym stoliku już dwie godziny przed naszym spotkaniem.

– A biblioteka?

– Powiedziała mi, że musi wcześniej wyjść w ważnej sprawie prywatnej. O! I widzimy.... – Balbina wskazała Halinę i Kazimierza. – Widzimy jej sprawę prywatną w całej okazałości.

Tamtego dnia zdecydowanie nie udało im się to babskie spotkanie. Malwina już w pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, czy nie byłoby dobrym pomysłem, by podzielić restaurację na część damską i męską. Mieliby przynajmniej święty spokój. Jednak potem uznała, że nie po to feministki walczyły o równość, by teraz się alienować.

Kiedy już sama sobie to wszystko wytłumaczyła, drzwi restauracji się otworzyły i do środka jak po ogień wpadła Gabrysia.

– Mama potrzebuje pomocy! – zawołała dramatycznie.

Oczywiście wszyscy, nawet Polański, się zerwali, by pobiec z Gabrysią. Jadwiga chciała dzwonić po Dominikę, ale Gabrysi zupełnie nie o to chodziło...

– Mama potrzebuje pomocy w postaci bigosu i ciastka z kremem! – zawołała. – Natychmiast!

Prawie wszyscy odetchnęli z niekłamaną ulgą. Tylko Jadwiga z niepokojem spojrzała na stolik, przy którym siedzieli Kazimierz i Halina, a na którym stały dwa nietknięte jeszcze ciastka z kremem.

– Bigos mam – powiedziała, wręczając Gabrysi pudełko po lodach. – Ale ciastka z kremem się skończyły. – Spojrzała niepewnie w stronę Kazimierza.

Gabrysia natychmiast pobiegła do stolika.

– Kaziku kochany, czy ty na nie naplułeś? – zapytała, patrząc na niego z nadzieją. – Wiesz, myślę, że nawet jak naplułeś, to moja mama mogłaby je zjeść, o ile by tego nie wiedziała, ale ja byłabym spokojniejsza, gdybyś jednak tego nie zrobił.

Zaskoczony Kazimierz pokręcił głową.

– Jakie to szczęście. – Gabrysia wyraźnie odetchnęła z ulgą. – Czy zatem mógłbyś mi sprzedać te dwa ciastka dla mojej mamy, Kaziku? –

Dziewczynka zaczęła wyciągać drobniaki z kieszeni. Miała też kilka pomiętych dziesięciozłotówek. – Więcej nie mam, ale one są warte każdej ceny, Kaziku!

– Weź je, Gabrysiu. Ja je po prostu twojej mamie podaruję. Są nietknięte, nikt na nie nie napluł. Tylko musimy panią Jadwigę poprosić, żeby je zapakowała do kartonika. – To była chyba najdłuższa wypowiedź w wykonaniu pana Kazimierza, jaką wszyscy kiedykolwiek usłyszeli. – Gabrysiu, czy możesz przyjść do mnie we wtorek albo czwartek?

– Pomilczeć? – zapytała rzeczowo. – Z ochotą. Z panem się milczy najprzyjemniej na świecie.

– Niekoniecznie. – Kazimierz pokręcił głową. – Chciałbym, byś kogoś poznała i zdecydowanie nie milczała.

Gabrysia oczywiście się zgodziła, zabrała siatkę z bigosem i ciastkami i pobiegła do Laury.

– Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta – westchnęła z żalem Halina.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale drzwi do restauracji znowu się otworzyły i wszedł niepewnym, a w zasadzie bardzo chwiejnym krokiem Pierre, a zaraz za nim wyraźnie zawstydzony, aczkolwiek również zataczający się Jan, próbujący powstrzymać przyjaciela przed wejściem do lokalu.

– *Bonne soirée!* – krzyknął najwyraźniej kulturalny w każdych okolicznościach francuski arystokrata. – *Whisky? Cigarettes? Piano Bar?* Nie żaba, nie zupa ślimak. Żaba rozumi! Ślimak rozumi! Jadwiga! –

Ucieszył się na widok właścicielki. – Zupa po-mi-do-ro-wa! – zawołał z francuskim akcentem.

– I dostali tę zupę pomidorową! Ale najgorsze jest to, że zamiast wspólnej Wigilii mamy jakieś geriatryczne wyścigi o fotel przy stoliku, Anatolu – opowiadała rozemocjonowana Malwina, gdy wróciła do domu. – Ja zupełnie tego nie rozumiem! Ani jego, ani jej. W ogóle przestaję rozumieć ten świat. I przestaję rozumieć cokolwiek, bo do stolika Halinki i Kazimierza przysiadł się kompletnie pijany Janek ze swoim równie pijanym francuskim przyjacielem. Okazało się, że pan Kazimierz zapomina języka w gębie, ale tylko po polsku! Po francusku mówi jak nakręcony! Godzinami może mówić! Halinka siedziała między tymi trzema facetami w zupełnej ciszy. Wyobrażasz sobie Halinkę milczącą?

– Nie bardzo – przyznał Anatol.

– No właśnie. Ja też nie. A jednak, sama widziałam. My poszłyśmy w końcu do domu, a ona nadal tam tkwiła.

– I co?

– I nic! My z Balbinką podejrzewamy, że ona postanowiła siedzieć tam aż do kolejnego piątku, by pan Kazimierz jej znowu nie zajął miejsca. Znając Halinkę, zdecydowanie byłaby do tego zdolna! – podsumowała Malwina.

28. Halina

Fińskie Boże Narodzenie jest dość podobne do polskiego – jest wigilijna wieczerza, choinka i prezenty. Nie jesteśmy jednak chyba zdziwieni, że Finowie również w Wigilię korzystają z sauny. Wierzą oni, że kąpiel parowa da im oczyszczenie na cały rok, zarówno ciała, jak i ducha. Zgodnie z tradycją po zmroku w saunie nie powinien już nikt przebywać, by zostawić miejsce dla duchów zmarłych.

Halinka, ku swojemu zaskoczeniu, tamtego dnia z restauracji Jadwigi wyszła bardzo późno, na dodatek pełna skrajnych i zupełnie nieznanym sobie emocji. Nie wiedziała, jak porozmawiać o tym z przyjaciółką, zatem zaczęła z zupełnie innej strony.

– Ta Jadwiga to sama nie wie, czego chce – powiedziała do Balbiny.

– To znaczy? – zapytała Balbina, układając książki.

– No właśnie nie wiadomo. Najpierw marudziła, że ma za mało gości, potem, gdy wszyscy zaczęliśmy przychodzić do restauracji, okazuje się, że jest ich za dużo. Zawsze coś nie tak.

– A ty, Halinko, wiesz, czego chcesz?

– No właśnie ze mną jest jeszcze gorzej – westchnęła. – Ja generalnie bardzo dobrze wiem, czego chcę, ale jest zupełnie inny problem! Jednego dnia chcę czegoś i jestem tego w stu procentach pewna, a drugiego dnia zupełnie czegoś innego.

– Na przykład? – Balbina kompletnie nie rozumiała filozoficznych wywodów przyjaciółki.

– Na przykład jednego dnia Kazimierz Polański mnie bardzo denerwuje i chciałabym, by Jadwiga dorzuciła mu do obiadu cyjanku, a przynajmniej środków przeczyszczających, a drugiego... zupełnie odwrotnie. – Zamyśliła się. – Bo to całkiem miły i szarmancki mężczyzna.

– Miły i szarmancki mężczyzna? – Balbina zakrztusiła się kawą, którą właśnie piła.

– I jak jeszcze niedawno chciałabym, by ona mu dosypała do zupy czegoś obrzydliwego, tak teraz bym sama mu nasypała czegoś.

– Czego?

– Lubczyku... – westchnęła rozanielona. – I czy wiedziałaś, że ostrygi są znakomitym afrodyzjakiem? To podobno we Francji jedzą. Jestem ciekawa, czy Jadwiga potrafi przyrządzić ostrygi. Wzbrania się przed żabami i ślimakami, no ale przecież trzeba poszerzać horyzonty, prawda?

Balbina jęknęła. Niczego już nie mogła być pewna na tym świecie. Nawet stałości uczuć Halinki. A to się porobiło!

– Czy są ostrygi? – zapytała Halina, gdy tylko weszła do restauracji.

Jadwiga pobladła.

– Już mówiłam – odparła kategorycznie. – Żadnych żab, ślimaków ani skorupiaków.

– Dobra, dobra. Tak tylko pytałam.

– A ty lubisz ostrygi? – zdziwiła się Jadwiga.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała zgodnie z prawdą Halinka. – Ale w życiu trzeba przecież różnych rzeczy spróbować. Także i tych, przed którymi się cały czas wzbranialiśmy... – dodała zamyślona.

Jadwiga, spoglądając na nią, naprawdę miała poważne wątpliwości, czy Halinka mówi o ostrygach, czy o czymś zupełnie innym. Westchnęła. Świat się jednak nieustannie zmienia.

Wszystko się pozmieniało. Jadwiga jeszcze nie miała zdania, czy na gorsze, czy na lepsze, ale z pewnością było inaczej. Ostatnio odnosiła wrażenie, że w jej restauracji było największe zagęszczenie ludności na metr kwadratowy w okolicy. Mroziła różne potrawy, by wszystkich nakarmić, gdy przyjdzie pora. Modliła się przy tym w duchu, by nie zawitała do niej kiedyś Magda Gessler i nie zrobiła porządku ze wszystkimi mrożonkami. Bo przecież w restauracji musi być wszystko świeże. Było! Było przecież świeżo mrożone!

Wydawało się jej, że całe życie towarzyskie Małej Przytulnej przeniosło się właśnie do niej. Już wszyscy wiedzieli, gdzie powinni schować klucz, gdy nasiadówka im się przedłużyła, a bar stał się niemalże barem

samoobsługowym. Jan nawet nauczył się obsługiwać kasę fiskalną i kiedy jej nie było, nabijał paragony i przyjmował płatności kartą.

– Nie ma whisky – nieustannie narzekał Pierre.

Jadwiga zdecydowanie musiała pomyśleć o koncesji na alkohol. Nie była jego zwolenniczką, ale wyznawała zasadę, iż wszystko jest dla ludzi, o ile ci ludzie stosują to z umiarem.

Przekonała się trochę do tych Francuzów. Najważniejsze iż nie kazali jej przygotowywać żab, ślimaków i innych dziwnych stworzeń, których miejsce jest w morzu albo innym zbiorniku wodnym. Co innego Halinka, która zażądała ostryg. Też coś! To chyba było jeszcze gorsze niż żaba.

Dla odmiany Pierre wciąż domagał się zupy pomidorowej, której miała w zamrażalniku pełen gar. Zastanawiała się, czy dlatego się domagał, bo mu smakowała, czy dlatego, bo to była jedyna zupa, której nazwę umiał powiedzieć.

– Dziś nie po-mi-do-ro-wa – powiedziała wyraźnie któregoś dnia. – Dziś rosół.

– Zupa rosół? – zapytał Pierre, niepewnie rozglądając się wokół.

– Zupa rosół. Kura, krowa, warzywa – dodała.

– Dobra jest. – Janek uśmiechnął się do niego. – Poprosimy.

– Zupa rosół, kura, krowa, waziwa. – Arystokrata się rozpromienił. – Dobra.

Wyciągnął swoją kartę, by zapłacić, i powiedział coś szeptem do Janka.

– Dla wszystkich! – zawołał Janek.

– Zupa rosół, kura, krowa, waziwa, dla wszystkich! – powtórzył radośnie francuski milioner, machając kartą.

Jadwiga przyjęła płatność i zaczęła nalewać do talerzy pachnący rosół. Na szczęście zrobiła go więcej i dla nikogo nie zabrakło. A trochę się tych klientów zebrało. Oprócz Janka i Pierre'a przy swoim ulubionym stoliku siedział Kazimierz, który najwyraźniej miał przerwę obiadową. O dziwo siedział z Halinką i byli zatopieni w konwersacji. Zdawało się, jakby świata poza sobą nie widzieli. Za chwilę miały do nich dołączyć Jeaninne i Laura, bo wszyscy czekali na Tomka, z którym mieli negocjować warunki wynajmu domu. Co tu negocjować? Zarówno Tomek, jak i Jadwiga bardzo się cieszyli, że dom nie będzie niszczał, że ktoś czasem podleje ogród czy napali w kominku.

Malwina powiedziała jej wczoraj, że wszystkie trzy nie mogą się doczekać, kiedy znowu uruchomią saunę. Przecież mogły powiedzieć!

Otworzyłyby im ogród i mogłyby wejść do tej sauny i strumienia. No, ale latem nie było z tego takiej radochy. Teraz, kiedy już spadł śnieg, można było korzystać z zimy. Chociaż Jadwiga tego zupełnie nie rozumiała. Ona wolała ciepły koc, kominek i dobre ciastko. Dużo dobrych ciastek. A w każdym razie wystarczająco dla wszystkich.

Kątem oka spojrzała na Halinę i Kazimierza. Zjedli już rosół i Halinka wzięła na łyżeczkę nieco kremu z ciastka, które kupiła przed chwilą i karmiła nim Kazimierza. Do czego to doszło! Halinka? Niemożliwe...

– Nie wracasz dzisiaj do pracy? – zapytała Halinka.

– Wracam. – Kazimierz spojrzał na zegarek. – Ale jeszcze kilka minut. Zostawiłem tam Gabrysię.

– Samą?

– Gabrysia jest mądrzejsza niż niejeden dorosły. Da sobie radę, a w razie czego zadzwoni. Zresztą... Mam pewien ukryty plan.

29. Gabrysia

W rodzinnym domu (jeszcze panińskim) Magdaleny Witkiewicz od zawsze była pewna tradycja... Po wieczerzy wigilijnej głowa rodziny zarządzała wietrzenie. Drzwi balkonowe były szeroko otwierane, a wszystkie dzieci, by nie zmarzły, musiały się udać do drugiego pokoju. W tym czasie sprzątano ze stołu i nagle ktoś z dorosłych wołał: „Ojej, szybko! Był i zostawił prezenty!”. Niestety, nigdy jako dzieci nie zdążyliśmy, by go zobaczyć...

Gabrysia siedziała w swoim fotelu, jak nazywała fotel postawiony przez pana Kazimierza w punkcie pocztowym, i kończyła wypisywać pocztówki. To był już ostatni moment, by je wysłać. Inaczej mogłyby nie dotrzeć przed świętami do adresatów. Chyba źle policzyła, bo została jej jedna kartka. Nie wiedziała, co na niej narysować. Wypisała inne i postanowiła tę zostawić na koniec. Wigilia miała to do siebie, że często zostawiało się coś dla kogoś, kto miał się pojawić zniecka. Kiedy o tym pomyślała, drzwi wejściowe się otworzyły i do środka wszedł jakiś chłopiec. Kiedy ją zobaczył, zatrzymał się w progu.

– Cześć – powiedział zdziwiony.

– Cześć. – Gabrysia spojrzała na niego uważnie.

– Nie ma pana Kazimierza? – zapytał, najwyraźniej mając ochotę uciec.

– Zaraz wróci. Znacie się?

Chłopiec pokiwał głową.

– Przychodzę tu od pewnego czasu. Gramy w szachy...

– Ja też tu przychodzę, ale my po prostu milczymy sobie razem. –

Uśmiechnęła się. – Chociaż różnie nam to wychodzi. Szczególnie mi. Gabrysia jestem. – Wyciągnęła rękę w stronę chłopca.

– Antek. – Zdjął rękawiczkę i uściśnął jej dłoń. Nie zdejmując kurtki, usiadł na fotelu.

– To dla ciebie jest ten drugi fotel! Już teraz wszystko rozumiem. Kazik chciał, żebym przyszła we wtorek albo czwartek...

– Ja zawsze tu przychodzę we wtorek albo czwartek.

– Chciał, żebyśmy się poznali. – Uśmiechnęła się. – Cieszę się, bo nie mam tutaj wcale znajomych.

– Myślałem, że w okolicy nie mieszka nikt w moim wieku. Nie widziałem cię w szkole...

– Ja się uczę sama.

– Jak to?

– No po prostu. Mam program, który muszę przerobić, i się sama uczę. Z książek, Internetu, rozmawiam ze wszystkimi... Albo jak z Kazikiem, po prostu sobie milczymy. Tak też się zdobywa wiedzę.

– Dzięki niemu dostałem szóstkę. Kazał mi czytać o szachach.

– Miałeś jakiś test z szachów?

– Neeee – ze śmiechem odpowiedział Antek. – Z zimnej wojny. Ale się okazało, że to też trochę o szachach.

– Fajnie. Ja dopiero niedawno zrozumiałam, że sobie o czymś gadam, a potem się okazuje, że to jest właśnie to, czego potrzebuję. Na przykład z Ksawerym rozmawiam o ziołach, a potem mogę z tego zdać egzamin na biologii.

– No ja tak mam pierwszy raz. Ale i tak uciekam ze szkoły...

– Bez sensu – stwierdziła Gabrysia.

– Bez sensu chodzić na wagary?

– Nie, bez sensu siedzieć na lekcjach, kiedy się tam nic nie uczysz, a na dodatek się denerwujesz. Gdybyś się nie denerwował, nauczyłbyś się dużo więcej.

– Mama chce, żebym został prawnikiem.

– I zostaniesz?

– No, skoro mama tak chce...

– A ty czego chcesz? – zapytała Gabrysia.

– Nie wiem... Na pewno nie chcę chodzić na historię. I chcę grać w szachy.

– Mnie nudzą. Kiedyś próbowałam.

Gabrysia zobaczyła zmartwienie na twarzy Antka.

– No co ty! To właśnie jest fajne, że każdy człowiek jest inny! Jednego nudzą szachy, a ktoś inny je uwielbia, jeden lubi historię, a drugi zupełnie nie! Czy to nie jest piękne?

Antek nigdy w ten sposób na to nie patrzył. Nie przyznawał się nawet do tego, że czegoś nie lubi, bo i po co. Jego obowiązkiem było nauczyć się

historii i jeszcze kilku, jak nie kilkunastu innych przedmiotów i dostać się w przyszłości na prawo.

– A gdybyś nie poszedł na to prawo, to co? – zapytała nagle Gabrysia.

– No...

– Przecież to bez sensu. Będziesz się przez tyle lat uczył czegoś, od czego najchętniej byś uciekł, żeby potem całe życie zajmować się tym, czego nie lubisz. Przecież to twoje życie, nie twojej mamy.

Antek spojrzał na Gabrysię uważnie.

– A ty robisz to, co chcesz?

– Tak. Mama ze mną rozmawia i ufa mi, że nie zrobię nic durnego. – Roześmiała się.

– Ja też nie zrobię nic durnego...

– No jak pójdziesz studiować to prawo, chociaż wcale tego nie chcesz, to będzie to bardzo durne! – stwierdziła poważnie dziewczynka.

Rozmawiali jeszcze przez dłuższą chwilę. Kiedy już zaczęło im burczeć w brzuchach, otworzyły się drzwi i do środka wszedł Kazimierz. Bez słowa na nich spojrzał.

– Chyba o to ci, Kaziku, chodziło? – zapytała Gabrysia. – Wygląda na to, że się polubiliśmy. Ale jeszcze kilka chwil i byśmy tu umarli śmiercią głodową. Tak nas zostawiłeś samych.

– W restauracji Pierre zaprasza wszystkich na... – Kazimierz zmarszczył czoło, jakby się zastanawiał. – Roszół, kura, krowa, waziwa – powiedział, parodiując francuskiego arystokratę. – Czy jakoś tak. Biegnijcie zatem, może się załapiecie. A potem przyjdź jeszcze na partyjkę szachów, Antek.

Dzieci się ubrały i już chciały wychodzić, kiedy Gabrysia nagle sobie o czymś przypomniała.

– Pocztówki! Przecież ja muszę wysłać pocztówki! – Podeszła do Kazimierza i mu szepnęła na ucho: – Te wszystkie wysyłam. Tę ostatnią zostaw, muszę na niej coś narysować i wyślę Antkowi. Adres mamy?

– Skombinujemy – obiecał Kazimierz.

– No to jesteśmy umówieni. – Gabrysia przybiła mu piątkę.

Kazimierz wyglądał, jakby nigdy z nikim nie przybijał piątki, ale uznał, że człowiek uczy się całe życie. Nawet od takich dzieciaków jak Gabrysia. A może przede wszystkim od nich.

– Podobno tu dają rosół.

– Gabrysia! – Ucieszył się Pierre. – Roszół dla Gabrysia! – Znowu zaczął machać swoją kartą, ale Jadwiga tym razem go zlekceważyła.

– Daj już spokój, chłopie. Ty dzisiaj chyba zapłaciłeś za roczny abonament na rosół dla całego miasteczka.

– Nie? – Zmartwił się Pierre. – Gabrysia nie roszół?

– Gabrysia i kolega roszół, ty nie kasa – westchnęła Jadwiga. – Dzisiaj mam wrażenie, że jestem w samym centrum jakiegoś globalnego wariactwa. Chodźcie, dzieciaki. Zjecie coś ciepłego.

Potem Antek pobiegł z powrotem do punktu pocztowego, a Gabrysia została z wszystkimi. Po chwili zerwała się jednak na równe nogi i pognąła przed restaurację. Wszyscy spojrzeli na siebie z zaskoczeniem. Zza drzwi usłyszeli radosny wrzask:

– Tomeeek!

Dziewczynka zobaczyła w smartfonie lokalizację przyjaciela i wiedziała, że jest tuż, tuż.

– Dlaczego nie powiedziałeś? Przecież wyszłabym po ciebie na przystanek!

– Chciałem wam zrobić niespodziankę. Udało mi się przyjechać wcześniej.

– I już nie wyjedziesz?

– Dopiero po Nowym Roku.

Gabrysia złapała go za rękę i zaczęła szczebiotać:

– Bo ja mam ci tyle do opowiedzenia! Będę miała brata, a na razie mam kolegę, na poczcie jest Kazik i on był mrukiem strasznym, ale razem milczeliśmy i już nie jest, Halinka się zakochała, Balbina się zakochała, wszyscy się zakochali...

– Gabrysiu! – przerwała jej Laura, która właśnie zmierzała wraz z Jeaninne do restauracji. – Zamięczysz Tomka swoją paplaniną.

– Spoko. – Uśmiechnął się. – Ja się za tą paplaniną stęskniłem. Dzień dobry, pani Lauro.

– Dzień dobry. Brakowało cię tutaj, w naszym małym świecie.

– Jeaninne... – Tomek skinął głową.

– Pamiętasz Jeaninne? – Ucieszyła się Gabi.

– Pewnie! Takich kobiet się nie zapomina!

– Mnie też nie zapomniałeś? – upewniła się.

– W żadnym wypadku – powiedział poważnie i zmierzwił dziewczynce włosy. – Urosłaś!

– No ba! Ty nie urosłeś. I nie masz ani wąsów, ani brody – zauważyła z lekkim rozczarowaniem.

– Nie zamierzam. – Roześmiał się. – Ale kto wie, co będzie w przyszłości.

– Chodźcie, bo Pierre funduje wszystkim obiad. – Gabrysia otworzyła drzwi do restauracji.

– Pierre funduje wszystkim obiad? – zdziwiła się Laura. – Że też ja tego nie wiedziałam wcześniej.

– Przecież możesz zjeść drugi – skwitowała jej córka.

Tomek przystanął w progu, zaskoczony liczbą klientów.

– Coś mnie ominęło? Jakaś impreza? Urodziny? – Spojrzał pytająco na matkę.

– Tomek! – Jadwiga rzuciła wszystko, czym się zajmowała, i podbiegła do syna. – Jak dobrze cię widzieć! Pewnie głodny jesteś!

Dziwnym trafem Pierre błyskawicznie przyswoił sobie wszelakie polskie słowa dotyczące głodu oraz pragnienia. Kiedy usłyszał „głodny”, natychmiast chciał wstać, szykując kartę kredytową, ale Janek tym razem go powstrzymał.

– Tak jak mówiliśmy... – zaczęła Laura, kiedy Tomek już zjadł. – Jeaninne i Pierre chcieliby wynająć twój dom.

– To dla mnie najlepszy prezent świąteczny. Po prostu weźcie klucze i zamieszkajcie tam.

– Jeaninne i Pierre chcą spisać umowę.

– Umowę? – jęknął Tomek.

– Mama Antka jest prawniczką od umów – wtrąciła się Gabrysia.

– Tak, nawet już z nią rozmawiałam. – Laura pokiwała głową. – Ma coś przygotować i dać nam znać.

– Mamo, a pokazałaś dom przyszłym lokatorom?

– Przecież to jest twój dom – westchnęła Jadwiga.

– Mamo...

– Zjedz i zabierz gości, póki jasno. Posprzątałam tam i nie powinno być wstydu. Trochę pajęczyn wymiotłam i taras też z liści uprzątnęłam.

– Dzięki. – Ucałował ją w policzek.

– Wracaj szybko do domu. Ciasto upiekłam dla ciebie. Będiesz tylko mój.

– I mój – wtrąciła Gabrysia.

Jadwiga się uśmiechnęła. Musi korzystać, dopóki syn jest jeszcze trochę jej. Potem pojawią się inne kobiety i będzie musiała oddać palmę pierwszeństwa. Ważne, że nadrobiła stracone chwile i zaakceptowała jego życiowe wybory. Kochała go bezwarunkowo i tylko trochę się bała, kim będzie jego przyszła narzeczona. Ale przecież miała mądrego syna, to mogła mu chyba w stu procentach zaufać, że wybierze dobrze? Chyba tak... Na razie stała w progu restauracji i obserwowała gromadkę idącą w stronę zielarni pod starym dębem. Na przodzie Tomek za rękę z Gabriellą, potem Laura, dwoje uroczych Francuzów, wszystkie trzy bibliotekarki i Janek. Uśmiechnęła się na ten widok. Pięknie było żyć w Małej Przytulnej, wśród takich przyjaciół.

30. Balbina

Wizerunek Mikołaja, brzuchatego sympatycznego starszego pana z gęstą siwą brodą i wąsami, ikonę współczesnego Bożego Narodzenia, spopularyzował koncern Coca-Cola. Amerykański artysta Fred Mizen stworzył go w 1930 roku, a rok później koncern zlecił opracowanie obrazów reklamowych z tą postacią. I do takiego Mikołaja przyzwyczajeni jesteśmy teraz...

Balbina stała przed biblioteką i od dłuższego czasu z zachwytem spoglądała na swoje miejsce na ziemi. Mała Przytulna była cudowna. Zawsze jej się wydawało, że była najpiękniejsza wiosną, kiedy przyroda budziła się do życia i świat przykrywał się zielenią. Potem przychodziło lato z czerwonymi makami wśród łąków zboża i było jeszcze piękniej. Jesienią lasy pokrywały się pomarańczową barwą, wszędzie pachniało borowikami, które Balbina suszyła albo zamykała w słoikach. I kiedy myślała, że świat wyczerpał już całe piękno przypadające na to jedno miejsce, nadchodziła zima i mróz malował fantazyjne obrazy na szybach, przez które można było dojrzeć nieskazitelną biel.

Śnieg padał już tak mocno, że wszystkie domy sprawiały wrażenie, jakby okryte białą puszystą kołderką szykowały się do zimowego snu. Schody w bibliotece były również mocno zaśnieżone. Gdyby nie Antek, który codziennie przychodził pomagać, to chyba nie nadałyby z tym odśnieżaniem. To był taki fajny i mądry chłopak. Przypominał jej rezolutnych i doskonale wychowanych młodzieńców z jej nastoletnich lat. A teraz chyba niewielu już takich było.

Bogusia, która mieszkała pod lasem i codziennie jeździła autobusem do szkoły, mówiła, że dzieci są różne. W każdym z nich starała się znaleźć dobro, ale u niektórych musiała się natrudzić.

– Naprawdę chciałabym powiedzieć, że dzieci nie są złe z natury... – mówiła. – Ale chyba czasem jednak są.

– Ja myślę, że to kwestia wychowania... – próbowała tłumaczyć Balbinka.

– Albo jego braku. Ja też zawsze mówię, że ich zachowanie to kwestia wychowania albo genetyki. Tak czy inaczej, wina rodziców. Bywa, że nie mają czasu dla dzieciaków, a czasem dzieciaki po prostu obserwują, jak dorośli pną się po trupach do celu i naśladując ich, robią dokładnie to samo.

– Może nie wiedzą, że to źle?

– Wiedzą. – Pani Bogusia machnęła ręką. – Ale uważają, podobnie jak ich rodzice, że sukces wymaga ofiar. I robią wszystko, by to nie oni byli tymi ofiarami, tylko ktoś inny. A wiadomo, kto pierwszy pokaże swoją dominację, często wygrywa.

Balbinka nieraz rozmawiała z Bogusią o Antku. Przez niektórych był lubiany, a inni prowokowali go, ale Antek się nie dawał. Robił wszystko, by przeczekać...

– Ten chłopiec nawet inaczej stoi czy się porusza, gdy wysiada na przystanku. Jakby nagle zaczynał oddychać. W autobusie czy w szkole świat spuszcza z niego powietrze.

– Tak nie może być. – Balbinka pokręciła głową.

– A co zrobisz?

– Może by z jego mamą porozmawiać?

– Rozmawiałam – westchnęła Bogusia. – Nie widzi w nim chłopca, szczęśliwego nastolatka, tylko widzi w nim przyszłego prawnika. Bezkompromisowego faceta w garniturze.

– Czyli kopię samej siebie?

– Chyba nie... Ona tylko taką udaje. To jej pancerz. Widzi go taką, jakim sama chciałaby być, bo wydaje jej się, że byłoby jej wtedy łatwiej w życiu.

Balbina wielokrotnie rozmyślała o tej rozmowie. Starła się wspierać Antka, gdy przychodził do wypożyczalni. Rozmawiała z nim, podrzucała mu odpowiednie lektury. To był bardzo inteligentny i dobry chłopak.

Tym razem wychodziła właśnie z biblioteki, gdy zobaczyła go za rogiem.

– O! Dzień dobry! – zawołała.

– Dzień dobry, pani Balbino. Cztery plus z historii. Dzięki tej książce, którą pani mi kazała czytać.

– A widzisz!

– Ona była ciekawa! Nie mogłem się oderwać. Nie jak te notatki, które nam dyktuje pani Czerepko. Znaczy... mnie i tak nigdy nie ma na historii.

Ja je potem muszę od kogoś przepisywać, bo pani za zeszyt ocenę wystawia.

– Za zeszyt ocenę? – zdziwiła się Balbina.

– No tak, czy są tematy podkreślone i czy mam napisane wszystko w punktach.

– Bez sensu – wyrwało się Balbince.

– Naprawdę pani tak myśli?

– Chłopaku... Powiem ci tak... Za lat czterdzieści kompletnie nie będzie istotne to, czy podkreślałeś tematy w zeszycie od historii, czy nie... Będzie ważne to, czy przeżyłeś to swoje życie szczęśliwie. Czy potrafiłeś się dogadać z ludźmi i nie unosiłeś się czymś, co myślałeś, że jest honorem, a tak naprawdę było... butą...

– Butą?

– No, zadzieraniem nosa. I takim powiedzeniem „nie, bo nie”.

– A pani tak żyła?

– Ja dopiero zaczynam żyć. Chociaż nie, to byłoby kłamstwo. Miałam cudne życie, ale coś czuję, że teraz czekają mnie również całkiem miłe chwile. I bardzo się cieszę, że już nikt mi nie każe podkreślać tematów w zeszytach.

– Ale każą pani płacić podatki, przestrzegać przepisów.

– E, większość przepisów stworzonych jest dla naszego dobra. Ma jakiś sens. Nie taki, jak podkreślanie tematów lekcji. – Uśmiechnęła się. – Chodź ze mną do restauracji. Tam już wszyscy siedzą, bo Tomek podpisuje umowę z naszymi Francuzami, a Malwina wpadła na genialny pomysł i ja muszę przy tym być, by ją wesprzeć, kiedy będzie o tym mówiła.

– Jaki pomysł?

– Wspólne święta całego miasteczka. A przynajmniej tych najbliższym nam.

Antek spojrział na nią tęsknym wzrokiem.

– Ale super! My zawsze... Od pewnego czasu... – poprawił się. – ... z mamą tylko we dwoje jesteśmy. Też jest fajnie...

– Chłopaku, przecież ty już jesteś nasz! I jak najbardziej jesteś nam bliski! A, i zapomniałam ci powiedzieć! Są zawody szachowe w Gdańsku. Będiesz mógł zdobyć tę swoją drugą kategorię. Odkąd mi pokazałeś tę stronę szachową, to ja sprawdzam, co tam dla ciebie mogłoby być i gdzie mógłbyś pojechać.

– Sam do Gdańska nie pojedę. A mama też nie bardzo...

– Pomyślmy – obiecała Balbina i zaczęła się zastanawiać, czy ma coś do załatwienia w Gdańsku. Z pewnością coś by się znalazło.

W restauracji było gwarno jak nigdy. Przy stoliku obok okna siedzieli Laura, Tomek, Francuzi i mama Antka. Kiedy weszła Balbinka i chłopiec, prawniczka podniosła wzrok i uśmiechnęła się na przywitanie. Syn odwzajemnił uśmiech.

Najwyraźniej w restauracji zrobiono jakieś przemeblowanie, bo pod ścianą stał długi stół, przy którym zgromadzili się chyba wszyscy pozostali mieszkańcy Małej Przytulnej. Halinka w najlepsze konwersowała z panem Kazimierzem. Jednak ich przyjaźń nie była chwilowa...

– Antek!

Gabrysia zobaczyła chłopca i się wyraźnie ucieszyła. Szybko schowała coś za plecami, a następnie pobiegła do pana z pocztą i mu coś cichaczem wręczyła. Ten pokiwał głową i schował przedmiot pomiędzy kartki książki.

– Skończyliśmy – powiedziała nagle Laura. – Mamy podpisaną umowę na wynajem domu, witamy nowych mieszkańców Małej Przytulnej.

Wszyscy zaczęli klaskać.

– Mała Psitulna – powtórzył zadowolony Pierre. – *Whisky, Cigarettes, Piano Bar...* – zaczął, natychmiast powstrzymany przez Janka.

Jeaninne się uśmiechnęła i usiadła obok doktora Maryńskiego, który przesunął się o jedno miejsce. Laura spoglądała na nich z pewnym niedowierzaniem. Przypomniła sobie ich pierwsze spotkanie i to, co było potem. Jak Jeaninne oświadczyła w domu: „Cóż to jest za szarmancki, dobrze wychowany mężczyzna!”. Laura zastanawiała się wtedy, czy mówią o tym samym mężczyźnie. I czy w gabinecie doktora Maryńskiego nie zaczął przyjmować ktoś inny. Jednak ludzie się zmieniają. Teraz Jeaninne wyglądała na bardzo zadowoloną i – co więcej – bardzo już spoufaloną z panem doktorem. A on miał jakby dużo przyjemniejszy wyraz twarzy.

Pani mecenas, mama Antka, stała z boku i przyglądała się wszystkiemu.

– To ja już może pójde... – powiedziała. – Nie będę państwu przeszkadzać w świętowaniu.

– Ależ skąd! – zawołał Anatol. – Przecież pani też nie powitaliśmy. Możemy to połączyć!

– Ależ witałyśmy! – stwierdziła oburzona Halinka. – Trzy razy byłyśmy u was z ciastem, ale was nie było w domu!

– Z ciastem? – zdziwiła się prawniczka. – Kiedyś, gdy wróciliśmy do domu, na ganku stał ogromny talerz, ale ciasta tam nie było. W ogrodzie natomiast buszowała koza...

Wszystkie oczy skierowały się na Ksawerego, który rozmawiał z Dominiką.

– Ksawery! – zaczęła groźnie Halinka.

– Ja nic nie zrobiłem. – Aptekarz jak zawsze pod wpływem słów Halinki stanął niemalże na baczność.

– Ty nie zrobiłeś, ale twoja koza zżarła nasze ciasto powitalne.

Ksawery jęknął.

– Nie dość, że marihuanę, to jeszcze ciasto powitalne – westchnęła Halinka. – Ta to ma upodobania.

– Ma... marihuanę? – zdenerwowała się pani mecenas.

– E tam, nic jej nie było – zbagatelizowała sprawę Halinka. – A marihuany już nie ma, bo wszystko zżarła.

– Chyba nie ma – uściśliła Malwina. – Okaze się na wiosnę. Czy tam latem.

– To teraz musimy was przywitać. – Rozmowę przerwała w samą porę Balbina. – Antka już znamy, przychodzi do nas często do biblioteki.

– Do biblioteki? – zdziwiła się prawniczka.

– Tak, jest bardzo częstym gościem.

– I na pocztę – dodał pan Kazimierz.

– I do nas też – wtrąciła się Laura. – Z Gabrysią się zaprzyjaźnił.

– Zaaklimatyzował się chyba tutaj – stwierdziła Jadwiga. – Na zupę też się czasem załapie.

– Tym sposobem, moja droga, nic nie zarobisz – wtrąciła teatralnym szeptem Halinka.

– Oj tam, zarobię. – Wzruszyła ramionami.

– To ja się może przedstawię, Barbara Mickiewicz jestem. – Mama Antka skinęła głową.

– Halinka woli Słowackiego, a my z Balbiną Mickiewiczza – wtrąciła Malwina. – Ale to nie ma znaczenia tak naprawdę. Witamy, pani Basiu, u nas!

– Basiu – poprawiła kobieta.

– Witamy cię, Basiu.

– Mamo, to ja ci wszystkich teraz przedstawię – zaproponował Antek.

– A ty wszystkich znasz?

– Znam. I zdążyłem ich bardzo, bardzo polubić.

Basia przytuliła syna, a on po kolei czynił honory i przedstawiał tych, których znał. Nie kojarzył wszystkich, ale wtedy pomagała mu Gabrysia.

Kiedy już razem zasiedli przy dużym stole, Malwina zastukała łyżeczką w szklanke, jakby chciała wznieść toast. Pierre się natychmiast zerwał, ale Janek go znowu powstrzymał, kręcąc głową. Francuski arystokrata zdawał się rozczarowany.

– Bo ja wpadłam na pewien pomysł... Zbliżają się święta i do tej pory spędzaliśmy je tak we własnym sosie. Ale, jak widać, w ostatnim czasie relacje co poniektórych... – Spojrzała na Francuzów, Janka, Halinkę i Kazimierza. – ...się bardzo zacieśniły. I gdy zaczęłam myśleć, jak to wszystko pogodzić, by spędzić Wigilię z tymi wszystkimi, na których mi zależy, to stwierdziłam, że musimy spędzić ją wszyscy razem – powiedziała na jednym wydechu, z nadzieją wpatrując się w całe towarzystwo. – Stół już nawet mamy. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Tylko czy Jadwiga się zgodzi, by tutaj zrobić święta? Każdy coś ugotuje albo po prostu zrobimy zrzutkę.

Mieszkańcy Małej Przytulnej spoglądali na siebie badawczo.

– Doskonały pomysł! – Milczenie przerwała Laura. – Ja nie nadaję się w tym roku, by stać przy garach. – Poglaskała swój zaokrąglony brzuch.

– A czy można przyjść z osobą towarzyszącą? – zapytała Halinka, wzbudzając tym wyraźny niepokój pana Kazimierza.

– Pewnie – powiedziała Malwina. – Do Balbinki przyjeżdża przyjaciel z Niemiec.

Zawstydzona Balbina spuściła wzrok.

– Przecież nie możesz być sam w taki wieczór – powiedziała Halinka, zwracając się do pana Polańskiego. – Przyjdiesz ze mną.

Ten wyraźnie odetchnął z ulgą.

– To ja zaproszę pana doktora – stwierdziła Gabrysia.

Maryński szeroko się uśmiechnął. Dziewczynka nawet nie zdawała sobie sprawy, że on tak potrafi.

Basia w milczeniu przyglądała się temu wszystkiemu. Nagle poczuła na sobie wzrok syna.

– Też będziemy mieli cudną Wigilię – powiedziała cicho do niego i uścisnęła jego dłoń.

– Jak to też? – Halina jak zawsze wszystko słyszała. – Nawet nie powiem, że jesteście zaproszeni! Powiem, że jesteście również organizatorami! Przecież wy jesteście już nasi!

Balbina i Malwina, zaskoczone nagłą wylewnością przyjaciółki, wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Tylko ten talerzyk po cieście jakbyś mogła mi oddać... Bo bardzo jestem do niego przywiązana.

Basia pokiwała głową. Laura w jej oczach dostrzegła łyzy wzruszenia.

– To wszystko ustalone. – Malwina aż klasnęła z zachwytu. – Cieszę się, że to tak szybko poszło.

– A prezenty? – zapytała Gabrysia. – Losujemy?

– Ja tam mam dla wszystkich. Zbieram już od czerwca.

– Nawet dla mnie? – zapytał nieśmiało Antek.

– Pewnie. Dla ciebie kupiłam zaraz pierwszego dnia, jak cię zobaczyłam. O Boże, te dzieci już nie wierzą w Mikołaja? – Upewniła się.

– Jak się przestaje wierzyć w Mikołaja, to on przestaje przychodzić – stwierdziła Gabrysia z uśmiechem. – Więc sama sobie odpowiedz, Malwinko, na to pytanie.

– Czyli wierzą. Prawdopodobnie jak my wszyscy.

– Ja bym chciał taki jeden prezent... – zaczął Antek, wpatrując się w podłogę. – Mam jedno marzenie.

Pan Kazimierz Polański drgnął. Chyba już wiedział, jakie to będzie marzenie. Obiecał sobie wtedy, że zrobi wszystko, by je spełnić.

– Chciałbym zaraz po świętach jechać na turniej szachowy do Gdańska.

– On naprawdę ma talent i umiejętności – wtrącił się Kazimierz, patrząc na jego mamę. – Powinien jechać.

– Ale synek, ja zaraz po świętach muszę wracać do pracy – zmartwiła się Basia. – Nie mogę z tobą jechać. Akurat wtedy naprawdę nie mogę. – Pogłaskała go troskliwie po głowie. – Innym razem.

Chłopiec się zgarbił i nic nie powiedział.

– Ja mogę z nim pojechać – zaproponował Kazimierz.

– Ja też – dodała Halinka.

– My też! – wykrzyknęła Malwina, patrząc na Anatola.

– I ja! – Balbina podniosła rękę.

– U mnie można spać – stwierdził Tomek. – Mam w pokoju dodatkowy materac.

Basia wpatrywała się w tych wszystkich ludzi i zastanawiała się, dlaczego chcą tak bezinteresownie zrobić coś dla jej syna. Zupełnie nie była do tego przyzwyczajona. W korporacyjnym, prawniczym i wielkomięskim świecie niewiele doświadczyła takich gestów. Patrzyła bezradnie po wszystkich twarzach, a w jej oczach po raz kolejny pojawiły się łzy. Uśmiechnęła się do Antka i już miała coś powiedzieć, gdy nagle na równe nogi zerwał się Pierre. Od dłuższego czasu przypatrywał się wszystkim i zastanawiał się, co robią ci ludzie, których zupełnie nie rozumiał, podnosząc ręce. Zrozumiał, że prawdopodobnie chcieli jeść i wołali Jadwigę, by im coś przyniosła. Nie mógł zatem pozostać na to obojętny!

– Jadwiga! Zupa rosół, kura, krowa, waziwa, dla szystkich! – zawołał radośnie.

– Nie... – jęknęła Jadwiga.

– Zupa po-mi-do-ro-wa? – zapytał niepewnie Pierre.

– Dobrze – westchnęła mama Antka. – Nie wiem jeszcze jak, ale to ogarniemy.

– Dopsze! – powtórzył nieudolnie ucieszony Pierre i już stał przed Jadwigą, machając kartą kredytową. – Szysko la szyskich!

Jadwiga przyłożyła kartę do terminala i spojrzała tryumfalnie na Halinkę.

– A jednak zarobię – powiedziała cicho.

– Dzięki, mamó – wyszeptał Antek.

– Jakoś to wszystko, synek, ogarniemy.

I tylko Basia wiedziała, że nie miała na myśli wyłącznie turnieju syna, ale po raz pierwszy od dawna z nadzieją patrzyła na całe ich przyszłe życie. Po raz pierwszy od dawna gdzieś w oddali zobaczyła szczęście.

Wesołych Świąt – Joyeux Noël

Malwina miała rację. Wszyscy czekali na wspólne święta, ale też wspólnie cieszyli się przygotowaniami do nich. Miasteczko odżyło. Mieszkańcy zadbali o to, by już z daleka widać było tę świąteczną atmosferę, prześcigając się w dekoracjach swoich domów.

Doktor Maryński na cotygodniowym spotkaniu z Kazikiem rozważał nawet, czy nie kupić mieszkania gdzieś w Małej Przytulnej. Pewnie było jeszcze coś wolnego, bo budować to już im się nie chciało.

– A co z twoim słynnym gabinetem na trzecim piętrze? – zapytał Kazimierz.

– Tak sobie myślę, że czas już przekazać pałeczkę młodym.

– Masz na myśli tę lekarkę?

– Tak.

– Dobra jest?

Maryński przez chwilę się zastanawiał.

– Dobra. Tylko jeszcze brakuje jej nieco pokory.

– Nauczy się – powiedział Kazimierz.

– Musi. Bo inaczej nie będzie dobrym lekarzem. Trzeba mieć oczy otwarte na medycynę, ale też na naturę.

– Myślałem, że powiesz „na ludzi”.

– Na ludzi też.

– Nie jesteś znany z tego, że słuchasz ludzi – ironicznie stwierdził Kazimierz. – Podobno ich lekceważysz.

– Powiem ci szczerze, że coraz rzadziej ludzi rozumiem – westchnął lekarz. – I dlatego to chyba czas, by iść już na emeryturę. Niektórzy zbyt często chodzą do lekarza i zawracają mu głowę, no i naprawdę biorą zbyt dużo leków... A inni z kolei bagatelizują sprawy, których nie powinni bagatelizować.

– Racja.

– Jeszcze chwilę ją poobserwuję. I zobaczę, czy mogę oddać moich pacjentów w jej ręce.

– Wyczuwam w tobie melancholię.

– Jeaninne przypomniała mi o *belle époque*. I poczułem się trochę jak wtedy.

– Coś w tym jest. Zbyt długo byliśmy zamknięci na świat.

– Tak... Zbyt długo.

– Przyniosłem ci coś – przypomniał sobie Kazimierz.

– Co? – zdziwił się Maryński.

– Pocztówkę dostałeś.

– Pocztówkę? Od kogo?

Pan doktor założył okulary. Na jednej stronie sztywnego kartonika były narysowane schody, po których wspinał się ewidentnie zasapany Mikołaj. Na drugiej stronie dziecięcym pismem było ładnie wykaligrafowane:

Kochany Panie Doktorze!

Życzę Panu z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia, by Święty Mikołaj cieszył się dobrym zdrowiem i zdołał nie tyle wejść do Pana na to trzecie piętro, ale nawet wnieść cały wór wymarzonych prezentów.

Wesołych Świąt!

Gabrysia

Maryński uśmiechnął się do przyjaciela.

– Widzisz? To jest również powód do tego, by zmienić lokal. Muszę to zrobić dla Świętego Mikołaja.

Jadwiga siedziała właśnie nad świątecznym menu. Przez krótką chwilę zastanawiała się nad tymi cholernymi żabami czy ślimakami, nie mówiąc o ostrygach, tym bardziej że przeczytała, iż te zwierzęta, jako zimnokrwiste, uważane były za dania postne, zatem według tradycji jak najbardziej nadawały się na Wigilię. Skrzywiła się na samą myśl.

Z pomocą Gabrysi zebrała upodobania kulinarne każdej z zaproszonych osób i ile ich było, tyle zdań na temat wigilijnych potraw i zwyczajów. Ten chciał kluski z makiem, ta zamówiła zupę rybną z głów karpia, a ta z kolei przeczytała o tradycji w postaci gorzkiej zupy z nasion konopi. Trudno będzie wszystkim dogodzić. Planowała, że zrobi propozycję menu i ją oficjalnie pokaże. Jeżeli ktoś będzie chciał coś dodatkowo, po prostu przyniesie. Innej rady nie widziała.

Swój akces do pomocy w kuchni zadeklarowali Jeaninne, bibliotekarki, Antek i Gabrysia.

– Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść – westchnęła Jadwiga.

– Nas będzie siedmioro – zauważyła Gabrysia. – To zawsze lepiej. Poza tym może my z Antkiem udekorujemy restaurację, tak by było pięknie, a wy

się zajmiecie gotowaniem? Malwinka mówiła, że w bibliotece jest pełno kartonów ze świątecznymi ozdobami. Niektóre nie były ruszane od lat! Wiesz, Jadwigo, mam przeczucie, że tam się znajdą same skarby. I jak zaczniemy w tych kartonach grzebać, to natkniemy się na niejedną historię.

Jadwiga słuchała jednym uchem, bo zastanawiała się, czy zrobić kluski z makiem, czy kutię, czy sucharki z makiem, które jedzono w niektórych częściach Polski. I jeszcze te trzynaście deserów. Kiedy się dowiedziała o tej francuskiej tradycji, pierwszy raz zwątpiła w powodzenie całego przedsięwzięcia.

Kiedy Gabrysia z restauracji wybiegła do biblioteki, Jadwiga usiadła jeszcze raz przy stoliku i wszystko skrupulatnie spisała. Tomek obiecał, że wraz z Ksawerym pojedą do marketu i zrobią zakupy. Musiała przygotować im listę. Z zamyślenia wyrwał ją hałas zatrzymującego się samochodu dostawczego. Z niepokojem wpatrywała się w ogromną ciężarówkę, z której właśnie wyskakiwał uśmiechnięty kierowca. Przecież nic nie zamawiała. Pewnie Pierre i Jeaninne kupili jakieś meble i kierowca się zatrzymał, żeby zapytać o drogę.

Kiedy wyszła na próg, kierowca z pomocnikiem właśnie otwierali tylne drzwi samochodu.

– Dzień dobry – przywitali ją, zanim zdążyła się odezwać. – Gdzie go postawić?

– Ale że kogo? – zapytała niepewnie Jadwiga.

– Fortepian – jakby nigdy nic odpowiedział kierowca.

– Fortepian? – zdziwiła się. – Jaki fortepian?

– Dla pani, czarny. Zamawiała pani fortepian? – zapytał kurier, spoglądając w papiery. – Tak, dostawa jest na ten adres.

– Nie. – Jadwiga pokręciła głową. – To musi być jakaś pomyłka. Pewnie moi przyjaciele z zielarni pod starym dębem zamówili. Musicie jechać dalej tą drogą.

Mężczyzna jeszcze raz spojrzął w papiery.

– Nie ma żadnej pomyłki. Do zielarni wiozę drugi. Biały.

– Drugi fortepian? – zdumiała się Jadwiga.

Bezradnie obserwowała, jak dostawcy siłowali się z ogromnym instrumentem. Z czułością postawili go najpierw przed restauracją, a potem zabrali się za otwieranie drugiego skrzydła drzwi. Tego, które zawsze było zamknięte.

Jadwiga próbowała pozbierać wszystkie informacje w jedną całość. Może ktoś, najpewniej Pierre, po prostu się pomylił i zamówił dwa fortepiany? Po prostu mu się kliknęło podwójnie... Ona też kiedyś się tak pomyliła i zamiast jednej zmiotki zamówiła dwie... Tylko pomylić się z zamówieniem zmiotki nie było trudno, ale gdyby ktoś przez przypadek próbował zamówić dwa fortepiany, to z pewnością by się zorientował...

– To gdzie go postawić? – zapytał mężczyzna.

– Może tutaj. – Jadwiga otworzyła drzwi do sali sąsiadującej z główną jadalnią. – Tam w rogu. – Wskazała.

Na fortepianie była przyklejona niewielka koperta. Jadwiga otworzyła ją i przeczytała bilecik. Widniały na nim trzy punkty, przy każdym z nich był kwadracik, który można było zaznaczyć. Jeden z nich nawet był już odhaczony.

- Whisky*
- Cigarettes*
- Piano Bar*

Pod spodem widniał napis:

Joyeux Noël
Jeaninne et Pierre

Jadwiga nie mogła już tego przeczytać, bo oczy zasnuły jej się łzami. Usiadła na taborecie, na którym wcześniej stała, by odkurzyć z pajęczyn sufit, i nie mogła w to wszystko uwierzyć. Chyba spełniało się właśnie jej marzenie. Od pewnego czasu wszystko szło tak, jak miało iść. Dom wynajęty cudownym ludziom, zatem pieniądze na studia dla Tomka się znalazły, a ona zaczynała właśnie rozbudowywać lokal, bo wszystko wskazywało na to, że stanie się on wkrótce kameralnym miejscem z muzyką na żywo.

Ta sala była wykorzystywana tylko wtedy, gdy odbywały się w Małej Przytulnej duże imprezy, jak chrzciny, śluby czy pogrzeby... I jak Wigilia dla całego miasteczka! Jadwiga uśmiechnęła się promiennie. Piękne to będą święta. Nawet gdyby miała Pierre'owi tę zabę ugotować czy usmażyć. Nie miała tylko pojęcia, jak się to paskudztwo przygotowuje.

Wyszła przed restaurację i świat wydał jej się przepiękny. Zapadł już zmrok, tylko lampki, którymi przystrojone były okoliczne domy, i kilka

latarni rozświetlały ulice. Lekko prószył śnieg, a z oddali słychać było, jak Jan gdzieś w oddali grał na harmonijce *Cichą noc*.

Nagle Jadwiga zauważyła, że coś jest w skrzynce na listy. Otworzyła ją i wyciągnęła pocztówkę. Na jednej ze stron był rysunek przedstawiający garnek, który był przykryty czapką Mikołaja, a na drugiej życzenia:

Kochana Jadwigo!

Niech zawsze w Twojej spiżarni będzie pełno wszystkiego! Żebyś mogła nakarmić pół świata! Bo robisz to najlepiej na świecie.

Wesołych Świąt!

Gabrysia

Pierre i Jeaninne usiedli przy kuchennym stole. Właśnie skończyli rozpakowywać ostatnią walizkę. Uznali, że cała przeprowadzka zakończyła się ogromnym sukcesem, gdyż ani razu się nie pokłócili. No, prawie...

Jeaninne zastanawiała się wprawdzie, czy ten spokój nie zwiastuje w jakiś sposób nudy, ale szybko o tym zapomniała. Dom mieli piękny. Już zdążyła wszystko obejrzeć, a niektóre rzeczy udekorować po swojemu. Wszystko się układało. Nie wiedziała, jak długo tu zostaną. Może rok, może więcej? Miała ogromną intuicję i ta intuicja ją tutaj przyprowadziła. Na początku była pewna, że chodziło o Laurę. A może to chodziło o coś zupełnie innego? Albo o kogoś? Może właśnie o nią i o Pierre'a? Albo o Pawła? O Janka? Ważne, że znalazła się w miejscu, które pokochała, wśród ludzi, z którymi czuła się bardzo dobrze.

– Zobacz, co było w skrzynce na listy – powiedział Pierre, który właśnie wszedł do kuchni. Jego wciąż jeszcze bujna siwa czupryna połyskiwała od płatków śniegu.

Jeaninne wzięła od niego kartkę. Na jednej stronie była narysowana żaba w ogromnym pomarańczowym turbanie, stojąca obok ślimaka ubranego w strój Mikołaja.

Joyeux Noël.

Nie umiem pisać po francusku, ale poprosicie kogoś, by Wam to przetłumaczył. Kocham Was bardzo i cieszę się, że będziecie tutaj z nami! Życzę Wam, byście byli szczęśliwi.

Wesołych Świąt!

Gabrysia

- Nic nie rozumiem – zmartwiła się Jeaninne. – A ty?
- Ja rozumiem tylko „żaba”, „ślimak” i „zupa pomidorowa”.
- I rosół. – Roześmiała się Jeaninne.
- Roszół, krowa, kura, waziwo! – Roześmiał się. – La szyskich!

Pierre najbardziej cieszył się z tego, że wreszcie ma na co wydawać pieniądze. Miał już cały plan dotyczący przekształcenia części lokalu Jadwigi w nocny klub. Było kwestią czasu, że właścicielka restauracji ten plan zaakceptuje. Kurier, który przywiózł fortepian, dał mu do zrozumienia, że Jadwiga była bardzo zaskoczona, ale też niezmiernie ucieszona. Lata zabawy z rodziną w kalambury zdecydowanie pomogły kurierowi w dogadaniu się z tym miłym starszym francuskim arystokratą, ale tego Pierre, oczywiście, nie wiedział.

Fortepian postawili w salonie na dole. Już oczyma duszy widział te długie wieczory, kiedy Janek będzie mu przygrywał. Sam kiedyś też grał. I potem przestał. Nagle. Czuł przed tym paniczny lęk, jakby w momencie, gdy naciśnie klawisz, miał nadejść koniec świata. Może kiedyś się odważy? Kto wie...

Wieczorem, kiedy Jeaninne już poszła do swojego pokoju, podszedł do fortepianu, otworzył wieko i przesunął delikatnie dłonią po klawiaturze. Przez chwilę się wahał, ale lekko nacisnął jeden z klawiszy. Dźwięk rozległ się po całym domu. I nic złego się nie stało.

Na pocztę w okresie świątecznym oprócz Antka nikt nie przychodził. Wszystkie przesyłki, które miały zostać odebrane, trafiły do adresatów, a kartki świąteczne wysyłała tylko Gabrysia. Już prawie wszystkie doszły, przecież każda przechodziła przez jego ręce. Nie było tylko kilku, między innymi dla niego. Może do niego nie wysłała? Może myślała, że on się nie ucieszy, kiedy ktoś mu napisze kilka słów?

Kazimierz Polański pracował na poczcie, a tak dawno sam już nie dostał listu. No nic, łudził się, że się to zmieni. Był ciekaw, czego mu może życzyć to rezolutne dziecko. Odkąd je poznał, wszystko zaczęło się zmieniać.

I odkąd poznał Antka. Chłopak przychodził codziennie, by grać w szachy. Nawet jego mama już na to przymykała oko. Coraz lepiej mu to wychodziło. Naprawdę mógł osiągać sukcesy.

Kazimierz wyjrzał przez okno. Zaraz powinien być. Mówił tylko, że musi mamie pomóc przynieść choinkę od leśniczego. Nie mógł się go doczekać, bo miał dla chłopca prezent.

Poprzedniego dnia wieczorem wyciągnął z nierozpakowanego jeszcze po przeprowadzce z Francji kartonu swoje stare szachowe książki. Jedna miała nawet autograf Kasparowa. Zastanowił się przez chwilę i schował ją do szuflady. Ta będzie na jakąś specjalną okazję.

Kiedy podjechał samochód pocztowy, Kazimierz wyszedł na zewnątrz.

– W taką śnieżycę nie chciało mi się jechać. – Kierowca w czapce Mikołaja uśmiechnął się na powitanie. – Mam tylko jedną przesyłkę, ale nie mogłem sobie odpuścić... To pocztówka dla pana.

Kazimierz uśmiechnął się serdecznie. Kierowca nigdy go takiego nie widział. Cóż, ewidentnie magia świąt...

Na kartce były narysowane dwa fotele. Na jednym z nich siedział mężczyzna z ponurą miną, niestety Kazimierz dojrzał tam siebie. Drugi fotel był pusty, a na oparciu wisiała czapka Mikołaja. Na początku go ta pustka zaniepokoiła. Odwrócił kartkę i zobaczył tekst napisany drobnym maczkiem:

Kaziku kochany!

Bardzo, ale to bardzo się cieszę, że masz dwa fotele. To znaczy, że zawsze obok Ciebie będzie miejsce dla drugiej osoby. Życzę Ci, by codziennie znalazł się ktoś, z kim będziesz mógł pomilczeć! Bo milczeć we dwoje jest fajniej, prawda?

Wesołych Świąt!

Gabrysia

PS Halinka nie jest zła. Ona jest jak taki pączek z dżemem, ale bez lukru na wierzchu. Żeby zobaczyć to, że jest słodka, musisz zjeść ciasto drożdżowe, które jest takie sobie (ja średnio lubię), ale potem, Kaziku, czeka na Ciebie ta marmolada! Albo czekolada! Pycha! Zobacysz w Tłusty Czwartek u Jadwigi.

Antek nie zdawał sobie sprawy, jaki prezent na niego będzie czekał. O autografie Kasparowa nawet nie śmiał marzyć.

– Antoni, coś jest w skrzynce na listy! – zawołała Barbara. – Wyciągniesz?

– Pewnie. Tylko skończę partię – odparł zamyślony chłopiec.

Barbara westchnęła. No dobrze, pójdzie sama.

Odetchnęła rześkim powietrzem. Było pięknie. Śnieg przykrył białą kołderką wszystkie drzewa rosnące w ogrodzie. Kiedy się wprowadzali, było brzydko, szaro i ponuro. Listopad chyba był najgorszym miesiącem, by dostrzec urok tej okolicy. Teraz jej się podobało. Poprzedniego dnia na płocie i rosnących w ogrodzie świerkach zawiesili lampki i kilka bombek, przyroda zrobiła resztę.

Kiedy otworzyła skrzynkę na listy, obok niej pojawił się Antek.

– Mamo, to była bardzo krótka partia. Przecież poszedłbym zaraz.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnęła się do niego. – Gdybym nie wyszła z domu, nie zobaczyłabym, jak jest pięknie.

– Nie jesteś na mnie zła? – upewnił się.

– Nie, synku. – Pogłaskała go po głowie i wyciągnęła zawartość skrzynki na listy. – Do ciebie.

– Do mnie? – zdziwił się Antek. – Od kogo?

– Zobacz.

Chłopiec wziął od mamy kartkę i obejrzał ją z każdej strony. Na jednej stronie narysowany był konik szachowy w czapce Mikołaja, a na drugiej tekst:

Antoś!

Z okazji świąt życzę Ci tylko wygranych! Zarówno tych w szachach, jak i w życiu! Życzę Ci, żebyś robił to, o czym marzysz Ty, a nie ktoś inny.

Gabrysia

PS I żebyś był lepszy niż Kazik! On mówi, że na razie to niemożliwe. NA RAZIE kiedyś minie!

Antek uśmiechnął się do mamy.

– Chyba będziemy tu bardzo szczęśliwi – powiedział cicho.

Halinka stała na drabince i miotełką czyściła dzieła zebrane Słowackiego. Zdecydowanie bardziej przykładała się do tego niż do odkurzania dzieł

Mickiewicza.

Obiecała Gabrysi, że wyciągnie stare ozdoby świąteczne. Umówiła się z Malwiną, że kiedy przyjdzie Anatol, razem wezmą ze strychu wszystkie kartony, które tam zalegały od lat. Kiedyś zapuściła się tam w poszukiwaniu książek i natknęła się na te zabytkowe bombki i łańcuchy robione ze słomy pewnie ze sto lat temu.

– Dzień dobry, Halinko. – Usłyszała nagle. O mało nie spadła z drabiny.

– Dzień dobry – odpowiedziała. W progu stał Kazimierz. – Dzień dobry! – dodała, szeroko się uśmiechając.

– Pocztę przyniosłem.

– Pocztę? – zdziwiła się. – Ktoś napisał do mnie list?

– Pocztówkę świąteczną dostałaś.

– Od kogo? – Halina zachwiała się na drabinie, na szczęście Kazik już był przy niej i ją podtrzymał.

– Dziękuję. – Zarumieniła się.

Kazimierz wręczył jej kartkę. Halina włożyła okulary. Kartka była zrobiona przez jakieś dziecko. Na jednej stronie były narysowane książki ozdobione bombkami, gałązkami świerku i kolorowymi lampkami. Na drugiej znajdowały się życzenia:

Halinko!

Życzę Ci, byś na tym strychu w bibliotece odnalazła zaginione dzieła Twoich ulubionych pisarzy. I byś zrozumiała, że nie musisz udawać niefajnej. I tak już coraz mniej osób w to wierzy! Jesteś bardzo fajna i ja Cię kocham!

Gabrysia

PS Próbowałam czytać tego Słowackiego. Nie podobał mi się. Ale czy to nie jest wspaniałe, że tak pięknie się różnimy?

Halina miała łzy w oczach.

– Ona mnie kocha... – Spojrzała na Kazika. – Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś to usłyszę!

O tym, że jest zbyt późno na miłość, była przekonana również Balbina. Nikomu prócz Gabrysi nie powiedziała, że jedzie do Gdańska na lotnisko, by przywitać Sebastiana. Chciała pierwsze chwile z nim spędzić na neutralnym gruncie. Bo co, jeżeli on stwierdzi, że nie chce mieć z nią nic do

czynienia? Że po tym, jak ją zobaczy na żywo, a nie przez ten tablet, który dostała od niego jako przyspieszony prezent świąteczny, dojdzie do wniosku, że jednak zmienił zdanie?

Gabrysia nauczyła ją korzystać z wyszukiwarki internetowej i Balbina od tygodnia czytała o nieudanych spotkaniach „w realu”, jak nazywali to internauci. Co, jeżeli ta iskra, która między nimi była lata temu, już wcale się nie tliła?

Milion pytań kłębiło się w jej głowie. Przed wyjazdem nawet udała się do fryzjera do pobliskiego miasteczka, ale w tej nowej fryzurze nawet sobie wydawała się obca, zupełnie jak nie ona. Natychmiast po powrocie do domu ułożyła włosy po swojemu.

„Szminka” – przypomniała sobie słowa babci. Jaka szminka? Przecież on ją widział kiedyś bez szminki. Bez makijażu, w najtrudniejszych chwilach jej życia.

Kiedy wychodziła z domu na autobus, natknęła się na Gabrysię. Wskazywała palcem na płot. Coś czekało na nią w skrzynce na listy. Otworzyła ją i wyjęła pocztówkę świąteczną od dziewczynki. Przedstawiała Mikołaja trzymającego laptop.

Kochana Balbinko!

Życzę Ci Twojego własnego Mikołaja. Takiego prywatnego i prawdziwego. I randek tylko w realu, a nie online. Bo żywy człowiek to żywy człowiek. Można się do niego przytulić i ruszyć z nim za rękę przez ośnieżoną ulicę. Brzmi romantycznie, prawda? No to właśnie takiej świątecznej randki Ci życzę.

Wesołych Świąt!

Gabrysia

– Dziękuję ci, kochanie. – Poglaskała dziewczynkę po policzku. – Jadę właśnie na randkę... W realu – dodała, zastanawiając się, czy to dobrze wymawia.

– Balbinko, to weź tę kartkę jako amulet. Ostatnio czytałam taką książkę i tam mieli amulety. Jak będziesz miała ten nasz amulet przy sobie, wszystko będzie dobrze.

Kiedy Balbina stała w hali przylotów i czekała na swojego gościa, kurczowo trzymała torebkę, w której była kartka od Gabrysi. Jej amulet. Z niecierpliwością patrzyła na przesuwne drzwi otwierające się przed każdym wychodzącym pasażerem.

Nagle zadzwonił telefon. Sebastian. Odebrała.

– Już jestem.

– Gdzie?

– Odwróć się.

Odwróciła się tyłem do drzwi, w które wpatrywała się przez ostatnie piętnaście minut. Nie mogła dostrzec nikogo, kto chociaż w minimalnym stopniu przypominałby Sebastiana.

– Nie widzę cię.

– Tuż za tobą...

Na ramieniu poczuła czyjaś dłoń. Szybko się odwróciła. Za nią stał Sebastian. Oczywiście się postarzał, ale nie na tyle, by go nie rozpoznała. Nie namyślając się wiele, przytuliła się do niego, a on ją mocno objął. Pachniał tak jak kiedyś... Amulet najwyraźniej zadziałał. Wiedziała, że żadne z nich się nie wycofa. Niepotrzebnie się denerwowała. Czowała, że Sebastian przyjechał na długo. O ile nie na zawsze.

Gdy Balbina i Sebastian obściskiwali się na gdańskim lotnisku, Anatol i Malwina wyjątkowo nie robili tego samego, a znosili kartony z bombkami do wypożyczalni. Było ich mnóstwo – na podłodze, krzesłach i stołach. Halinka nie mogła patrzeć na bałagan, który oboje generowali, i wyszła do drugiego pomieszczenia.

– Takie łańcuchy robiłam, jak byłam mała – powiedziała Malwina. – I zobacz, jakie szydełkowe bombki! – Ucieszyła się. – Takie też miałam.

– Może to te same? – zapytał Anatol.

– Trudno powiedzieć. Przez tyle lat zrobiłam ich setki. Ale to wygląda znajomo. – Wzięła gwiazdę betlejemską z ułamanym rogiem. – Nasza wyglądała zupełnie tak samo. Dostałam ją od dziadka. Kiedyś za bardzo szalałam z moimi braćmi i przewróciła się choinka. Zbiło się wiele bombek. Ta gwiazda też się uszkodziła. Mama ją wyrzuciła do śmieci, a ja wpadłam w panikę. Dziadka z nami już nie było na świecie, a to była dla mnie ważna pamiątka po nim. I nie mogłam znieść, że mama chciała się jej pozbyć. Wyjęłam ją ukradkiem i trzymałam niczym najcenniejszy skarb. Potem co roku wieszałam ją na choince, taką niedoskonałą, ale dla nas ważną.

– Kiedy trafiła na strych?

– Nie wiem... – Malwina pokręciła głową. – Zupełnie tego nie pamiętam. Ale bardzo bym chciała, żeby znowu się znalazła na czubku naszej choinki.

– Nic nie stoi na przeszkodzie.

– Piękne wspomnienia. Święta były czasem, kiedy zawsze byliśmy wszyscy razem. Niekiedy były bogate, a niekiedy bardzo biedne, ale zawsze pełne miłości... Otwórz kolejny karton, Anatolu, zanim się zupełnie rozkleję.

– Tu chyba nie ma bombek.

– A co jest?

– Jakieś albumy ze zdjęciami.

– Pokaż.

Malwina usiadła przy stole i zaczęła przeglądać pierwszy album. Był jeszcze sprzed drugiej wojny. Uśmiechnięte kobiety, wyprostowani mężczyźni. Nie umiała nikogo rozpoznać, a podpisy w stylu „ciocia Ita” kompletnie nic jej nie mówiły. Zdjęcie ślubne szczęśliwej pary przed ich starym kościołem, a potem wózek dziecięcy i jakaś pozowana sesja.

– W Małej Przytulnej przed wojną był fotograf? – zdziwiła się.

– Nic mi o tym nie wiadomo – stwierdził Anatol.

– Zobacz. – Malwina podała mu portret rodzinny zrobiony w studiu fotograficznym. Widniał na nim napis: „Atelier Tomasz Brzeziński. Mała Przytulna 1911”.

– Zobacz, tu jest jeszcze jakiś kartonik, chyba też ze zdjęciami – powiedział Anatol. – Nie, to pocztówki świąteczne. Do jakiejś Gabrieli – podał kilka Malwinie.

– Niesamowite! Z różnych stron świata. Jest ich mnóstwo. Chyba zbierała je całe życie. Jestem ciekawa, kim była.

Wtedy do wypożyczalni wkroczyła Halinka.

– A tu nadal taki bałagan? – zdziwiła się.

– Oprócz ozdób świątecznych znaleźliśmy kawał historii. Stare zdjęcia i pocztówki.

– O właśnie! Zapomniałabym! – Halinka podeszła do biurka. – Mam coś dla was.

– Pocztówka? – zdziwiła się Malwina.

– Kiedy ostatnio dostałaś pocztówkę z życzeniami?

– Dawno... Bardzo dawno temu. – Malwina wzięła od Haliny kartkę. Na pocztówce były narysowane dwa gołąbki siedzące na choince.

Kochana Malwinko, kochany Anatolu!

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia życzę Wam, byście jak w bajkach... żyli długo i szczęśliwie! Nawet bez ślubu! Chociaż ja z chęcią poszłabym na

*jakieś wesele, a tutaj chyba inne się nie zapowiada.
Wesołych Świąt!*

Gabrysia

Mieszkańcy Małej Przytulnej jeden po drugim znajdowali pocztówki robione przez Gabrysię. Janowi narysowała piękny fortepian, Ksawery na swojej pocztówce miał kozę w czapce Mikołaja, Bogusia – autobus z przyczepionymi rogami i nosem renifera Rudolfa... Dla każdego Gabrysia miała ciepłe słowo i u każdego wywoływała uśmiech na twarzy.

W wielu skrzynkach pocztowych, zawieszonych na domach i płotach w Małej Przytulnej, na mieszkańców czekały jeszcze świąteczne życzenia. Niektórzy wyjechali i mieli je przeczytać dopiero po powrocie, inni nawet nie podejrzewali, że ktokolwiek mógłby im wysłać pocztówkę, więc do tych skrzynek nie zaglądali.

Tomek zobaczył, że coś jest w skrzynce, gdy odśnieżył wejście do restauracji i już wracał się ogrzać się do środka. Wyjął pocztówkę. Narysowane na niej były naleśniki, najpewniej z dżemem malinowym. Akcent świąteczny stanowiła wyłącznie ramka, na której Gabrysia narysowała udekorowane gałązki świerku.

Kochany Tomku!

Najchętniej życzyłabym Ci, żebyś szybko wrócił do nas, do Małej Przytulnej. Ale to byłyby życzenia dla mnie, nie dla Ciebie. Życzę Ci zatem, abyś był najlepszym studentem, skończył te studia jak najszybciej i wrócił do Małej Przytulnej.

Wesołych Świąt.

Gabrysia

PS Czy słyszałeś o kimś takim, kto skończył studia medyczne w rok?

To była niezapomniana Wigilia. Na pewno do powtórzenia. Najlepiej co rok. Jan od południa przygrywał na nowym fortepianie kolędy i piosenki świąteczne, a Pierre zakasał rękawy i pomagał w kuchni. Ku zaskoczeniu Jadwigi rozumieli się bez słów. Gabrysia i Antoś robili harmider, przystrajając choinkę ozdobami znalezionymi na strychu biblioteki. Tomek na samym szczycie zamocował ułamaną gwiazdę, którą Malwina dostała od dziadka. Staruszka tymczasem już od samego rana zносиła prezenty, które zbierała dla wszystkich mieszkańców od czerwca. Kolejne przywiózł tuż przed wieczerną uśmiechnięty kurier w stroju Mikołaja. Ten sam, który ostatnio wnosił fortepian.

– To nie pomyłka! – zawołał od progu. – Mam je wszystkie położyć pod choinką.

I dziarsko zaczął rozkładać kolorowe pakunki. Jadwiga od razu oczyma duszy zobaczyła Pierre'a wymachującego kartą płatniczą. Spojrzała na niego, ale sprawiał wrażenie wyjątkowo zajętego i unikał jej wzroku. Uśmiechnęła się. Już ona swoje wiedziała.

Kurier jeszcze nie zdążył wyjść, a wszyscy zaczęli się schodzić. Pierwsza przybyła Halinka.

– A tobie kazali w Wigilię pracować? – Spojrzała ze współczuciem na chłopaka.

– To już ostatni kurs. Nie mam rodziny, właściwie nie mam nikogo, dlatego wziąłem dzisiaj dyżur. W Mikołaja się bawię.

– Jak to nie masz rodziny? – zdenerwowała się Jadwiga.

– Jak to nie masz nikogo? – zapytała Halinka.

– To z kim będziesz spędzał Wigilię? – dołączyła się Balbina.

– Z nami – powiedziała Gabrysia. – Przecież mamy dodatkowe miejsce przy stole. Taka tradycja.

– Ale...

Kurier rozejrzał się po wszystkich zgromadzonych. Nikt nie wyglądał na niezadowolonego z obrotu sytuacji. Wręcz przeciwnie. Nawet Pierre, któremu Maryński wytłumaczył, o co chodzi, zakrzyknął zwyczajowo:

– Zupa, rosół, kura, krowa, waziwa, la szyskich!

– Nie rosół, Pierre. – Jadwiga pokręciła głową. – Dzisiaj postnie.

– Postnie-midorowa? – wyszeptał ewidentnie zagubiony Francuz.

– Dzisiaj ryba. – Zaczęła nakładać pachnące dania.

– Ryba? Nie rozumi ryba – westchnął, co nie przeszkodziło mu, by po chwili krzyknąć, że ryba jest dla wszystkich.

Zaczęli biesiadowanie od zaśpiewania kolędy. Janek grał na fortepianie, a wszyscy śpiewali. Można było usłyszeć tekst polski i francuski.

*Cicha noc, święta noc,
Pokój niesie ludziom wszem...*

Potem podzielili się opłatkiem. Każdy z każdym. Życzyli sobie z całego serca wszystkiego najlepszego. I w żadnym wypadku nie były to puste słowa. Było dwanaście potraw według polskiej tradycji i trzynaście ciast według tradycji francuskiej. Na ogromnym świerku wisały bombki pamiętające jeszcze ludzi ze starego albumu, który przeglądali właśnie Gabrysia i Antek. Pewnie pamiętały całą historię Małej Przytulnej. Od początku jej istnienia. Na samym czubku świerku wisiała ułamana gwiazda, na którą Malwina patrzyła z pewnego rodzaju nostalgią.

Balbina i Sebastian zatopili się w rozmowie, nie mogąc się sobą nacieszyć. Jan siedział przy fortepianie. Tuż obok niego przycupnął Pierre, próbując się odważyć zagrać cokolwiek na cztery ręce.

– Poczekamy, aż będziesz gotowy. – Jan uśmiechnął się do niego pokrzepiająco.

Gwarne rozmowy, prezenty, kolędowanie i dużo uśmiechów. Basia patrzyła szczęśliwa na syna i na tych wszystkich niedawno obcych dla niej ludzi, którzy zachowywali się, jakby znali ją od dawna.

Halinka z Kazimierzem stali tuż przy oknie i spoglądali na spadające płatki śniegu, które pięknie się skrzyły w świetle latarni.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyszeptała nagle. – Dokończyłeś tamtą książkę, którą czytałeś, gdy się poznaliśmy?

– Nie. – Kazimierz pokręcił głową.

– Wcale nie zabiła grzybiarka. I nic nie wiem o drugiej części. – Wzruszyła ramionami. – Tak po prostu chciałam cię wkręcić...

Kazimierz się uśmiechnął i ją przytulił.

– I jeszcze jedno... – dodała cicho.

– Tak? – zapytał Kazik, patrząc jej w oczy.

– Wszystkie się źle prowadzą. Malwinka już od dawna, Balbina dopiero zaczęła.

– I co w związku z tym? – Pogłaskał ją po policzku.

– Bo... ja też bym chciała.

– Do usług.

Basia siedziała z boku. Chłoneła tę świąteczną atmosferę. Nie potrzebowała niczego więcej. Czuła się bezpiecznie. To było dla niej najważniejsze. Miała ciepły dom, tyle pieniędzy, ile potrzebowali z Antkiem, i przyjaciół. Przyjaciół, którzy przyjęli ją do swojego grona, o nic nie pytając. Ani o przeszłość, ani o plany na przyszłość. Jeszcze do niedawna te plany były proste: przetrwać.

Tomek o swoich planach rozmawiał z Dominiką i Ksawerym. Opowiadał o studiach i marzeniach. Doktorowi Maryńskiemu cudownie się go słuchało. Ten młodzieniec przypominał mu jego samego sprzed lat. Sprzed wielu lat. I ta Dominika... Mądra dziewczyna. Będzie z niej wyśmienity lekarz. Musi tylko dostać trochę po nosie, by nabrać pokory... O to, by dostała po nosie, już on się postara. W końcu i tak miał łatkę gbura. A potem będzie mógł oddać gabinet w dobre ręce i zająć się tym, co w życiu wydawało mu się obecnie najważniejsze... Spojrzał na swoją towarzyszkę. Może jeszcze kiedyś pojedzie do Paryża?

Kiedy doktor Maryński rozmyślał o Paryżu, Jadwiga na stół postawiła ciasto przypominające wyglądem konar.

– *Bûche de Noël*. – Jeaninne przytuliła się do pana doktora. – Uwielbiam.

Paweł Maryński również bardzo lubił to ciasto, aczkolwiek w danej chwili chyba bardziej lubił kolorową Francuzkę, która siedziała tuż obok.

– Chciałabym jeszcze coś powiedzieć... – zaczęła cicho Malwina. –

Gabrysiu, wszyscy bardzo ci dziękujemy za pocztówki. Zrobiłaś nam ogromną przyjemność. Już pewnie dziękował ci każdy z osobna, ale ja chciałam ci coś podarować. Podczas porządków na strychu znalazłam coś, co cię z pewnością ucieszy. Myślę, że powinnaś to dostać w prezencie.

Wręczyła dziewczynce pakunek obwiązany kolorową wstążeczką. Gabrysia niecierpliwie rozwiązała kokardkę i otworzyła pudełko.

– Pocztówki? – Ucieszyła się i wzięła pierwszą z brzegu. – Dla Gabrieli! – zawołała zdziwiona. – Spojrzała na datę. – Sprzed stu lat!

– Tak. Poczytaj sobie te wszystkie życzenia. Kiedyś, przed stu laty, ktoś życzył szczęścia innej Gabrieli i pewnie była z tego powodu szczęśliwa. Ludzie ją kochali. Świadczą o tym te wszystkie pocztówki. Ty też bądź szczęśliwa, Gabrielo.

Dziewczynka mocno ją przytuliła.

– Dziękuję. Nie mogę się doczekać, kiedy je wszystkie przeczytam.

– To chyba już czas na nas, co, Gabrysiu? – Laura siedziała, głaszcząc się po już widocznym ciążowym brzuszku. – Było cudownie. Kocham was wszystkich. W przyszłym roku musimy to powtórzyć. W większym gronie...

– Mamo, a Antek może przyjść na nocowanekę? – Gabrysia spojrzała błagalnie na mamę.

– Jeżeli jego mama nie będzie miała nic przeciwko, to oczywiście. – Uśmiechnęła się, patrząc na Basię.

– Ale...

– Mamo... – poprosił Antek. – To przecież blisko...

– Ale w święta... Zawracać... – Nie zdążyła dokończyć, bo Gabrysia jej przerwała.

– Pani Basiu kochana... – zaczęła błagalnie.

– Dobrze, ale wróć na śniadanie...

– Ale śniadanie mamy tutaj! – oburzyła się Jadwiga. – To przecież oczywiste!

– La szyskich – dodał jak zawsze celnie Pierre.

– Dla wszystkich! – wykrzyknęła Jadwiga, patrząc na młodego kuriera. – Ty, chłopaku, jak chcesz, możesz u nas spać. Miejsca jest dosyć. Co będziesz wracał samotnie do domu.

Do domu nie wracał samotnie nikt. Tomek, Gabrysia i Antek odprowadzili Basię, potem dzieciaki wróciły jeszcze na chwilę do restauracji, by odprowadzić Tomka, który chyba nie miał zamiaru jeszcze iść spać, bo tym razem zagłębił się w rozmowę z doktorem Maryńskim.

Gabrysia i Antek po raz setny pożegnali się z tymi, którzy jeszcze zostali, i w końcu wyszli z restauracji.

– Muszę ci kogoś przedstawić... – powiedziała, gdy doszli do perfumerii na rozstaju dróg. Wskazała na ustrojony świerk. – To Gabriel. Mój tata.

Antek nic nie mówił, tylko złapał dziewczynkę za rękę. Gabrysia wpatrywała się w drzewko, delikatnie gładząc jego gałązki.

– Tata podobno zawsze mówił, że chciałby, żeby na jego prochach posadzono świerk. Bo choinka zawsze wywołuje na twarzach radość. I tak się dzieje. Niezależnie od pory roku wiszą tu światełka. – Uśmiechnęła się. –

Kiedy patrzę na tę choinkę, wiem, że on jest obok mnie. Ja naprawdę to czuję.

Antek ukradkiem stał z policzka łzę. Nie chciał się rozklejać, przecież chłopaki nie płaczą, ale ta historia była taka wzruszająca...

– Nie smuć się. To jest cudowne, że spełniliśmy jego marzenie. I cudowne jest, że wciąż mam go tak blisko. Marysia też jest gdzieś obok, niesiona przez wiatr. Tylko jeszcze mi się nie przyśniła. Widać nie było takiej potrzeby.

Basia została odprowadzona do domu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu naprawdę czuła się szczęśliwa, a przede wszystkim bezpieczna. To było najważniejsze.

Zdażyła się przebrać w piżamę i zmyć makijaż, kiedy wydawało się jej, że ktoś zapukał do drzwi. O tej porze? Może Antek czegoś zapomniał? Albo chciał wrócić? Otworzyła drzwi i zobaczyła kudłatego psa.

– A co ty tu robisz? Skąd się tutaj wziąłeś?

Nie był zbyt duży, nawet nie był specjalnie brudny, ale na pewno był wychudzony. Wyciągnęła w jego stronę rękę. Ten lekko się cofnął.

– Nie bój się – powiedziała łagodnie.

Spoglądała na niego, a jej serce wypełniło się ogromną czułością. Tylko ona wiedziała, jak została zraniona. Nie była jeszcze gotowa na jakikolwiek związek z drugim człowiekiem, nie była gotowa na miłość i pewnie długo jeszcze nie będzie. Ale pies... Przecież psi przyjaciel jej nie zrani. Tę miłość mogłaby zaakceptować.

Jakby w odpowiedzi na jej myśli kudłaty gość polizał ją po dłoni i radośnie zamachał ogonem. Był bardzo zziębnięty. I chyba tak samo spragniony miłości jak ona.

– Chodźmy do domu, przyjacielu – powiedziała, sama zdumiona swoimi słowami.

Pies spojrzał na nią ogromnymi brązowymi oczami. Przez chwilę się wahał, jakby nie był pewien, czy może zaufać tej pięknie pachnącej kobiecie. Po chwili nieśmiało przekroczył próg domu. Usiadł w kuchni, w bezpiecznej odległości od niej, i ją bacznie obserwował.

Basia miała w lodówce mieloną wołowinę, rozmrożoną na obiad następnego dnia. Wiedziała, że psom można ją podawać surową. Nie powinna mu zaszkodzić. Nałożyła mu ją do jednej porcelanowej miski, a do drugiej naląła wody. Pies spojrzał na nią niepewnie.

– OK, nie lubisz towarzystwa – wyszeptała. – Doskonale cię rozumiem, kolego.

Wyszła z kuchni i zaraz usłyszała, że psiak je. Uśmiechnęła się do siebie. Postanowiła mu nie przeszkadzać. Poszła do sypialni. Po chwili jej nowy przyjaciel stanął w jej progu.

– No chodź – zachęciła.

Położył się w drzwiach i nie chciał się stamtąd ruszyć. Kiedy Basia już zasypiała w tę świąteczną noc, poczuła ciężar na nogach. Nie była sama. Miała kogoś, kto ją bezgranicznie pokocha. Po prostu za to, jaka jest.

Późną nocą, a w zasadzie nad ranem, niemalże wszyscy mieszkańcy Małej Przytulnej znajdowali się w ramionach Morfeusza. Jedni śnili, a inni zupełnie nie.

– Gabrysiu, ten śmiech ziemski jest dokładnie taki sam jak niebiański. – Usłyszała Gabrysia.

– Marysia?

– Tak, kochanie. Nic ważnego, ale obiecałam, że kiedyś przyjdę we śnie i ci o tym powiem.

– Dziękuję, Marysiu.

– Wesołych Świąt, kochanie. Tata dołącza się do życzeń. I Gabriela, ta od pocztówek, też. Wesołych Świąt!

KONIEC

*Gdańsk, Fotel na Zielonym (jeszcze niezaśnieżonym) Wzgórzu, 3.10.2023,
godz. 18:08*

Od autorki

Pisanie tej książki było wyzwaniem! Bo to przecież książka wieńcząca piętnasty rok mojej drogi życiowej wśród słów, liter i zapachu farby drukarskiej...

Chciałam Was zabrać do świata Małej Przytulnej po raz trzeci i marzyło mi się, że poczujecie się tam już jak w domu. Zaczynając pisać tę powieść, zastanawiałam się, czyją historię mam Wam opowiedzieć. Bo przecież pewne wątki nie zostały dokończone. Miała być historia aptekarza i lekarki, ale – jak to często bywa – inni bohaterowie pchali się na pierwszy plan, a ja zawsze słucham moich bohaterów, więc uległam! Ale wiecie... to daje szansę na kolejną część o tym przytulnym niewielkim miasteczku... Pisać?

Tę książkę zadedykowałam szczególnie ważnym dla mnie osobom, które są chyba ze mną od początków mojej drogi pisarskiej – Ani i Andrzejowi Żochowski. Odkąd pamiętam, przychodzili na spotkania autorskie, razem z synem Krzysiem, a teraz już Krzysztofem, i wspierali dobrym słowem i rewelacyjną energią! Nawet nie wiem, kiedy nasze relacje przestały być już tylko zawodowe, a stały się jak najbardziej prywatne. Aniu, Andrzej, dziękuję Wam za to, że jesteście. I wiem, że gdyby świat był pełen takich ludzi, byłby z pewnością piękniejszy!

Aniu, dziękuję Ci za wsparcie w każdym momencie. Kiedy tak sobie myślę, to widzę spotkania, czas pandemii, kiedy Andrzej podawał mi coś przez płot, sałatki śledziowe, którymi mnie raczysz, gdy piszę świąteczną książkę, nalewki, które piję – ku zdrowotności, oczywiście – i wiele innych rzeczy, o których nie musimy pisać. Ty wiesz... Dziękuję za Twój spokój, który udziela się w trudnych sytuacjach.

Andrzej, dziękuję za porwanie mnie w moją urodzinową noc! No i przepraszam, wiesz za co ☺.

Po prostu cieszę się, że jesteście!

Dziękuję moim dzieciakom. Za to, że znowu przetrwały na dowożonych obiadach. Tym razem mrożonek było niewiele ☺.

Lilce nie podziękowałam w *Nadziei w spiżarni ukrytej* za pomoc w wymyśleniu pań z koła gospodyń wiejskich. Dobra robota!

Mateusz pomógł mi teraz napisać cały fragment o szachach. Przyznaję, iż kompletnie nie mam o tym pojęcia, więc wolałam zawierzyć profesjonalistę! Rafałowi Buraczewskiemu i Michałowi Ładzie dziękuję za to, że jeszcze sprawdzili ten fragment – nie mieli uwag! Brawo, Mati!

Pisząc tę książkę, słuchałam bardzo różnej muzyki. Przypomniałam sobie czasy, kiedy mój brat uczył się do matury, słuchając Joe Dassina, włączyłam sobie Charles'a Aznavoura, zastanawiając się wspólnie z nim nad smutną Wenecją, a także... Czy wy wiecie, jaki świetny jest francuski rap? ☺.

No i dziękuję całej ekipie Wydawnictwa Flow za to, że wytrzymują z moim poszanowaniem deadline'ów. A raczej brakiem poszanowania. No normalnie chciałabym napisać „nigdy więcej!”.

Ani Seweryn dziękuję za uważność. Za wieszanie ogórków na choince i wyszukiwanie brzydkich braci Świętego Mikołaja. Za bombki na kwiatkach bananowca i budy dla psa w charakterze sauny. I za piekielną pracowitość. Ale, dziewczyno, zwolnij! Bo ja chcę się Tobą cieszyć jak najdłużej. A wiadomo, że czasem nasze organizmy mówią nam, że trzeba się położyć ☺.

Aniu, love you ♥!

Ani Jeziorskiej dziękuję za wszelką pomoc ♥.

Grzegorzowi Boćkowi za anielską cierpliwość w realizowaniu wszystkich szalonych pomysłów
Ani

. Nasze książki są najpiękniejsze!

Ani Slotorsza za kolejną precyzyjną okładkę.

Dziękuję również mojemu mężowi Tomkowi, który pewnie tych słów nie przeczyta, ale może mu ktoś „uprzejmie doniesie”. Jak dobrze mieć taką skałę przy sobie. Pewną i bezpieczną. Mimo iż nie ogarniasz moich książek, okładek, nieważne... Liczy się to, że jesteś. I gdy się pali, umiesz trafnie ugasić pożar.

Kochani, to co? Obserwujcie moje media społecznościowe, tam zawsze możecie napisać mi kilka słów!

[Facebook.com/witkiewicz](https://www.facebook.com/witkiewicz)
[Instagram.com/magdalenawitkiewicz](https://www.instagram.com/magdalenawitkiewicz)

Wesołych Świąt!

Magdalena

Od wydawcy

Kochana Czytelniczko, Kochany Czytelniku!

Od pewnego momentu w słowach od wydawcy liczymy nasze książki i ta jest już dwudziesta szósta! Czasami wydaje nam się to niemożliwe. Właśnie dzisiaj rozmawialiśmy o tym, że jesteśmy dokładnie w tym punkcie, w którym chcieliśmy być, a nawet krok dalej. I cieszymy się, że tworzymy wraz z Wami taką fajną społeczność. Co tu wiele mówić – lubimy się! I mamy flow!

Nasze wydawnictwo ma już stałych czytelników. Nawet nie wiecie, ile radości sprawia nam, gdy słyszymy albo czytamy, że książki z turkusowym logo bierzecie w ciemno, że ufacie naszym rekomendacjom.

Cieszymy się też, gdy słyszymy, że bez powieści Magdaleny Witkiewicz nie ma świąt. Jak już wiecie, ta powieść nie tylko pachnie Bożym Narodzeniem, ale też ma mroźny zapach zimy. Dlatego można ją czytać od jesieni do wiosny... A podejrzewamy, że jeżeli ktoś sięgnie latem po *Perfumerię na rozstaju dróg* czy *Zielarnię pod starym dębem*, nie będzie mu przeszkadzał upał i schłodzi się w zimowym klimacie przy trzecim tomie opowieści o miejscowości tak uroczej jak jej nazwa...

I zdradzimy Wam jedną ciekawostkę! W Wydawnictwie Flow zaczynamy myśleć o świątach pod koniec wakacji... Kiedy nasi czytelnicy cieszą się słońcem i końcem lata, my myślimy już o choince, piernikach, zwyczajach świątecznych... Potem machina rusza. Magda pisze, Ania redaguje, a później dba o walory estetyczne powieści. I na przykład wyszukuje liście bananowca, na których Grzegorz zawiesza bombki, albo szuka rysunków ogórków, które mogą ustroić choinkę. I koordynuje wszystko, bo w momencie, kiedy książka trafia w Wasze ręce, u nas jest już wiosna... Taki to los wydawcy!

Jednak pierwsze czytelniczki i pierwsi czytelnicy dostaną tę powieść tuż przed Gwiazdką, dlatego chcieliśmy złożyć Wam życzenia. Jeżeli przeczytacie je latem, to nic takiego – dobrych życzeń nigdy zbyt wiele.

Kochani, z okazji nadchodzących świąt Bożego Narodzenia życzymy Wam, byście po prostu byli szczęśliwi. Byście nauczyli się doceniać to, co jest tuż obok Was, i tych, którzy stoją tuż przy Waszym boku. Byście umieli patrzeć na świat w taki sposób, by dostrzegać dobro. Byście potrafili się cieszyć z drobiazgów, bo właśnie te drobiazgi składają się na nasze życie...

Życzymy Wam uśmiechu na co dzień, a łez wyłącznie z powodu wzruszeń, w szczególności tych książkowych!

Życzymy też, by Wasze marzenia się spełniały. Po kolei, od tych najmniejszych do największych!

Magdalena i Ania

PS Często pozwalam sobie na małą niesubordynację, korzystając z tego, że jestem jedną z ostatnich osób, które widzą nasze powieści (jeszcze w formie plików) przed wysłaniem do drukarni. Chciałabym więc złożyć życzenia mojej współpracownicy, bo wiem, że jest wrażliwa na takie drobne wyrazy sympatii i lubi niespodzianki, a kiedy jak nie u progu nadchodzących świąt powinniśmy sprawiać, że naszym bliskim będzie dobrze i miło?

Magda, jesteś recydywistką ☺, Twoja frywolność w kwestii terminów jest już niemal anegdotyczna. Ale jesteś też piekielnie zdolna i znam niewielu autorów, którzy równie mocno jak Ty umieją zawładnąć sercami swoich czytelników. Życzę Ci więc, żebyś zawsze miała spokojną głowę, by w pełni móc korzystać ze swojego talentu. Bądź zdrowa i szczęśliwa, a wtedy rzeczywistość na pewno będzie przerastać Twoje marzenia ♥!

Korzystając z okazji, dziękuję też całemu mojemu zespołowi. Ani Slotorsz za rewelacyjne okładki, a Grzegorzowi Boćkowi za franciszkański spokój w realizowaniu nawet najbardziej absurdalnych pomysłów. Oboje jesteście profesjonalistami i niesamowicie pracowitymi oraz kreatywnymi osobami. Bez Was nasze książki nie byłyby takie wspaniałe!

Szczególne podziękowania ślę do ekipy korektorskiej (Ani Jeziorskiej i Ani Żochowskiej). Dziewczyny, zawsze mogę liczyć na Wasze pracowitość, zaangażowanie i czujne oko. Cudownie jest obserwować, jak rozkwitacie i stajecie się coraz lepsze w tym fachu. Czuję niemal macierzyńską dumę 😊. Wierzę, że przed nami jeszcze niejedna długa i wyboista wspólna droga, która przy każdej powieści doprowadza nas jednak do czegoś wspaniałego.

Praca z takimi wspaniałymi ludźmi to dla mnie codzienny prezent gwiazdkowy!

Ania

wydawnictwoflow.pl

facebook.com/wydawnictwoflow

instagram.com/wydawnictwoflow

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Spis postaci, których podobieństwo do osób prawdziwych zdecydowanie jest przypadkowe i niezamierzone](#)

[1. Gabrysia](#)

[2. Tomek](#)

[3. Jadwiga](#)

[4. Halina](#)

[5. Malwina](#)

[6. Balbina](#)

[7. Laura](#)

[8. Ksawery](#)

[9. Gabrysia](#)

[10. Balbina](#)

[11. Doktor Maryński](#)

[12. Laura](#)

[13. Laura](#)

[14. Jadwiga](#)

[15. Balbina](#)

[16. Sebastian](#)

[17. Gabrysia](#)

[18. Laura](#)

[19. Janek](#)

[20. Gabrysia](#)

[21. Balbina](#)

[22. Ksawery](#)

[23. Jeaninne](#)

[24. Gabrysia](#)

[25. Doktor Maryński](#)

[26. Pan Gburowaty vel Kazimierz](#)

[27. Malwina](#)

[28. Halina](#)

[29. Gabrysia](#)

30. Balbina

Wesołych Świąt – Joyeux Noël

Od autorki

Od wydawcy.

